

Kryzys



KARIN BOYE

Kryzys

TŁUM. ELŻBIETA FRĄTCZAK-NOWOTNY

I znów siedziała tu, w seminaryjnej sali modlitwy, by rozpocząć kolejny semestr. Równie spełniony i tak samo przepełniony mocą jak poprzedni? Nie miała wątpliwości. Smutek i cierpienie w powierzchownym znaczeniu tych słów mogły ją oczywiście dotknąć, ale jedynie niczym podmuch wiatru. Spokój. Ale nie taki, jaki daje nam świat doczesny.

Powoli ławki zaczęły się wypełniać, zbierali się studenci seminarium i młodzież na stażu. Malin powiodła wzrokiem po ścianach. Duża jasna sala z malowidłami Hjortzberga¹ za każdym razem wywierała na niej równie silne wrażenie.

Pobożne obrazy i symbole biegly wzdłuż ścian, zataczając koło. Prastare święte symbole, wykute — niektóre tysiąc, inne dwa tysiące lat temu — by dać wyraz najwyższym prawdom, którym kolejne stulecia, jedno po drugim, dodawały nowego życiowego ciepła i nowych życiowych doświadczeń, scalając wszystkich pobożnych ludzi w jedną wspólnotę. Potężne symbole, niewyczerpane, z których kolejne pokolenia będą czerpać niczym z głębokiej studni, dobysząc z niej wciąż nowe skarby.

Ćwieki i cierniowa korona: męczeństwo czekające każdego, kto zechce spełnić Jego oczekiwania. Święci męczennicy Kościoła raczej nie wchodzi w grę. Znacznie liczniejsi są ci wszyscy, którzy niosą swój krzyż w milczeniu, nie będąc świętymi. Ci wszyscy, którzy z dala od kościoła złożyli swoją ofiarę boskiemu ogniovi, zmuszeni do tego wbrew sobie. „Nie podołam!”, mówi człowiek. Ale Bóg nie odpuszcza i siła, której człowiek nigdy nie przeczuwał, rośnie w nim i go uskrzydla. Ćwieki i cierniowa korona: w rzeczywistości nic pięknego, nic romantycznego, nic, czemu otoczenie miałoby ulec. A tam na ścianie ornament, stylizowana ozdoba. Ale taka jest prawda. Taka jest nasza wewnętrzna istota: niebiański ornament. Kto nie chciałby go mieć w chwili, gdy zostanie wezwany? Zaszczyt zaszczytów.

Pelikan, który karmi dzieci swoją krwią: odkupienie, które spełnia się każdego dnia, w każdej chwili i wszędzie. Bo ten, kto cierpi, jest Bogiem nieskończonym, który cierpi naszym cierpieniem, cierpi z nami, którzy jesteśmy narzędziami w jego rękach, cierpi, by zwyciężyć i błogosławić to, nad czym jeszcze nie posiadał władzy. Powolna droga Królestwa Bożego do panowania.

I kielich: znów ten sam. „To krew moja za was przelana”. Dziwna wspólnota. Fakt, że *możemy* zrobić coś dla drugiego, zastąpić jeden drugiego, dźwigać ciężary drugiego, zbierać to, co ktoś inny zasiał, i samemu zasiać coś, co kto inny zbierze. Przerazająca wspólnota, sięgająca poza świat człowieczy. Żyjemy śmiercią innych, zwierząt i roślin, które poświęcają swoje życia, umieramy, by przekazać nasze atomy materii, z której powstanie nowe życie — i tak, bez żadnych granic, jedno życie przechodzi w drugie. Czyż nie tak miało być w świecie duchowym? Żywa istota — fala podczas sztormu — składający ofiarę i przyjmujący ją, nic samo w sobie i wszystko w naszym oddaniu dla tego Jedynego, który jest, który zawsze był i który zawsze będzie.

Szkoła, Sztuka, Religia,
Dziedzictwo

Ofiara, Cierpienie

Obraz świata, Przemiana

¹Hjortzberg, Olle (1872–1959) — szwedzki malarz i ilustrator. [przypis edytorski]

Tam w oddali, okręt na morzu... Czyżby był to okręt Jonasza²? Wspaniała opowieść o małym, zbyt ludzkim Jonaszu, który w swej słabości także był narzędziem, zbyt małym jednak, by zrozumieć miłosierdzie Pana okazane Niniwie³, wielkiemu miastu z dziesięcioma tysiącami mieszkańców, którzy nie potrafili odróżnić lewa od prawa, i do tego jeszcze z „wieloma zwierzętami”. Takimi narzędziami jesteśmy, zbyt mali, by zrozumieć myśli Wiecznego. Ale jednak narzędziami.

Symbole, niczym błyszczące złoto, wtapiały się w spokojną i pełną oczekiwania duszę Malin. Wypełnione sensem i znaczeniem, nieskończone w swej różnorodności obejmowały wszystkie dziedziny życia, niosąc pobożne przypomnienie, które pod różnymi kształtami dawało pożywienie jednemu odwiecznemu dążeniu: dążeniu woli człowieka do stania się jednym z wolą Boga.

Krótsza ściana przed nią wciąż jeszcze była pusta i niczym nieozdobiona. Po tym, jak zagłębiła się w obrazy na innych murach, mogła teraz odpocząć, patrząc na nagą białą prostotę. I wtedy przypomniał jej się sen, który miała jesienią.

Sen

Szła przez ogromny kościół. Światło wpadało przez mroczne, wielobarwne okna, rzeźby i malowidła niezliczonych rodzajów zdobiły nawę główną i boczne. „Oto świątynia, którą budują i ludzie, i czas”, powiedział znany historyk religii, który ją po niej oprowadzał. A ona patrzyła i patrzyła, wręcz zaniemówiła z podziwu, chociaż różnorodność kolorów i kształtów sprawiała oczom ból. „Wszystko to”, ciągnął jej przewodnik, „znajduje ujście w *Mysterium Magnum*⁴. Spójrz, jakie to proste”. Dotarli do miejsca, gdzie drewniany sufit był niski, a ściany pobielone wapnem. Żadnych ozdób, żadnych ornamentów. Spokojne, białe światło wypełniało pomieszczenie, jasne i łagodne, nie oślepiając oczu. Co za ulga po poprzednim zawrocie głowy. „Co to jest *Mysterium Magnum*?”, spytała, ale nie dostała odpowiedzi. W tym momencie poczuła, że się budzi i przepełnił ją lęk, że być może nigdy nie pozna rozwiązania zagadki. Zaczęła wołać: „Co to jest *Mysterium Magnum*? Co to jest *Mysterium Magnum*?”. I wtedy, w chwili, gdy się obudziła, usłyszała odpowiedź — czy padła z ust jej towarzysza czy był to głos gdzieś z góry lub być może pochodził z jej wnętrza, tego nie wiedziała: „Tak się dzieje, gdy życie człowieka staje się życiem Boga”.

O tym śnie pomyślała, kiedy zobaczyła białą niepomalowaną ścianę. Tak prosty i oczywisty był ten wielki cel: nie moja wola, tylko Twoja. Unieczystwienie własnej woli, by pozwoić działać jedynej dobrej woli, pustka, która miała zostać wypełniona. Malin pochyliła głowę i zaczęła się modlić z pełnym oddaniem i pokorą o to, o co zawsze się modliła: o Ducha Świętego.

Modlitwa

Nigdy o nic innego. Najczęściej bez słów.

Początkowo wymagało to wysiłku. Człowiek musiał się skupić, w pełni skoncentrować, zapukać do bramy lub wędrować daleko, daleko — pokonywać pierwotne lasy, pozbawione blasku morza, niedostępne ścieżki i zasadzki. I nagle był już na miejscu. Zyskiwał spokój. Fala wielkiego spokoju przenikała całą jego istotę, jego duszę, ale też żyły — aż do najdalszych koniuszków palców. Spokój i błogosławieństwo otaczało go i wypełniało, znikał trud skupienia się, żadnego rozdarcia, żadnego lęku. A potem już nic nie było trudne, nie było żadnych pokus. Człowiek był gotów ruszyć w świat, nie będąc z tego świata. Stać się naczyniem, łaską bożą i narzędziem. Nie mógł odpowiadać nieuprzejmie na niegrzeczne zaczepki; ból przeszywał go, ostry niczym miecz, ale nie budził jego sprzeciwu, bo człowiek nie stronił już od niego w swoim egoistycznym lęku — nie budząc nienawiści czy złości. Nie *można* już było osądzać drugiego czy buntować się przeciwko krzywdzie — cóż złego mógł zrobić krzywdziciel, gdy ten drugi zrezygnował ze wszystkiego, co doń należało? Można było jedynie osądzać samego siebie, człowieka,

²Jonasz — postać biblijna, prorok izraelski, żyjący w VIII wieku p.n.e. Bóg nakazał mu udanie się do Niniwy, by skłonić jej mieszkańców do zaniechania niegodziwego życia. Jonasz nie chciał wykonać tego polecenia i ruszył statkiem w podróż w przeciwnym kierunku. Gdy rozpętała się burza, poczuł się winny i kazał załozde wyrzucić się do morza; następnie został połknięty przez wieloryba i przeżył w jego brzuchu trzy dni i trzy noce. [przypis edytorski]

³Niniwa — starożytne miasto w północnej Mezopotamii, w czasach Jonasza stolica Asyrii. [przypis edytorski]

⁴*Mysterium Magnum* (łac.) a. *Wielka Tajemnica* — w religii chłescijanskiej odnosi się przede wszystkim do nierozrwalnego związku Chrystusa z Kościołem; istnieją także utwory literackie i dzieła sztuki o tej nazwie. [przypis edytorski]

który nie miał dość siły, by swoją miłością czy raczej miłością Bożą, która go przeszywała, ujarzmić i zmieniać to, co spotykał na swojej drodze. Nie było już lenistwa, nogi same szły tam, gdzie miały iść, a jeśli pojawiłoby się oczekiwanie, by wejść w ogień, to człowiek też by to zrobił, bez walki i jakichkolwiek wątpliwości, bo pragnął tego, czego pragnął Bóg. Bóg pragnął osiągnąć to przez porzuconą, poddaną sobie ludzką duszę. To właśnie był stan, o którym wspominał Mistrz Eckhart⁵, mówiąc, iż lepiej w takim stanie ducha przekroczyć kamień niż w innym dokonywać rzeczy wielkich.

Malin miała wrażenie, że potrzebuje najwyżej dwudziestu minut walki i usiłowań, by udało jej się osiągnąć ten stan spokoju i rezygnacji z własnej woli. Należało tylko zebrać się w sobie. Jak Jakub⁶: „Nie puszczę cię, jeśli mnie nie pobłogosławisz”⁷. Dużo się modliła. To była największa radość, jaką posiadała. Ale zawsze modliła się o Ducha Świętego, nigdy o nic innego,

Gdy jej najlepsza przyjaciółka, wbrew wszystkiemu, zdała maturę, dyrektorka szkoły podeszła do Malin, wzięła jej dłoń i powiedziała: „Twe prośby zostały wysłuchane, dziecko!”. Dziewczyna patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc: czyżby panna Dalén sądziła, że Malin powinna była się modlić o maturę dla Netty? To byłoby bluźnierstwo... Tak więc na wszelki wypadek milczała, ponieważ nie był to odpowiedni moment, żeby zaczynać dyskusję na takie tematy. Czy może jednak milczała ze strachu i z lenistwa? Zawsze cierpiała, gdy w obecności innych musiała poruszać najbardziej czułe struny swojej duszy, ale mimo to zabierała głos i spowiadała się, rumieniąc się zawstydzona. Oczywiście była tchórzliwa, a także leniwa. Dlatego jej wielkim marzeniem było stać się nikim, umrzeć i zamienić się w powietrze — które przepuszczałoby światło słoneczne. A gdyby zawiodła, to wszystko wokół byłoby całe i czyste, bo ona na nowo poświęciła swoją wolę.

Poprzedniej jesieni, tej wspaniałej jesieni... Oddała się pracy w seminarium, a mimo to mogła powiedzieć: „Aczkolwiek to nie ja...”. Nie opierając się i nie buntując, pozwoliła, by wszelka nieuprzejmość, tu i w domu, przeszła ją niczym cios mieczem podarowanym przez Boga. Stany ekstazy, które od czasu do czasu przeżywała w poprzednich latach, zamieniły się w całkowite poddanie się. „Żyję, aczkolwiek to nie ja...”.

Wcześniej pojawiały się zaćmienia, susze niczym na pustyni, o których wspominają wszyscy mistycy, gdy mamy wrażenie, że wszelkie źródła naszej duszy wyschły, a z nieba nie spada kropla deszczu. Ale ona czekała, dobrze wiedząc, że pokusą wiodącą do zła jest sytuacja, gdy człowiek pragnie szczęścia i bogactwa dla siebie, zamiast czynić wolę bożą na pustyni, tak jak i podczas tropikalnej wiosny. Czekala i wszystko minęło. Nie miała już żadnych pragnień poza tym, by stać się posłusznym narzędziem. I jej życzenie się spełniło.

Więc co mogło jej się przytrafić?

„Ten, kto wszystko w Tobie odnalazł, szczęśliwie wszystko przezwyciężył”⁸.

Oto Malin Forst, lat dwadzieścia.

DIALOG I: O ZDROWYCH IDEALACH

MEDYK

Nie, choroba to choroba! Niby dlaczego należałoby traktować neurastenię inaczej niż na przykład zapalenie gardła! Myślę, że w tej kwestii naprawdę pozbyłem się przesądów.

TEOLOG

Jeśli tak, to jest to ten rodzaj wolności od przesądów, do którego ja nie dążę. Różnica wydaje mi się niebotyczna. Między zapaleniem gardła a jego brakiem można pociągnąć ostrą granicę, bazując na czysto naukowych kryteriach: z jednej strony we krwi znajdujesz taką a nie inną bakterię i, jak zakładam, wywołane przez nią zmiany chorobowe, z drugiej zaś nie znajdujesz ich. Ale gdzie, z naukowo-przyrodniczego punktu widzenia, przeprowadzisz zdecydowane rozróżnienie między zdrową a chorą duszą? Zawsze będzie

⁵Mistrz Eckhart (ok. 1260–1327/1328) — niemiecki mistyk, filozof i teolog, dominikanin. [przypis edytorski]

⁶Jakub a. Izrael — patriarcha biblijny walczący z Bogiem; jego dzieje opisuje Księga Rodzaju. [przypis edytorski]

⁷Nie puszczę cię, jeśli mnie nie pobłogosławisz — cytat biblijny, Rdz 32:26. [przypis edytorski]

⁸Ten, kto wszystko w Tobie odnalazł, szczęśliwie wszystko przezwyciężył — cytat pochodzi ze szwedzkiego psalterza. [przypis edytorski]

Choroba, Dusza, Ciało

to w mniejszym bądź większym stopniu uznaniowe. To znaczy, oczywiście, gdy opuścimy obszar urojeń.

MEDYK

Nie muszą to chyba być urojenia. Kiedy z jakimś człowiekiem trudno wytrzymać w jednym pomieszczeniu, to jest z nim coś nie w porządku

HUMANISTA

No i proszę! To chyba dość uznaniowe kryterium. Nie jesteśmy w stanie wskazać na coś tak prostego jak bakteria neurastenii, musimy przejść do czegoś znacznie bardziej nieokreślonego, jak na przykład sposób bycia danej osoby. A ten, jak wiadomo, może się zmieniać w zależności od czasu, miejsca i klasy społecznej; staje się normą społeczną i tak naprawdę zależy od upodobań i oczekiwań oceniającego!

TEOLOG

Nawet jeśli zostało to tu dość ostro wyrażone, to właśnie coś takiego miałem na myśli. Norma ta nie jest nam dana przez naturę, to nie jest norma biologiczna. Została wyznaczona przez życie, tylko i wyłącznie, co do tego się zgadzam. Ludzkie życie wniosło coś całkowicie nowego do procesu tworzenia. Coś, czego nie można podporządkować kryteriom biologicznym. To nowe to życie duchowe, które rządzi się własnymi prawami i posiada własne cele. Natomiast norma „społeczna” wydaje mi się równie mocno powierzchniowa jak norma biologiczna. Jest postrzegana z zewnątrz i nie ma nic wspólnego z duchowością.

MEDYK

Do czego zmierzasz, posługując się tą ezoteryczną zagadką? Przepraszam, powiem teraz coś niestosownego, ale podejrzewam, że kierujesz się uprzedzeniami, że zerkasz na własne środowisko i ustanawiasz swoje ambitne życie duchowe jako normę jedynie po to, żeby ratować opinię dużej części neurotyków, którzy być może nie prezentowaliby się tak imponująco z medycznego punktu widzenia...

TEOLOG

Tak, oczywiście, że „zerkam”, jak to określiłeś! Osobiście zdaję sobie w pełni sprawę z własnych „uwarunkowań”, które ty uznajesz za tak okropne, i daleki jestem od tego, żebym się ich wstydził. Jestem bowiem w stanie wątpić we wszystko, w naukę i tabliczkę mnożenia, ale nie w to, co stanowi o wartościach. I proszę nie cytować frazesów o „życiowym kłamstwie” z czasów, gdy modne było intelektualne podejście do życia. Tu nie chodzi o jakieś wypaczone rozumienie faktów, tylko o specyficzne ich wartościowanie, zatem nic, co miałoby cokolwiek wspólnego z „prawdą” czy z „kłamstwem” w znaczeniu intelektualnym. A więc tak, tak to wygląda: miliony ludzi *spotkały* swojego osobistego Boga, czy to we własnym wnętrzu, w historii, czy przez jego posłańców, a najwyraźniej i w najwyższym stopniu nieporównywalnie w Synu Człowieczym. I jeśli spojrzymy na postacie historyczne w tym właśnie świetle, wówczas uświadomimy sobie, jak całkowicie nieistotne są poglądy, które my w naszej nowoczesnej, dużej, higienicznej świadomości stosujemy do tych wielkich kwestii. Jakie znaczenie ma fakt, że ci oddani Bogu ludzie od czasu do czasu wyrażą swoją pobożność, którą wy zapewne będzie skłonni określić jako patologiczną i być może ja również w stopniu, w jakim także i mnie dotyczą przesady naszych czasów? My czynimy to z innej perspektywy niż oni, to inna ocena, która bazuje na mniejszym doświadczeniu. Nazywacie Lutera⁹ neurotykiem, ja nazywam go duchowo w pełni zdrowym człowiekiem i mędrce. Mogę również powiedzieć, że jego skala wartości, jak i chrześcijan przed nim i po nim, była *zdrowa*, ponieważ budowała na doświadczeniu, na przeżyciach tych, którzy dotarli najdalej i widzieli najwięcej, podczas gdy nowoczesna świecka skala wartości jest *niezdrowa*, ponieważ polega na ocenianiu z dołu, widzi najwyższe duchowe zjawiska z perspektywy duchowej, podkreślam: *duchowej*, niekoniecznie intelektualnej, na poziomie niedorozwiniętej żaby.

nauka, społeczeństwo,
kondycja ludzka

Bóg

⁹Luter, Martin (1483–1546) — niemiecki duchowny chrześcijański i tłumacz, doktor teologii, inicjator reformacji, współtwórca protestantyzmu. [przypis edytorski]

HUMANISTA

Dobrze, że masz silne i zdecydowane doświadczenia świata. Ale dlaczego sądzisz, że my, poganie, ich nie mamy, chociaż nasze oceny i ich gradacja mogą być inne niż twoje? Albo dlaczego zakładasz, że inni się mylą, a ty masz rację — o ile w kwestii wartości w ogóle można mówić o racji. Jeśli kogoś nienawidzę, to na pewno topornych moralizatorów, a głównie dlatego, że mieszaście dwie całkowicie różne rzeczy: jedno to wasze prywatne wewnętrzne doświadczanie piękna — chociaż przyznaję, że to właśnie ono nadaje życiu światło i kolor, co nie znaczy, że różne osoby nie mogą tego odbierać rozmaicie. A druga sprawa to to, co nazwałbym *moralnościami*, a mianowicie zasady naszych działań. Zważ, że mówię o naszych działaniach, nie o naszym myśleniu czy o naszych odczuciach, które powstrzymują nas przed pożarciem siebie nawzajem. Im mniej miesza się te dwie kwestie, tym lepiej. Czy, prawdę mówiąc, nie jest przestępstwem ograniczanie, zastraszanie i zniekształcanie tego, co najbardziej wrażliwe i może się rozwinąć jedynie samo z siebie niczym delikatny kwiat, mianowicie wnętrza etyczne (lub jeśli ktoś woli: nasze wnętrza etyczne czy może nawet bardziej nasze wnętrza uczuciowe, które dokonuje wyboru, nasza subtelna duchowa moc miłości? Czy należy ograniczać ją, straszyć i zniekształcać *przykazaniami*? A z drugiej strony bezdennie głupie mieszanie waszych prywatnych estetycznych poglądów do wszystkiego, co dotyczy funkcji społecznych; myślę tu głównie o regulacjach prawnych, ale również o wszelkim wychowaniu, gdzie celem powinno być stworzenie jak najłagodniejszego i najmniej zauważalnego mechanizmu chroniącego życie obywateli i ich dobre samopoczucie, a nie tworzenie bożków spełniających wasze estetyczne oczekiwania!

TEOLOG

Czyli jak najwięcej *laisser-aller*¹⁰! Tak uważasz? Przyznaję, że dla mnie to nieco za mało. Pomyśl o praktycznych konsekwencjach: masz przed sobą grupę dzieci i młodzieży, dokąd zamierzasz ich poprowadzić? Co chcesz zaproponować tym młodym, gdy staną przed tobą, gorąco pragnąc ideałów? Dasz im kamienie obojętności zamiast chleba życia? Pozwolisz, by szukali po omacku na własną rękę w ciemności? Nie, musimy wyjść od tego co najwyższe, nie najniższe, a już na pewno nie od niczego.

HUMANISTA

Jeśli człowiek potrzebuje ideałów, to możesz by pewien, że je znajdzie!

TEOLOG

Ale jakie, jeśli nie otrzyma żadnych wskazówek? Zapewne strasznie prymitywne.

HUMANISTA

Przynajmniej nie będą sztucznie przyklejone.

MEDYK

Prawdę mówiąc uważam, że obaj jesteście nieco zanurzeni w abstrakcji. Osobiście chciałbym wrócić do tak zwanej perspektywy żaby, a mianowicie empirycznych faktów. To zawsze stały grunt, szczególnie jeśli chodzi o moje doświadczenia, chociaż patrząc w szerszym kontekście, to one oczywiście nie są aż tak istotne. Mam na myśli moich pacjentów z dolegliwościami nerwowymi, których znam znacznie lepiej niż legendarne postaci historyczne. To znaczy, wiem nie tylko, co mówią o sobie, kim twierdzą, że są, i jakimi ideałami świadomie się kierowali, ale znam ich także z nieco innej perspektywy i w nieco innym wymiarze: znam ich ciemne tajemnice, do których niechętnie się przyznają, ale które przecież mają. One istnieją i tworzą własne strachy, które żyją i mają się dobrze, mimo wszelkich wysiłków woli. *Niewykluczone*, a w każdym razie nie wydaje się to całkiem niemożliwe, że ich ideały są zbyt ciasne i zbyt duża część ich wewnętrznej siły nie znalazła tam miejsca i musiała stworzyć swoje własne, z uszczerbkiem dla sąsiadów. Jeśli to prawda, to takie ideały nazwałbym *niezdrowymi*. W każdym razie w odniesieniu do tych konkretnych osób. A być może w ogóle, bo przecież wydaje się, że wszyscy zostaliśmy stworzeni dość podobnie. Twoi legendarni święci też mogliby wiele powiedzieć na ten temat. Pokaż mi świętego, który niósł swoją świętość, nie będąc jednocześnie

Lekarz, Zdrowie, Choroba

¹⁰*laisser-aller* (fr.) — wyrażenie oznaczające zaniedbanie; odpuścić coś sobie, zaniedbać coś lub kogoś. [przypis edytorski]

obarczony własnym prywatnym piekielkiem, jeszcze gorszym od tego, z jakim mają do czynienia zwykli śmiertelnicy! Pokaż mi ich od wewnątrz, a nie ich legendę! Myślę, że na pewno wyglądają nieco inaczej. Są mniej godni zazdrości!

TEOLOG

Godni zazdrości! Owszem, z punktu widzenia twojej moralności szczęścia być może mniej. A przecież nie wiesz nic o tym, co zyskali! Poza tym, łagodnie mówiąc, mijasz się z prawdą, utrzymując, że wszystkim pobożnym ludziom jest trudno. Posunę się nawet do stwierdzenia, że człowiek, który z twojej perspektywy jest jedynie biednym neurotykiem, z wyższego, duchowego punktu widzenia, może być szlachetniejszego zdrowia niż powiedzmy właściwie się odżywiająca i dobrze śpiąca maszyna, która biega w koło, szerząc zdrowy rozsądek i zaspokajając naturalne potrzeby. Biedne człowiecze dziecko, któremu nie dane zostało życie duchowe z jego lękami. Ono nawet nie wie, jakie to uczucie, kiedy zostaje się uwolnionym od tego strachu.

Pobożność

HUMANISTA

Naprawdę nie wiem, dlaczego zdrowsze miałyby być życie w uczuciowym uniesieniu niż posiadanie urojeń, na przykład, że jest się ptakiem i potrafi się fruwać. Czy koniec tak czy inaczej nie jest taki sam: życie nam zaprzecza, fakty chronią nas przed błędami?

TEOLOG

Ja nie mówiłem o uczuciowym uniesieniu. Powiedziałem jedynie, że moralność szczęścia to kiepska moralność i że nie należy się bać prób i cierpienia: złoto hartuje się w żarze, a „tajemnica walki i bólu” zasługuje na wdzięczność. Tak więc myślę, że uniesienie nie jest nikomu potrzebne, nawet jeśli ma się wiarę wielkości ziarnka gorczycy. Wręcz przeciwnie, jestem przekonany, iż wielu pacjentów szpitala psychiatrycznego nigdy nie padłoby ofiarą swoich „chorobliwych” ciągów, które początkowo zapewne były zwykłą złośliwością, lenistwem czy inną złą skłonnością, gdyby posiadli ten prosty nawyk: a mianowicie codziennie rano modlili się poważnie i szczerze. Wtedy byłiby w stanie stawiać czoło zarówno zewnętrznym, jak i wewnętrznym burzom lepiej, niż mając wsparcie jedynie w świecie doczesnym. Na pewno musieliby borykać się z trudnościami i pokusami, musieliby walczyć, cierpieliby, ale być może wygraliby tę walkę. I to jest poważna konsekwencja waszej biologicznej perspektywy! Tak więc wygodniej jest, oczywiście na początku, bo koniec zawsze jest przerażający, obwiniać „chorobę”, z którą nie można nic zrobić, niż poważnie i rzetelnie podejść do tego, co najważniejsze i co stawia największy opór: *grzech*, na który jest jedno i tylko jedno lekarstwo, a mianowicie wybaczenie. Jeśli ucieknie się do ziemskiego lekarza i innych szarlatanów zatruwających dusze, by pozbyć się poczucia grzechu i winy, to znaczy, że sprzedało się swoje prawo pierworództwa za miskę soczewicy¹¹. By nie powiedzieć, że sprzedało się swoją duszę.

MEDYK

Przecież nic o tym nie wiesz, jedynie w to wierzysz!

TEOLOG

Wiem to z doświadczenia. A ty mówisz, jakbyście wy „wiedzieli” więcej, czy chociażby tyle, szafując tymi waszymi twierdzeniami i hipotezami!

Wiedza, Wierzenia

MEDYK

To są hipotezy robocze! My przynajmniej *chcemy* zyskać wiedzę, a ty nie chcesz wiedzieć, nie pragniesz nawet jej poszukiwać, bo przecież skończyłeś z tym. Pragniesz jedynie wierzyć!

TEOLOG

Nasze etyczne podstawy są przynajmniej stałe, a to więcej niż to, co nauka kiedykolwiek może nam zapewnić! Poza tym my także musimy szukać i walczyć, co, powiem ci, na ogół jest ciężkie i gorzkie. „Tylko wierzyć!”. Gdyby to było *takie* proste. Nasza faktyczna „wiedza” jest jak powiew wiatru, jutro wasze świątynie nauki zostaną zastąpione innymi, które w swoim czasie zostaną zburzone, by ustąpić miejsca czemuś nowszemu,

¹¹sprzedało się swoje prawo pierworództwa za miskę soczewicy — odniesienie do biblijnej postaci Ezawy, który sprzedał swoje pierworództwo bratu Jakubowi za miskę soczewicy. [przypis edytorski]

nowocześniejszemu... Przypomina mi się coś, co podobno Hans Christian Andersen¹² napisał w jednej ze swoich baśni: „Wiara ma wszystko, a nasza wiedza jest uboga!”.

MEDYK

I to według niego miałby być dowód na wyższość wiary nad wiedzą?

TEOLOG

Tak to brzmi!

HUMANISTA

Pragnę zwrócić uwagę, iż dyskusja nasza zeszła na bardzo niski poziom, chociaż pewnie żaden z panów tego nie zauważył! Prawdę mówiąc, powróciliśmy do przestarzałego intelektualnego stawiania problemu. Ale czyż nie jest to pułapka, którą warto rozważyć? Czy to rzeczywiście możliwe, że wartości pozostają niezmienione, gdy fakty ukazują nam nową twarz? Nie sądzę. Myślę, że one też się zmieniają.

TEOLOG

To niemożliwe. Czegoś, co dla mnie jest wartością, nikt mi nie odbierze.

Cisza, podczas której wszyscy trzej oddają się rozmyślaniom.

Cóż za zły wódz kieruje chmurami, gdy w ciemnościach zbierają swoje armie, otaczają niebo, potrząsają zbrojami i ruszają do szturm, by ukraść światu światło?

O Panie, czy nawet Ty nie pozostajesz niezmienny? Jak twoja twarz może ciemnieć w naszej duszy i zmieniać się z dnia na dzień? Jak Ojciec może zrzucić swój świetlisty płaszcz i stać się bezlitosnym Sędzią?

Nic, Panie, nie łączy Cię z bożkami, które ludzie stworzyli dla siebie. To cuda z głowami zwierząt, ukoronowanymi podwójnym diademem władzy i przerażenia. Migoczą w ciemności zielonymi kocimi oczami, pomrukuje na okrucieństwo, które ludzkość odłożyła na bok. One nie są twoją rodziną, Panie, Ojciec mój!

Lecz przy końcu świata, który spadnie w ciemność, myśli żywych łopotać będą niczym lękliwe nietoperze; lecąc w dół, zostaną oślepione ciemnością nocy, wzdrygną się przed przepaścią, trzepocząc nad krawędzią, słyszalne jedynie niczym daleki szept, szum obcego morza, obmywającego korzenie przebudzonego świata.

W głębinie może się on odrodzić niczym wiatr czy oddech wokół czegoś, co się porusza. To wystarczy, by przepaść zaczęła rozbrzmiewać burzą i lśnić błyskawicami, a nietoperze uciekły, jęcząc i wzdychając. Na skalnych górskich zboczach drżą niebywałe cienie.

Co my wiemy o tym Straszliwym!

Klub szachowy sił władzy.

Gra toczy się we wszystkich kierunkach. Wysiłki przeciwnika przecinają przestrzeń niczym napięte nici błyskawic, powstają miliardy delikatnie zmieniających się kombinacji, powstają, by sekundę później zostać unicestwione. Odkładane na później problemy, zniekształcone, pomieszan, zyskują niezliczone rozwiązania i napotykać niezliczone przeszkody. Spojrzenie wypatruje końca walk na jednym z milionów pól — i już to jest za dużo dla ludzkiego oka.

Czarne otwierają grę. Pierwszy ruch zawsze jest pogrążony w mroku, owiany tajemnicą. Nikt nie wie, jakie możliwości stworzy ten załazek początku. Nowe życie rodzi się z jednokomórkowych istot pierwotnych, po czym przechodzi cały długi cykl rozwoju, prowadzący do powstania człowieka. W swym prehistorycznym śnie musi rosnąć — potworzyć wszystkie fantastyczne zmiany, wykonać kolejny raz ten ogromny wysiłek przed potężnym skokiem, ponownie przetrwać napięte sytuacje, w których życie rzuciło się w wir odważnego procesu dostosowania się, odtworzyć niczym żywiołowa Missisipi¹³ wielowiekowy proces kreacji, ograniczony do trwającej zaledwie dziewięć miesięcy Imatry¹⁴. Dziewięć miesięcy...? Być może embriom rzeczywiście odbywa wędrówkę w czasie. Na początku każdego życia otwiera się czarna wieczność.

Bóg, Przemiana,
Bałwochwalstwo

Gra

¹²Andersen, Hans Christian (1805–1875) — duński pisarz i poeta, autor znanych baśni. [przypis edytorski]

¹³Missisipi — druga pod względem długości rzeka w Ameryce Północnej, płynąca z północy na południe USA. [przypis edytorski]

¹⁴Imatra — miasto i gmina w pld.-wsch. Finlandii, w regionie Karelia Południowa. Określenie „dziewięć miesięcy Imatry” prawdopodobnie odnosi się do krótkiego okresu rządów, takiego jak rząd Antiego Tulenheimo (1879–1952), premiera Finlandii od 30 marca do 31 grudnia 1925 r.; przenośnię może oznaczać coś, co nie trwa zbyt długo. [przypis edytorski]

Białe odpowiadają jednym ruchem, ale równie głęboko tajemniczym. Nieznany strach napiera na proces tworzenia, blokuje go niczym niewzruszone kamienne głazy, zmusza do przejścia na inny, wciąż jeszcze dostępny tor, idzie za zmieniającymi się formami z ich przeszkodami, aż zaczyna dyszeć niczym ktoś ścigany i rzuca się w dziki eksperyment bądź usycha w bezsilnej degeneracji. Jakie pierwotne marzenia oporu i strachu tkwią w komórkach płodu, zmuszonego bez przerwy do przybierania nowego kształtu, by już po chwili porzucić go dla kolejnej formy? Zasysające prądy morskie, pchające bezwładne istoty pierwotne ku zagładzie, ale i ku życiu? Przeczucie śmierci w zimnej krwi gadów? Wieczne poczucie niewystarczalności wobec nieobliczalnej przyrody i ciężaru materii?

Czarne idą dalej. Gromady półludzi, stworzeń podobnych do cieni, zbierają się wokół tego, co ma nastąpić, by dojrzeć błysk własnego odbicia w tym nasieniu przyszłości. Zielonoocy przodkowie mieszkający w grotach, z błyszczącymi zębami. Powstał człowiek, największy drapieżnik, gatunek dysponujący bronią groźniejszą niż tygrys o kłach niczym szable i wystarczająco szalony, by ją dalej rozwijać.

Białe podążają dalej i chronią się. Napór trwa z dwóch stron: ze strony otaczających nas potężnych sił — to ciemność nocy, oberwanie chmury, trzęsienia ziemi i drapieżniki — zmuszających do uciążliwego nieustannego czuwania i uciążliwych przemyśleń, lecz także ze strony własnego plemienia — to bliskość drugiego człowieka, ale i ludzie zmuszani do kontroli, posłuszeństwa, poddania się czy porzucenia. Wieki, gdy porządek stawał się coraz bardziej surowy, gdy przykazania czerpały z kielicha śmierci i cierpienia, gdy społeczeństwa kształtowały się i rozwarstwiały. Wszystko to tkwi niczym ponury sen w tym, co jeszcze wciąż powstaje. Czy stanie się cechą charakteru, ciągotą, silną skłonnością do uniku, gdy przemówi srogi głos?

Czarne — prosty konkretny ruch. To, co rośnie, rozsada swoją powłokę: poród. Brutalny niczym morderstwo na tle seksualnym — rozwarcie, krew i ból.

Białe odpowiadają na miarę swoich możliwości. Tkanki napinają się niczym sieć wokół miotającej się ryby. Wyrzucony w nieznany świat, na granicy świadomości, w uścisku między ciałem a krwią, zmuszony do walki o życie... Strach, odwieczny strach bierze w posiadanie szamocące się maleństwo, przechodzące przez zawirowania porodu.

...
Czarne. Przychodzę z wnętrza, płynę niczym odwieczny ogień przez tysiące delikatnych naczynek krwionośnych, przez dobrze rozwinięte wrażliwe połączenia nerwowe. Napęlam usta niczym jeszcze nierozwinięty pąk moim głodem, którego wszystkie wspaniałości tego świata nie są w stanie nasycić, rozkwitam: dwie pazerne łapy dzikiego zwierza niczym gorący płomień, drżący, szykujący się do skoku, gotowy zdobywać świat na zewnątrz.

Białe. Szukam mojej broni na zewnątrz — tego, co może stanowić mur dla twego płomienia. I znajduję to, czego szukam! Tam, wśród tego, co uchwytnie i pożądane, wybrzmiewa głos, który zmusi wszystko do uległości. Niesie się niczym wichura po polu, nic go nie powstrzyma. Przynosi szczęście, gdy łaskawie nagradza; zimny, przeraźliwie zimny, gdy żąda natychmiastowego posłuszeństwa. Metaliczny, kłuszący siłą swej woli, ucieleśnienie dźwięku. Idzie z góry i wypełnia całe uniwersum, nie zastanawia się nad przyczyną, nie interesuje go *dlaczego*; „Dlatego, że ja tak chcę”, odpowiada. Metaliczne brzmienie pełne niewypowiedzianych gróźb — pozwala nam dojrzeć pusty, martwy świat, gdzie miłość umarła. Na pustej ziemi widnieją porzucone zamki, bramy zamknięte, okna niczym oczy martwych ludzi; nikt nie otwiera zapomnianemu dziecku, a z ostrego błękitu nieba opada ostatnia jesień na ziemi...

Ten głos to mój główny pionek, który dociera tak daleko, jak to tylko możliwe, porusza się we wszystkich kierunkach, przejmuje wszystkie role. To nim będę gonił cię z miejsca na miejsce, otoczę cię, uduszę.

Czarne. Schwytany dziki zwierz drapie i gryzie. Z otchłani czasu wzywam zielonookich przodków, już ostrzą swoje noże i szepczą śmiercionośne zaklęcia.

Człowiek

Białe. Zbijam twoje pionki, czynię je moimi! Na krzyk zewnętrznego świata pada mocna odpowiedź; myślisz, że na twoją korzyść? Tym głośniejszy usłyszany zostanie też GŁOS. Drapie i gryzie? Będzie musiała drapać i gryźć samą siebie. Masz nadzieję, że jej ręce będą zachłanne? GŁOS je poskromi. Słyszysz powolne metaliczne brzmienie: „Łapy precz! Patrzeć, ale nie dotykać!”. Wtedy dłonie opadają bezsilne. Ich życie zapada w sen zimowy, nie mają odwagi się obudzić. Stają się martwe, co rzadko przytrafia się dziecięcym rękom. Jakby nie miały odwagi czy nie chciały się bronić przed napastnikiem, pozwalają, by kasał je mróz, zwisają niczym spuchnięte fioletowe bryły. „To nieszczęśliwy wypadek!”, powie ktoś nierozsądny — ale ja wiem, jaka jest przyczyna tego nieszczęśliwego wypadku.

Czarne. Odchodzę od zwiędniętych dłoni, cofam się na widok śpiącego ciała. Dziecięce usta, w nich wciąż płonie mój żar podbojów. Przybądźcie wszystkie piękne słowa, dam wam nowe życie, silne jak życie rzeczy uchwytnych! Stworzę świat bliźniaczy do świata widzialnego, pełen tajemnic i radości.

Białe. Odrębny świat! I tak nigdy nie będzie podobny do tego prawdziwego. Skąd ta pewność? Skąd ciągły kontakt z innymi? W prawdziwym świecie ona milczy. Tak, to dobre dziecko, takie, o jakim marzą wszyscy rodzice: ciche, miłe, posłuszne.

Czarne: Nie znasz moich dróg. Snów szalonych niczym koszmary! Tajemne marzenia, fantazje, pełne wściekłości i rozkoszy, o których nigdy nie odważyłaby się opowiedzieć dorosłym...

Białe. GŁOS dociera nawet do snu. GŁOS dociera głębiej niż sen. Sen musi umrzeć.

...

Czarne. Ból, krew i strach — znów! Nowy punkt zwrotny: okres dojrzewania. Teraz jaźń staje się burzą, teraz bunt kruszy jej skały. To, co dotąd zginało kark w poniżeniu, musi powstać w nienawiści!

Białe. GŁOS zabrania nienawiści. Nienawiść jest brzydka.

Czarne. Uważaj na swoje pionki! Twój głos może zostać unieszkodliwiony. Może zostać zdegradowany do roli ojca tyrana, wobec którego opór staje się obowiązkiem. Młody człowiek szuka po omacku nowych ideałów, które mógłby uznać, gdy uwalnia się z poddaństwa dzieciństwa.

Białe. Jestem bezpieczny. Tam jest ideał. Matka, obca światu, ciemniejsza, która nie potrafi oprzeć się złu, czyż nie współdziała z nakazami GŁOSU? Ucieka w świat muzyki. W świecie zewnętrznym jest posłuszna i służy, służy i słucha. Uległa — jest dobra! Z jej obecności płynie błada, bierna miłość, ale jednak miłość. Cóż pozostaje innego niż podziwiać ją i iść za nią; wyciągnąć rękę ku srebrnym stworzeniom, które szły przez świat, nie brudząc się jego cierpieniem, nie pozwalając się splamić jego namiętnościami — tym, które zostały nagrodzone krzyżem i palem, ale wciąż na krzyżu i palu pokornie dziękowały i otulały się srebrzystym blaskiem wyrzeczenia jak płaszczem zwyczajstwa? Srebrne stworzenia stają się jej ideałem. Ale czy wiesz, skąd biorą nieubłaganą stanowczość swoich żądań? Bez rozkazu nie ma też posłuszeństwa.

Czarne. Jest we mnie czerwony żar i biały płomień, są we mnie łopoczące niebieskie rozbłyski. Ogień w niej rośnie i staje się zbyt mocny, byś był w stanie go zniszczyć.

Białe. Ciemiężyc i zamknąć. Jej dni stają się walką z zakazanymi uczuciami. W nocy sypia na podłodze, by uniknąć zakazanych snów. Nie przedrzesz się!

Czarne. Jesteś sprytny. Doświadczałem tego w tysiącach partii. Jesteś bardzo sprytny, ale i tak mnie nie pokonasz. Co najwyżej osiągniesz remis — odgłos strzału czy głośny plusk, gdy ciało wpadnie do wody, lub głęboki oddech kogoś, kto śpi i nigdy już się nie obudzi. Czy tym razem też muszę się upokorzyć? Już dostrzegam taką możliwość... Ale nie na długo. Młodość jest uparta, młodość uniesie rozpacz. Dostosuję się do twoich planów i dalej będę działał. Jestem błyskawicą, jestem wichurą, która niszczy góry i lasy, lecz jeśli zastawisz mi drogę, stanę się trzęsieniem ziemi, które ryje głęboko pod powierzchnią i trzęsie miastami. Duchem zniszczenia? I samozniszczenia? To również. Nazwij mnie, jak chcesz. Jestem wszystkim, co bije i chwyta, jestem ogniem i pożądaniem, nienawiścią i okrucieństwem, siłą początku, jestem tym, co decyduje się na skok. Jestem duchem działania, niszczącym i trawiącym, bez którego nie zostanie położony żaden kamień węgielny, nie powstanie żaden budynek. Jestem jądrem woli. To ja prę do przodu. Ty stanowisz przeszkodę, wstrzymujesz wszystko! Jesteś uparty. Nie! Jeśli mnie

Bunt

zamkniesz, moja złość zwróci się do wewnątrz. Wypuść mnie — a zatrzęsę ziemią! Ale jeśli mnie udusisz — nazwę cię śmiercią.

Białe. Ja też mógłby nazwać cię śmiercią! Gdybym cię puścił, nie wstrząsnąłbyś ziemią — jest zbyt ciężka — ale mógłbyś zatopić ją falą powodziową. Mnie też nie pokonasz! Rdzeniem woli? Rdzeniem woli jestem ja. Tylko tam, gdzie jestem, można mówić o istnieniu woli. Być może, że bez ciebie umrę — ale ty beze mnie staniesz się bezkształtnym pierwotnym sztormem! Nieustępliwe NIE jest jednym z niezbędnych fundamentów formy i kosmosu. A między tobą a mną, niesione naszą walką, unosi się życie...

Co za partia! Twoje stanowisko było od początku tak silne, a teraz... Rzadko zdarza się, że potrzebuję cię tak bardzo.

...

Czarne. Utorowałem sobie drogę, zdobyłem dla siebie przestrzeń. To było niczym topnienie lodu; ryczę jak czarna gwiazdista piana. Jestem uratowany — życie jest uratowane!

Wszystkie jej lęki, całe jej przerażenie zostało przerwane potężną ekstazą! Wybuchła pośrodku codzienności — u jej stóp była miłość, nad jej głową unosiła się miłość, oddychała miłością. Wszelkie lęki zniknęły, a wielkie marzenie rozkwitło.

Białe. Czyja miłość?

Moje plany są tajne. Osaczę cię.

Czarne. Nie boję się ciebie! Przechytrzę cię tysiąc razy i tysiąc razy postawię ci nową, nagą duszę na nowym brzegu!

Białe. Broń się!

Niepokój mówi: Precz! Na zawsze precz!

Co on oznacza, ten niepokój? Dokąd prowadzi? Zmusza duszę do porzucenia tego, co ma, uniemożliwia poszukiwanie czegoś nowego. Czym jest znudzenie tym, co kiedyś się znalazło, czym jest ta wielka tęsknota za czymś, czego nikt nigdy nie znajdzie, a która sprawia, że załamujemy ręce i oddajemy się rozpacz?

Zawsze tak było. Będąc dzieckiem, Malin wybuchała płaczem na sam dźwięk słowa „tęsknota”. Było ono zbyt mocne, naładowane śmiertelnością siłą. Mówiło o tym, co zostało utracone na zawsze, o tym, co najważniejsze, jedyne, co pochłonęła otchłań kiedyś, na początku czasu, nikt nie wie dokładnie kiedy. Wszystko, co naprawdę piękne, potrafiło sprawić, że ogarniała ją dręcząca, beznadziejna tęsknota, tak że niekiedy zaczynała się kołysać niczym w bólu. Tam gdzieś daleko, tam daleko...

Przypomniała sobie pewien wieczór krótko po swoim nawróceniu, kiedy matka i ona stały na werandzie, patrząc w dal. Przypomniała sobie przezroczyste złociste niebo, a na jego tle osiki — czarne i chude, z drobnymi listkami. I wtedy nagle uświadomiła sobie, że jej niepokój zniknął, nic już nie ciągnęło jej gdzieś tam daleko. Wieczny spokój kwitł tutaj, tu i teraz, wewnątrz niej. Podczas ostatniego pół roku, gdy zastygła w ochoczym posłuszeństwie, wypełnił ją jak nigdy wcześniej: cisza w porcie po sztormie, odpoczynek po rozterkach.

A teraz...

Jak do tego doszło, tego nie wiedziała. W Boże Narodzenie była jeszcze spokojna. Pamiętała spacer po lesie w jeden z ostatnich dni ferii; krzaki borówek wystawały spod topniejącego śniegu, powietrze pachniało czystością i wilgocią, mchem i roztopami, a ona była przesiąknięta jedynym, co było warte posiadania: spokojem. Spokojem poza wszelkim rozumem. Szła i szła przez mokry, świeży las — w spokoju.

Potem coś musiało się wydarzyć, bo nagle stała się inną osobą. Nie wiedziała, co takiego nastąpiło.

Niepokój powrócił — silny jak nigdy wcześniej.

W jakiś sposób straciła kontakt z boską wolą.

Tęsknota jest zabawą. Jednak gdy urasta i staje się poważna, zostaje nazwana strachem.

Precz! Na zawsze precz! Precz! Precz!

Módl się i pracuj!

Podręczniki piętrzyły się na biurku, jeden był nawet otwarty, długo już tak leżał. Ile czasu spędziła, siedząc nad pedagogiką? Nie mogła dobrać do końca. Był pewien fragment, po lewej stronie, który czytała już kilka razy, ale nadal nie miała pojęcia, co tam było napisane. Litera przelatowały jej przed oczami niczym długie, pozbawione sensu

Tęsknota

zdanie, nie potrafiła dojść z nimi do ładu, jakby tajemnicza siła odśrodkowa wyrzucała je gdzieś w przestrzeń. A w środku tego zawirowania tkwiła jakaś dziwna niecierpliwość, która nie bardzo wiedziała, czego chce. Rozbijała wszystko, rozpraszała myśli, rzucała na wiatr wszelkie pojęcia, a powstałe pustki nie wypełniała niczym, tylko sobą — pozbawioną celu niecierpliwością...

Wstała, rzuciła się na kolana przy łóżku. Modlitwa! Jedyne, co mogło jej pomóc. Gdyby tylko potrafiła się modlić, na pewno pozwoliłaby jej znów stać się całością i wskazać drogę do sedna jej duszy. Ale nie potrafiła. Minął tydzień od ostatniego razu, gdy w spokoju mogła zagłębić się w modlitwie. Przeszkadzała jej dziwna niecierpliwość. Musiała ją przezwyciężyć. Jeśli tylko czegoś się chce, to można to osiągnąć.

„Nic nie jest w stanie mi przeszkodzić, poza własnym lenistwem i brakiem chęci”, pomyślała i zamknęła oczy.

Ale nie była w stanie wytrwać. Dziwny niepokój powrócił i rozbił ją. Zamieszał w jej duszy, zburzył jej skupienie. Próbowwała wziąć się w garść, ale on opanował ją niczym przymus, silniejszy od jej woli. Ponownie zdobyła się na wysilek, ale już po chwili jej myśli po raz kolejny zaczęły wędrować samopas. Zastanawiała się, dlaczego tak ciężko było jej oddychać i dlaczego miała ochotę wstać i uciec.

Bez sensu było próbować dalej. Coś było nie tak i to coś było silniejsze od niej.

Próba? Próbę można przejść, jeśli się wie, że po drugiej stronie rozpościera się widok na wolność.

Podczas próby człowiek nadal żyje, jeśli ma wsparcie i pomoc, której jej tak bardzo brakowało. Czy to naprawdę takie trudne? Skoro wiadomo, że Bóg istnieje? Skoro wiadomo, że to tylko próba.

Ale to wyglądało inaczej. Wówczas, podczas prób, którym już wcześniej została poddana, jej siła woli była absolutna, musiała ulec jedynie temu, nad czym nie była w stanie zapanować. Teraz jednak przeszkodą była jej własna wola. A raczej jej brak.

Czyli nie była to próba, tylko zło — to ono oddzielało ją od Boga.

Co takiego zrobiła? Czy to była jej wina? Jak mogła to odpokutować?

Ponownie zamknęła oczy i z całej siły, aż do bólu, próbowała szturmować zamknięte drzwi. Jeśli krzyk z ciemności mógłby dotrzeć do tronu Boga, to była właśnie ta chwila, teraz — teraz — teraz...

Lecz niepokój wiązał ją niczym bezsilność i rozsadał jej skupienie od wewnątrz. Na wszystko wokół niej padał pył, gdy bez ruchu patrzyła na błyszczący zielony klosz lampy, jakby szukając rozwiązania czy może drogi ucieczki. Powoli, powoli zbliżało się nieznane jej niebezpieczeństwo i chwyciło ją za gardło.

Módl się i pracuj!

Jeśli nie możesz się modlić — pracuj!

A jeśli nie możesz pracować?

Paraliż ciała od stóp do głów. Paraliż duszy. Paraliż woli. A za nim tłący się niepokój, który nie znajdował wyrazu w działaniu, czynach, słowach czy myślach, tylko po prostu był, był i trawił ją, niszczył w dzień i w nocy.

To było najgorsze: nawet na pracy nie była w stanie się skupić; na zajęciach czy przy odrabianiu zadań była nieuważna, jakby całe jej zainteresowanie trafiało do rozgrzanego do białości pieca, gdzie w głębi buchał strach i żadne rozwiązanie nie było możliwe.

Dzisiaj wielka rozpacz ogarnęła ją w związku z lekcją historii po przerwie: chodziło o jarla Birgera¹⁵ i jego synów. Wielokrotnie próbowała przekonać samą siebie, że nie miało sensu cierpienie z powodu czegoś, co przecież umiała, co było sprawą doczesną i co i tak zaraz minie. Jesienią podchodziła do wszystkich lekcji z radosną ufnością. Jeśli coś poszło nie tak, to następnym razem musiała po prostu bardziej się postarać. Teraz wszystko napęniało ją strachem. Może nie tyle strachem przed porażką — była to raczej rozpacz przed czekającym ją wysiłkiem, by w ogóle coś zrobić. Zrobić coś, być kimś, chcieć czegoś. Na nic nie miała siły.

Modlitwa

Strach

Strach, Rozpacz

¹⁵*Birger jarl* a. *Birger Magnusson* (ok. 1210–1266) — możnowładca szwedzki, prawdopodobny założyciel Sztokholmu, uznawany za najwybitniejszego męża stanu średniowiecznej Szwecji, twórcę królestwa Szwecji; jarl to staronordycki tytuł szlachecki oznaczający wodza, namiestnika królewskiego lub możnowładcę. [przypis edytorski]

Wszystko było duszne, ciężkie, długie. Wielkie Wymagania były ponad jej siły. Wróciło do niej przypominające koszmar uczucie z dzieciństwa: wyobrażenie czegoś nieskończonego, czegoś, co w jakiś sposób trzeba było opanować — bułka, która była niczym góra, a którą trzeba było przegryźć, albo ogromna śliska kula, którą trzeba było podnieść, czy coś innego, nieokreślonego, nie do opisania, nie do pojęcia myślą, coś, co przynależało do świata, w którym obowiązywały inne prawa natury, a w tym musiało wzbudzać uczucie rozpaczliwej bezradności. Teraz też tak było.

Już sama brama o poranku — wielka, ciężka brama, prowadząca do seminarium. Gdy przed nią stała, ogarniała ją krepująca bezsilność; tkwiła przed nią niczym Calineczka¹⁶ przed bramą olbrzyma, a przecież musiała ją otworzyć. Nie, nie miała siły na tak wielki wysiłek... Nie miała siły, musiała zaczekać, aż ktoś inny uniesie dłoń i ją uwolni... A jednak codziennie wchodziła do środka.

A kiedy już znalazła się wewnątrz i patrzyła na szerokie schody, czuła, jak coś chwytą ją za gardło, niczym przed zagrażającą życiu górską wspinaczką. Nie, nigdy nie uda jej się wejść. A jednak codziennie szła do góry i trafiała do klasy.

Każdego ranka miała wrażenie, że właśnie ten dzień okaże się nie do przeżycia — stanie się górą strachu, przez którą musiała przebrnąć, niczym przez ogromny tort naleśnikowy z krainy mlekiem i miodem płynącej¹⁷. O dziwo nie istnieje przedział czasu, który kiedyś by nie minął, więc w końcu wsiadała do pociągu. I bała się, że minie Tullinge¹⁸, gdzie miała wysiąść, a przecież pokonywała tę drogę do i ze szkoły przez sześć lat. Od stacji wiódł dziesięciominutowy trakt, nieskończenie długi, aż do podnóża wzgórza. Najchętniej usiadłaby tam i szlochała z rozpacz. Jednak nigdy dotąd tego nie zrobiła, zawsze pokonywała tę trasę. Ale gdy stała przed pomalowanym na czerwono domem, w którym mieszkała, miała wrażenie, że ma za sobą kolejny dzień w krainie śmierci.

Zresztą czerwony dom nie był celem! Nowy lęk, nowa rozpacz. Nowe popołudnie, godziny przed każdą lekcją, zanim cokolwiek zostanie zrobione, godziny strachu przed wykonaniem zadania, bezkresny, bezsensowny lęk, który porażał i obezwładniał. Kiedy kończyła, miała ochotę podrzeć swoją kiepską pracę, ale do rana i tak nie zdążyłaby zrobić niczego innego, więc musiało zostać tak, jak było. Poza tym nie śmiała podnosić ręki w tak gwałtownym akcie.

A potem kolejna noc z nowych lękiem.

Co zrobiła, by zostać wrzucona w otchłań bez dna? W jakiś sposób zawiodła. Jakby wszystko, co robiła, było nieustannym zawodem wobec zadania, które zostało jej powierzone. Gdzieś musiała istnieć jakaś granica, moment, w którym jeszcze mogła wybierać — i w którym wybrała zło. Teraz już nie miała wyboru, była bezsilna wobec burzy, która przejęła panowanie nad jej duszą, nie była w stanie się jej oprzeć. Nadeszła niczym wrzask i zabrała ją ze sobą, nie przejmując się jej podrygami, tak jak morze nie przejmuje się byle komarem.

Nie potrafiła powiedzieć, skąd pochodził ani do kogo był skierowany jej wewnętrzny krzyk o pomoc.

Niemożliwe, żeby nie było dla niej ratunku. Żaden człowiek nie nagrzyszył aż tak, żeby nie dostać wybaczenia. Dopóki jej wola była czysta.

Ale to właśnie był słaby punkt.

Jej wola nie była czysta! Nie była ani absolutna, ani czysta. Przecież nawet nie potrafiła skupić się na modlitwie. Nie potrafiła siedzieć spokojnie podczas lekcji, kręciła się pełna niepokoju, pisała i rysowała, a jej myśli wędrowały swoimi drogami — jej zewnętrzne myśli. Bo ta najważniejsza, wewnętrzna, tkwiła nieruchomo przyssana do jedynego uczucia, które ją przepełniało: lęku.

Zapatrzenie w siebie — tak to się nazywa. To coś brzydkiego, coś, co należy zwalczać. Należy! Ale to niemożliwe. Słaba wola — tak to to się nazywa. Jej wola została skażona trucizną. A może chodziło o to, co ludzie w dawnych czasach nazywali opętaniem? Może więc zawładnął nią Diabeł.

¹⁶Calineczka — tytułowa bohaterka jednej z baśni Hansa Christiana Andersena (1805–1875). [przypis edytorski]

¹⁷ogromny tort naleśnikowy z krainy mlekiem i miodem płynącej — chodzi o Kukanie (szwedz. Schlaraffenland), bajeczną krainę wiecznej szczęśliwości, obżarstwa i próżnowania. [przypis edytorski]

¹⁸Tullinge — przedmieście Sztokholmu, leżące w gminie Botkyrka. [przypis edytorski]

Kiedys zostało dane jej to, co najważniejsze — nadaremnie. Wejrzała w krainę wieczności. I obiecała święcie, że zawsze, zawsze...

„...jestem świadoma, iż zasłużyłam sobie na wieczne potępienie...”.

Przerażające słowa. *Skazana — na wieczne — potępienie!*

TAK!

Kiedy dorastała, wiedziała, że życie było przerażające. Opowieści z czasów Wielkiej Wojny¹⁹ potwierdzały jej przypuszczenia.

Potem nastąpiły lata, gdy o tym zapomniała. A teraz znów sobie to uświadamiała.

Głównie wieczorami, gdy kładła się spać. Strach pojawiał się w mroku, niczym bańki z głębi rzeczywistości. Wszystko widziała na własne oczy, czuła całym swoim ciałem.

Staruszkę, broniącą swojego miasta, żołnierze rozebrali do naga, przywiązali do armaty i ciągnęli za sobą, aż z kobiety nic nie zostało, dosłownie nic.

Podczas rewolucji fińskiej pewnej rodzinie przybito języki gwoździami do blatu stołu...

Podczas szturm na — Boże, Boże, oszczędź mi tego, nie chcę tego oglądać, a jednak muszę — czy naprawdę muszę to przeżywać po raz kolejny, noc po nocy?

Leżała nieruchomo, złana zimnym potem, próbując odgonić koszmary, ale nie była w stanie. Myśleć o czymś innym? Niemożliwe. Gdziekolwiek spojrzeła, byli zakrwawieni ludzie, a w dłoniach katów tkwiły błyszczące narzędzia.

Podczas wojny trzydziestoletniej, jeden z naocznych świadków...

W średniowieczu używano... Tak to się odbywało...

Inkwizycja...

Nie była w stanie jęczeć, jedynie patrzeć i czuć.

Wszystko to już minęło. Czyżby? Oni wszyscy już nie żyją, zadłężeni na śmierć. Zaznali spokoju? Przyjemna myśl. Jakby można było usunąć wszystko, co wycierpieli. Jakby można było jakkolwiek zmienić, *wykreślić* to, co przecież miało miejsce. Jakby można było *zaakceptować* bezkresny lęk, bo ostatecznie wszystko idzie naprzód. Ale to wszystko *wówczas* się działo i było rzeczywiste, wówczas to teraz, cała wieczność cierpienia mieszcząca się w sekundzie. Co się stało, nie mogło się „odstać”. W pewnym sensie wszystko nadal istniało, nadal było prawdziwe — to, co się stało, i to, co działo się teraz. To nie mogło nigdy się zmienić. To był fakt, nieodwołalny, najlepiej wyrażony w marzeniu o wieczności: gdzieś istniało to wszystko jednocześnie — i radość, i przeżenie. Wszystko. Jeśli ktoś chciałby nazwać to Bogiem czy Niebem, musiał brać pod uwagę, że było w tym także coś innego. Pocieszanie się, że to już minęło, było równie krótkowzroczne jak pocieszanie się, że działo się to daleko stąd, aż w Södertälje²⁰... O tym wszystkim zapomniała — i była szczęśliwa!

„Cieszyć się, gdy cierpią bracia i siostry, wtórować w chórze milionów zrozpaczonych; można próbować określić głębię piekła, lecz głębi tego grzechu nie da się określić”²¹.

To była prawda! A potem zadziwiający ciąg dalszy:

„Chrystus chciał zbawić radość, lecz on nie przyjmował radości. Radość ma zostać zduszona przez strach, a strach ma zbawić świat”²².

Powtarzała sobie w ciemności te ostatnie linijki, trzymając się ich mocno. Brzmiały niemal jak obietnica. Czy *po drugiej* stronie strachu było zbawienie? Czy trzeba było wychylić kielich goryczy do dna? By mieć pewność, że posmakowało się *wszystkiego*? Być może tam, w tej wielkiej wieczności było coś więcej niż tylko radość i strach, być może było też pogodzenie się? Nie dlatego, że strach minął — bo nie minął — ale właśnie dlatego, że nadal trwał? Można by przypuszczać, że istniało oszałamiające Amen, które było w stanie zagłuszyć nawet to co najstrasniejsze?

Ale nie *to* — nie to, co słyszała o wojnie trzydziestoletniej...Boże, uratuj mnie, zabierz to! I na tym polegało jej tchórzostwo, na tym, że prosiła, by to zniknęło. To, przez co ludzie tacy jak ona przechodzili naprawdę.

Przemiana, Cierpienie

¹⁹ *Wielka Wojna* — przed drugą wojną używano przeważnie tego określenia w odniesieniu do pierwszej. [przypis edytorski]

²⁰ *Södertälje* — przemysłowe miasto w Szwecji, położone ok. 30 km od Sztokholmu. [przypis edytorski]

²¹ *Cieszyć się, gdy cierpią bracia i siostry, wtórować w chórze milionów zrozpaczonych; można próbować określić głębię piekła, lecz głębi tego grzechu nie da się określić* — cytat z wiersza Viktora Rydberga (1828–1895) *En budbärare från Golgata*. [przypis edytorski]

²² *Chrystus chciał zbawić radość, lecz on nie przyjmował radości. Radość ma zostać zduszona przez strach, a strach ma zbawić świat* — cytat z wiersza Viktora Rydberga (1828–1895) *En budbärare från Golgata*. [przypis edytorski]

Jeśli przestałaby o tym myśleć, czy wówczas stałoby się mniej rzeczywiste? „To daleko stąd, aż w Södertälje!” — tam, w wieczności, wszyscy być może staniemy się jednością. Może dlatego musimy doświadczyć cierpienia innych, nie uwolnimy się od niego. I stąd, z tego źródła, niewidzialnego, nieznanego, ale obecnego na każdym kroku, płynie zapewne przekonanie, że musi przejść przez wszystko to, przez co przechodzili inni — nie jedynie w myślach, w swoim własnym bezpiecznym łóżku, z którego mimo strachu wstanie cała i zdrowa, chociaż lekko zataczająca się z niewyspania, ale w rzeczywistości doświadczyć tego na własnej skórze, krwawić i cierpieć tak strasznie, że przechodzi to ludzkie pojęcie, zostać okaleczoną, co oznacza niepowetowaną stratę. Dlaczego jej miałyby to zostać oszczędzone, skoro innym nie? A *jeśli*by jej tego oszczędzono — to tym gorzej! Bezprzykładna niesprawiedliwość, zbyt ciężka wina. A teraz to co najstraszniejsze: w chwili, kiedy zrozumiała, że pojednanie mogło istnieć jedynie po drugiej stronie tego wszystkiego i nic nie zostało jej darowane — zaczęła z całej siły bronić się przed tym, *nie chciała* tego przeżywać, *nie chciała* tego przyjąć, *chciała* oddzielić się od cierpienia, *chciała* go uniknąć. Czyżby nie było żadnego miejsca, gdzie mogłaby się ukryć, a to, co teraz przechodziła w swojej wyobraźni, mogłoby zostać jej odjęte od tego, co jeszcze straszniejsze: wrzący olej, w którym zostaje się powoli zanurzonym, jelita, które z wolna opuszczają ciało? Mogłoby to stać się pewnego rodzaju zadatkiem — byłaby to niewielka ulga, ale jednak. Jej tchórzostwo było grzechem śmiertelnym, wiedziała o tym. Pragnęła uniknąć cierpienia, którego doświadczali inni! Pozostawało to co zawsze, co odwieczne: „Nie moja wola, tylko Twoja!”²³.

Ale nie mogła.

Jej życie w Bogu okazało się iluzją. Teraz, kiedy stanęło przed nią naprawdę wielkie wyzwanie, żądanie pełnego odstąpienia od własnej woli i pełnego oddania, zawiodła. Ale czy miałyby siłę się ugiąć — właśnie wtedy? A więc do upadku doszło między wówczas a teraz. Tak czy inaczej — upadła i była bezradna.

I dlatego też zasłużyłam na wieczne potępienie.

Przez chwilę zastanawiała się, czy może powinna się udać do pastora Borga, u którego przystępowała do konfirmacji. Ale już sama myśl wydała się jej absurdalna. Przypomniła sobie jego nauki przed konfirmacją, co prawda rozsądne i praktyczne, ale tak naprawdę niewiele mówiące; przypomniała sobie też lata, które minęły od tamtego momentu, lata, podczas których nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby spotkać się z pastorem i opowiedzieć mu o swoich problemach. Z jego szybkich ruchów i energicznych działań emanowała zaprogramowana pewność siebie. To ją odstraszało, było czymś już uformowanym i bez życia, czymś bezboleśnie nieorganicznym, czymś, co nie miało związku z tą organiczną walką o swoje powstanie. Teraz już nie pamiętała wszystkich szczegółów, ale tuż po konfirmacji była w stanie przewidzieć jego odpowiedzi na konkretne pytania — więc nie, z jego strony nie miała czego oczekiwać. W końcu skupiła się w myślach na nauczycielce religii w pierwszej i drugiej klasie gimnazjum, pannie Mogren.

Jej wielką zaletą było to, że była zwykłą nauczycielką, więc mogła też być osobą prywatną. Panna Mogren wydawała się nią być w najwyższym stopniu — kobieta w średnim wieku, o ostrych wyrazistych rysach, która mogłaby sprawiać wrażenie osoby surowej, gdyby nie bijąca od niej nieco marzycielska pobożność. Potrafiła mówić, czemu dawała upust podczas lekcji, niekiedy nawet aż za bardzo. Do tego stopnia, że czasem trudno było za nią nadążyć; szczególnie dotyczyło to tych dziewcząt, które miały nieco inne zainteresowania. Ziewały w ukryciu i myślały z niechęcią o długich godzinach nauki religii. Malin słuchała jej zafascynowana. Panna Mogren komentowała życie z ciekawej perspektywy, jeśli tylko ktoś zadał sobie trud, żeby rzeczywiście jej słuchać. W jej wypowiedziach było wszystko, nieco podkolorowane i uszlachetnione jej bogatą i niezwykłą osobowością, ale poza tym bez zbytej dyscypliny — różne pomysły i odczucia z okresu dzieciństwa, młodości poszukiwania i niepewność, bogate doświadczenia związane z ludźmi i lekturami z okresu studiów; a potem wielki świat walczących duchów, ruchów religijnych, które panna Mogren zgłębiała w trakcie długich lat pracy, pochłaniając książki, podróżując i uczestnicząc w konferencjach tak samo intensywnie, jak robiła to we wczesnej młodo-

Cierpienie

Upadek, Pozory

Książd

Nauczycielka, Religia

²³Nie moja wola, tylko Twoja! — cyt. biblijny, Łk 22:42. [przypis edytorski]

ści — zawsze dając się wciągnąć nieprzewidywalnemu prądowi, zawsze równie bezradna co zachwycona.

Do niej postanowiła zwrócić się Malin: na pewno nie przedstawi jej żadnego gotowego celu, a jednak będzie miała sporo do powiedzenia — podzieli się własnymi doświadczeniami, ciekawymi referatami odnoszącymi się do religijnych biografii, a być może także nowymi i zaskakującymi punktami widzenia.

Zadzzwoniwszy i upewniwszy się, że panna Mogren jest w domu, Malin pewnej niedzieli udała się do Sztokholmu na spotkanie z nią. Było to duże przedsięwzięcie. Sama nie wiedziała, jak zdołała wykrzesać z siebie tyle stanowczości.

Weszła z mocno bijącym sercem. Uznała się niemal za bezczelną, żądając od drugiego człowieka uwagi w sprawach, które tak naprawdę dotyczyły przecież wyłącznie jej samej, a poza tym nie były wcale przyjemne. Jej wstyd pogłębił się, gdy spotkała się z serdecznością, graniczącą niemal z wdzięcznością. Panna Mogren naprawdę była jej wdzięczna. Gdy ktoś odwiedza nas, by czymś się podzielić, okazuje nam swoje zaufanie. Lecz ta serdeczność wprawiała Malin w zakłopotanie.

Nie wiedziała, jak zacząć. Więc — co miała powiedzieć? Jakie pytania zadać? Było jak było, o co tu pytać?

Ale panna Mogren pomogła jej.

— Cóż — zaczęła, sama też lekko skrępowana i zmieszana — rozumiem, że przyjechała pani, żeby porozmawiać o jakiejś szczególnej sprawie. Z własnego doświadczenia wiem, jak trudno jest taką kwestię wyłożyć. No i nie wiem, czy będę mogła być pani w czymś pomocna. Nigdy nie ma pewności, czy ta druga osoba podąży drogą, która jest nam bliska. Ale wysłuchać można zawsze; myślę, że często już samo to może nam pomóc. Bo tłumacząc coś drugiej osobie, tłumaczymy to też sobie samym. Czyż nie tak? A ja zawsze chętnie wysłucham, o ile zechce mi pani coś opowiedzieć. To chyba najmniejsza przysługa, jaką możemy komuś oddać, prawda?

— To już bardzo dużo! — stwierdziła Malin, po czym ponownie zamilkła.

Chciała od razu wszystko opowiedzieć, ale jej pytanie nie miało ani początku, ani końca, nie potrafiła wyrazić, w czym tkwiło sedno sprawy.

Panna Mogren mieszkała ma najwyższym piętrze w kamienicy na obrzeżach miasta. Z okien rozciągał się szeroki, aczkolwiek nieco ponury widok na pomalowane na czarno i czerwono blaszane dachy z różnorodnymi kominami, na wiatrowskazy i rynny, a w dole ciągnęły się biedne, smutne ulice, pokryte topniejącym śniegiem. Malin wiedziała, że zaledwie kilka miesięcy temu obraz ten wzbudziłby w niej tęsknotę i zachwyt. Byłby swoistym symbolem zadania, któremu poświęciła się panna Mogren, a o którym Malin marzyła: pracy z dziećmi i młodzieżą w mieście. Poza pojedynczymi lekcjami w różnych liceach, panna Mogren wykonywała też, jako wolontariuszka, bardzo wymagającą pracę — współpracowała z wieczorową chrześcijańską szkołą społeczną, głównie dla młodzieży, co także Malin miała w swoich planach na przyszłość. To je łączyło. Zaledwie kilka miesięcy temu wszystko to napawałoby ją nadzieją i było dla niej bodźcem — prosty, niemal ascetyczny pokój, w którym jedynie książki miały w sobie coś osobistego, oraz widok na wyzwanie, które ją czekało: smutna i biedna część miasta. Teraz jednak to wszystko zamieniło się w rozpacz nad tym, co kiedyś miało być jej przyszłością, jej pracą. Nie miała dość siły, by podolać choćby w minimalnej części tak ogromnemu zadaniu. Było zbyt ciężkie! Zbyt duże! Zbyt przytłaczające!

Musiła coś powiedzieć.

— Boję się, że umieram. Mam na myśli śmierć duchową — odezwała się cicho.

— Drogie dziecko, to brzmi strasznie! — odpowiedziała panna Mogren, łagodnym, niemal matczynym tonem, ale bez cienia ironii czy wyniosłości. — Dlaczego pani tak uważa?

Malin siedziała i nie potrafiła sformułować zdania.

— Mam złą wolę — powiedziała w końcu.

— Cóż, zdarza nam się tak myśleć — stwierdziła panna Mogren, patrząc na podłogę nieco zmieszana. — Wiele osób tak myśli i wyciąga z tego wnioski. Augustyn²⁴ miał

Miasto, Szkoła,
Nauczycielka, Pozycja
społeczna, Praca, Uczeń

²⁴Augustyn a. Augustyn z Hippo (354–430) — filozof i teolog, święty katolicki i prawosławny. [przypis edytorski]

dokładnie takie odczucia i chyba można go zrozumieć. My, urodzeni i wychowani w kraju luteranckim, nie powinniśmy mieć problemów ze zrozumieniem go, chociaż to zawsze sprawa bardzo indywidualna. Niektórzy skłaniają się w stronę radosnej i optymistycznej wiary, inni muszą pokonać ciemność, by dojść do światła; to ci urodzeni raz i ci urodzeni dwukrotnie, o których mówi William James²⁵. Ale przecież mamy przed oczyma przykład Lutra. On też należał do tych, którzy musieli pokonać ciemność, by dojść do światła, być może zyskując w ten sposób siłę i moc. Zastanawiam się, czy to jednak nie jest dość powszechne: najpierw musimy dotrzeć do dna swojej słabości, by następnie dojrzeć coś innego, silnego.

Malin słuchała, siedząc, ale słowa nie robiły na niej większego wrażenia. Augustyn i Luter osiągnęli swoje, co ona miała z nimi wspólnego? Nagle wypełniło ją uczucie nienawistnej zazdrości wobec wszystkich, którzy osiągnęli zbawienie — czy mógł istnieć lepszy dowód na to, że naprawdę została odrzucona? Tęsknota za zbawieniem przybrała kształt nienawiści.

Panna Mogren czuła, że nie udało jej się nawiązać prawdziwego kontaktu ze swoim gościem. Nic dziwnego, skoro natychmiast zaczęła od historii i psychologii religii. Powinna była zacząć od samej Malin, od jej konkretnych problemów.

— Może ma pani trudną sytuację w domu? — spytała z lekkim wahaniem.

Malin pokręciła głową.

— Nie... Tak... To znaczy nie tego rodzaju trudności. Czy raczej powiedziałabym, że jedno wynika z drugiego.

— Z „drugiego”?

— Nie potrafię słuchać mojego sumienia. I wtedy ono boli, tracę kontakt z Bogiem i od razu wszystko inne też nie układa się tak, jak powinno; także w domu i w seminarium. Ale to bez znaczenia, bo najgorsze jest to, że *nie jestem* w stanie go słuchać, dlatego że *nie chcę* go słuchać.

Signe Mogren nie lubiła takich abstrakcji. Nienawidziła wszystkiego, co było można nazwać systemem, nie tolerowała próżnych prób wtłoczenia życia w martwe formuły. Miała natomiast niezwykle upodobanie do konkretnych i barwnych faktów — a większość była według niej właśnie taka. Była też obdarzona instynktownym psychologicznym wyczuciem, które sprawiało, że każdy, kogo znała, wydawał jej się żywym dramatem.

Ponieważ Malin wyrażała się tak abstrakcyjnie, Signe Mogren poczuła się, jakby ktoś wrzucił ją na głęboką wodę fantazji i tajemnic, nie udzielając żadnych wskazówek. Będąc kobietą zaangażowaną społecznie, mogła wybierać z bogatej galerii osób i ich losów. Pojawiały się w mroku ulic, w chorobliwie żółtym świetle latarni, dwuznaczne twarze, na których malowała się walka. Przewijały się w jej wyobraźni niczym wyraźne obrazy, czasem któryś pozostał przed jej oczami chwilę dłużej, bo niedawno właśnie tym się zajmowała. Na przykład młoda, łagodna, piegowata twarz dziewczyny z szopą rudawych włosów i dużymi ustami, dziwnie niebudzącymi zaufania... Ale właśnie te niebudzące zaufania usta potrafiły ciepło się uśmiechać, tak bezwarunkowo i ufnie jak żadne inne. W tym przypadku walka dotyczyła skłonności do zdrady. Narzeczony dziewczyny zniknął, niekiedy nie było go kilka miesięcy, istniały wystarczające powody, by podejrzewać go o niewierność, a mimo to ona nie potrafiła od niego odejść. Gdy tylko pojawiał się w jej polu widzenia, wszystko szło w zapomnienie. Z drugiej strony trudno jej było ograniczyć się wyłącznie do niego... Co i rusz pojawiał się ktoś nowy, angażowała się i wydawało się, że rzeczywiście go lubi — każdego z nich na swój sposób — a mając wiernego przyjaciela... Przyszła tu, by ulżyć swemu sercu, rozmowa przebiegała, jak przebiegała, ale na koniec okazało się, że to z jej sumieniem było coś nie tak. Sumienie wiedziało, że należy trzymać się jednego. Porzucić któregoś z tych dwóch. Tyle że to było takie trudne. Ale sumienie wiedziało...

Czy wygra — i kiedy?

Drugi przypadek: ściągnięte brwi nad głęboko osadzonymi oczami, tak mocno, że na

Sumienie, Zdrada,
Wierność

Robotnik, Sumienie

²⁵James, William (1842–1910) — amerykański filozof i psycholog; wprowadził rozróżnienie na ludzi „urodzonych raz” (*once-born*) i „urodzonych dwukrotnie” (*twice-born*), opisując typy osobowości w kontekście religijno-duchowym: pierwsi to to ludzie zadowoleni z życia, a drudzy to ci, którzy przechodzą kryzys duchowy, doświadczając cierpienia i odnajdując sens w wierze. [przypis edytorski]

środku powstała pełna goryczy brudza; lecz gdy mięśnie się rozluźniały, czoło się wygładzało i stawało się czołem myśliciela, czołem nieco wywyższającego się, zrezygnowanego obserwatora. Młody robotnik był komunistą, ale chętnie przychodził do niej, by porozmawiać — może dlatego, iż czuł jej wewnętrzną pewność siebie, a może po prostu dlatego, że posiadała potrzebną wiedzę. Dużo czytał, także dzieła filozoficzne, i w końcu przyznał, że niekiedy przychodziło mu na myśl, iż buntownicza gorycz była czymś niskim i mało szlachetnym. Jednak trudno było nie być zgorzkniałym. Nie nazwał tego sumieniem — tak daleko jeszcze nie doszedł — lecz ona wiedziała, że to właśnie sumienie zaczęło swoją pracę, i była pewna, że także on któregoś dnia to przyzna.

Chciałaby doczekać tego dnia.

I kark, kark kobiety, który czasem się prostował w przekornym ruchu, jakby chciał dowieść, że nic mu nie ciąży, ale zawsze było to jedynie udawanie, bo nieobserwowany pochylał się bardziej i bardziej, uginając się pod niewidocznym ciężarem — a tym niewidzialnym ciężarem było dziecko, które było już w drodze, ale któremu nigdy nie pozwolono przyjść na świat. Była dumna, ta kobieta. Signe Mogren podziwiała ją. Była twarda i szlachetna, także gdy jej duma przeradzała się w pychę — a ponieważ była dumna, nie chciała ustąpić złości, chociaż ta złość tam była, tkwiła w jej karku, gdy o tym nie myślała. Toczyła twardą walkę — ale co z tego będzie, gdy Wszechpotężny zmusi ją do wkroczenia na jego drogę, do przejścia przez wąską bramę, nazywaną skruchą i modlitwą! Signe Mogren nie należała do osób usiłujących wpłynąć na walczące sumienie. Wiedziała, że młyny Boga miały powoli, ale dokładnie. Chciała jedynie być obecna, pomóc, gdyby zaszła taka potrzeba. A tej kobiety z dumną duszą na pewno nie chciała stracić z oczu, ponieważ spodziewała się po niej wspaniałych rzeczy.

Na swojej drodze spotykała wiele osób: pijaków i dziwek, bezwzględnych mężczyzn i żądnych zemsty żon, młodych ludzi miotających się między beztroskim życiem a zasadniczymi pytaniami o jego cel i sens. Wszyscy nosili w sobie tę jasną iskrę, walczącą i nieubłaganą, zwaną sumieniem. Uderzyło ją coś, co uznała za dziwne, ale i godne uwagi, a mianowicie, że wszystko, co powiedziała jej Malin Forst, mógł powiedzieć każdy z nich — wyrażała się *tak* uniwersalnie, że tak naprawdę dała wyraz problemom dotyczącym całego walczącego chrześcijaństwa.

Nie mogła powstrzymać się, żeby tego nie powiedzieć:

— To dziwne! Nie wiem, co dla pani jest najważniejsze, ale tak, jak pani to przedstawiła, ta kwestia dotyczy nas wszystkich. Mam na myśli całe chrześcijaństwo, wszystkie miejsca na ziemi, gdzie toczy się dokładnie taka sama walka. To wielka myśl. I nie tylko w tej chwili, ale zawsze, od kiedy głos Boga przemawia przez ludzi, a nawet przed naszym pojawieniem się, ale także i w przyszłości, bez końca. Czyż nie jest to coś przerażająco wielkiego? Uważam, że właśnie to sprawia, iż podejmujemy tę walkę jeszcze raz z nową siłą. Nikt nie został tu oszczędzony, nikt z tych, których podziwiamy i w których ślady chcemy iść. Nawet jemu nie oszczędzono sporu między sumieniem, które pozwoliło mu poznać wolę Ojca, a tym, co należało do niego. I musiał ulec, mimo że przecież był Synem. Czy nie jest cudownie piękne to, co czytamy o ogrodzie Getsemani²⁶? Mam na myśli to, co ma miejsce później: „I aniołowie podeszli, i mu służyli”²⁷. To urzekająca wizja tego, co spokój sumienia może podarować ludziom. Kiedy się o tym czyta, trudno zrozumieć, jak ktokolwiek z nas jest w stanie tak długo opierać się temu, co jest dla niego najlepsze, tak długo i tak stanowczo, jak to zwykle robimy...

Na skroni Malin pokazała się małeńka kropla potu. Siedziała i zastanawiała się, do czego ludzie byli zdolni. To, co wydarzyło się podczas prześladowań katarów²⁸...

— Nie potrafię! — wymknęło jej się; i zaraz, jakby w tych słowach krył się buntowniczy upór i pewne przeinaczenie na własną korzyść, zmieniła to lękliwie na: — Nie chcę!

I pogrążyła się w wyrzutach sumienia.

Duma, Sumienie

Sumienie, Spotkanie,
Społeczeństwo

Wiara, Religia, Walka,
Sumienie

²⁶Getsemani a. Ogród Oliwny — gaj oliwny w Jerozolimie, w którym Jezus miał przebywać razem z Apostołami w wieczór przed jego uwięzieniem. [przypis edytorski]

²⁷I aniołowie podeszli, i mu służyli — cytat biblijny, Mt 4:11. [przypis edytorski]

²⁸katarzy a. *albigensi* — przedstawiciele dualistycznego ruchu religijnego działającego w XI–XIII wieku we Francji i we Włoszech, skierowanego przeciw feudalizmowi i hierarchii kościelnej, co stało się przyczyną licznych prześladowań członków tej sekty. [przypis edytorski]

Wyobrażenia panny Mogren dotyczyły głównie tragedii rodzinnych, pozbawionych harmonii domów, z których dzieci — słusznie czy nie — ratowały się ucieczką. A może chodziło o wyjątkowe, niezwykle powołanie, a nawet wręcz zmyślane? Misja pogańska? Czy misja wewnętrzna? Może dlatego Malin przyszła właśnie do niej? Zerwanie z rodziną i przyjaciółmi z jakiejś podobnej przyczyny?

Westchnęła.

— Wiem, że nie mogę jakoś istotnie pomóc — stwierdziła. — Ale gdyby powiedziała pani, czego sprawa dotyczy, zapewne ułatwiłoby to znalezienie rozwiązania.

— Tak — przytaknęła Malin, ale nie zabrzmiało to szczególnie przekonująco.

Skoro jednak powiedziało się „A”, należy powiedzieć „B”. Skupiła się.

— Myślę, i to często, o wszelkim złu, jakie ludzie sobie wyrządzili. I dochodzę do wniosku, że powinnam cierpieć tak samo jak oni. Skoro inni tego doświadczyli, to ja przynajmniej powinnam *być gotowa* na cierpienie. Jeśli taka będzie wola Boga. A nie jestem. I dlatego, że nie jestem... Być może zabrzmiało to głupio, ale... Zasłużyłam sobie na wieczne potępienie...

Cierpienie

Ostatnie słowa wypowiedziała szeptem. Panna Mogren wydawała się przerażona. Po chwili milczenia, kiedy zdążyła już nieco przemyśleć to, co usłyszała, strach przeszedł w pełną niechęć powagę, graniczącą z oburzeniem. Ona, osoba, która przywykła oglądać ludzi cierpiących z powodu prawdziwych, ale i urojonych grzechów, miała wrażenie, że Malin bawi się tym, co przecież jest poważne.

— Tak *nie wolno* nam myśleć — powiedziała surowo. — *Nie wolno* nam myśleć, że Bóg nas porzucił. To właśnie Luter nazywa rozczarowaniem, rozpaczą, naszymi grzechami i wadami. Nazywa to wprost grzechem i wadą. Należy je usunąć z naszych myśli, nie dawać im miejsca, nie patrzeć na nie!

Sumienie

— Ale to przecież jest sumienie!

— Nie, nie, to nie jest sumienie! Tak *nie wolno* nam myśleć! W tej kwestii pani się myli. Pani tak po prostu sądzi, ale tego rodzaju sumienie nie jest prawdziwym sumieniem!

— Skąd *ktos* może wiedzieć, co jest sumieniem! Przecież to się czuje! Dlaczego moje sumienie miałyby się różnić od sumienia innych? Jeśli nie można zaufać sumieniu, to czemu?!

— Sumienie z pewnością nie może być tak nierozsądne! To przewrażliwione słowa, a przede wszystkim nieludzko niedorzeczne!

Żarliwie, ale i niezłomie, jakby walczyła o życie, Malin broniła swojego sumienia:

— To nie jest niedorzeczne! Nie bardziej niż samo chrześcijaństwo! Jeśli ono jest niedorzeczne, i tak jest ponad zdrowym rozsądkiem, co jest dorzeczne. Bo przecież prawdą jest, co pani przed chwilą powiedziała: ten konflikt dotyczy całego chrześcijaństwa. Albowiem które z przykazań jest najważniejsze? Oczywiście: „Kochaj Boga, Pana twego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem!”. Całym, nie połową, bez niewielkich choćby ustępstw, nawet jeśli uważamy, że to zbyt trudne! Czyż całe Kazanie na górze²⁹ nie żąda tego od nas: nie spełnienia konkretnych przykazań, lecz całkowitego oddania! Czyż to nie jedyne, co jest konieczne? Ale ja, ja nie potrafię! Bo nie chcę! To jest grzech pierworodny: odwrócenie się od Boga. Grzech wobec Ducha Świętego.

Oburzenie panny Mogren zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Przez moment była przerażona wzniosłymi słowami, odpowiednimi dla wielkich proroków, a przecież przed nią siedziała jedynie niedoświadczona, przewrażliwiona dziewczyna.

— Uważam, że nie należy zajmować się takimi sprawami! — powiedziała.

— Jakbym nie próbowała! Ale od własnego sumienia nie można uciec. Zresztą czy *należy* od niego uciekać?

— Należy modlić się do Boga, by pomógł nam odciąć się od takich myśli.

— Jak można odciąć się od własnego sumienia?! Poza tym nie potrafię się modlić.

Panna Mogren milczała, wyraźnie zagubiona. Co odpowiedzieć temu nieroztropnemu dziecku, by przestało zaprzętać sobie głowę takimi bzdurami? Może przekonać je do jakiegos praktycznego zajęcia, które mogłoby odwieść je od tych głupstw? Ale pomysł

²⁹Kazanie na górze — cykl nauk, które według Ewangelii Mateusza i Łukasza zostały wygłoszone przez Jezusa Chrystusa na Górze Błogosławieństw nad jeziorem Genenezaret. [przypis edytorski]

upadł przez swoją niedorzeczność: gdy kończy się roczny kurs w seminarium, a na dodatek mieszka na wsi i codziennie jeździ w tę i z powrotem — to po prostu nie ma się ani czasu, ani siły, by poświęcać się pracy z młodzieżą w szkole wieczorowej.

Tym niemniej musiała sprowadzić dziewczynę na ziemię, nie mogła pozwolić jej bujać w obłokach. Nagle przyszło jej coś do głowy, jakby dokonała odkrycia: powinna otworzyć Malin oczy na *prawdziwe* niebezpieczeństwo, związane z prezentowanym przez nią podejściem do życia. Może wtedy wymyślone wyrzuty sumienia zastąpi jego prawdziwy głos, który zmieni jej nastawienie i pozwoli porzucić bezowocne rozmyślania.

— Przyszło mi do głowy coś, o czym muszę pani powiedzieć — odezwała się cicho, a Malin uniosła głowę i zaczęła słuchać. — No więc, gdy pozwalamy naszym myślom bez przerwy skupiać się na naszej osobie, czy nie jest to też pewną pokusą? Czy takie myślenie o sobie, nawet jeśli dotyczy zbawienia własnej duszy, nie jest też przejawem pychy? W końcu człowiek staje się ślepy na wszystko poza własnym ego, zapomina, że istnieją również inni ludzie, którzy często cierpią nawet jeszcze bardziej...

W spojrzeniu Malin pojawił się strach.

— Nie zapominam o tym! — zawołała. — I właśnie to jest takie straszne!

— Chodzi mi o to, że jest wiele rzeczy, za które powinniśmy być wdzięczni — ciągnęła panna Mogren. — A często o tym nie pamiętamy — dodała. — Po prostu uważam, że to *niewłaściwe* dopuszczać myśli o potępieniu i grzechu wobec Ducha Świętego. Trzeba z nimi walczyć. Wie pani, co powiedział Geijer³⁰? „Smutek jest grzechem, ponieważ sensem istnienia jest wieczna błogość”. Powinniśmy sobie to przypominać od czasu do czasu, gdy nachodzi nas ochota, by skupić się na własnej osobie... Pani płacze? Proszę nie płakać; a może powinna pani płakać. Przypuszczam, że rozumie pani, o co mi chodzi, i może czasem przypomni pani sobie tę chwilę, a wtedy okaże się, że jednak wszystko było znacznie prostsze, niż się na początku zdawało. Często zdarza się, że jakaś sprawa jest nie do rozwiązania, a przynajmniej my jesteśmy o tym przekonani, a kiedy przychodzi co do czego, to wyjście z tej sytuacji okazuje się wcale nie takie trudne, jak mniemaliśmy. Z czasem różne rzeczy stają się jaśniejsze i człowiek zaczyna się zastanawiać, skąd to wcześniejsze czarnowidztwo, bo przecież sprawa wcale nie była taka zawiła. Trzeba tylko znaleźć właściwe rozwiązanie — wtedy cieszymy się, że pokonaliśmy trudność, nawet znaczną, bo inaczej zapewne nie doszlibyśmy do tego, do czego doszliśmy... Często się z tym spotykam, zdarza się to nie tylko mnie samej, ale i innym. Ludzie zapewniają mnie, że ostatnie, czego pragnęliby, by zostało im oszczędzone, to właśnie te wszystkie przeciwności, które bynajmniej nie okazały się takie trudne, żeby nie można było sobie z nimi poradzić i przez nie przebrnąć... Kochanie, czy mogę panią zostawić w takim stanie? Nie powinna pani chodzić po ulicach i płakać. Chociaż niby dlaczego nie? Pozory nie są najważniejsze, nie wolno nam tak myśleć... Proszę pomyśleć o Geijerze. Jeśli nie zdołałam pomóc pani w żaden sposób, to zawsze jeszcze zostaną jego słowa... Kiedy mówi się „Fe!”, nawet łagodnie, to tak naprawdę mówi się: „Jak ci nie wstyd!”. A kiedy mówi się „grzech” czy „przywara”, chce się powiedzieć „Fe!”. Mówiąc „Fe!” do kogoś, kto się wstydzi, być może ma się na myśli: „Przestań się wstydzić”, ale skutek jest taki, że osoba ta wstydzi się jeszcze bardziej: wstydzi się z tego powodu, z jakiego wstydziła się wcześniej, a teraz jeszcze z kolejnego.

Malin czerpała nikielne pocieszenie ze słów Geijera: „Smutek jest grzechem, ponieważ sensem istnienia jest wieczna błogość”.

Niewiele więcej z katechizmu: „Przygnębienie, rozpacz i inne ciężkie grzechy i przywary”.

Dodawała grzech do grzechu, ponieważ jej smutek rósł, i przywarę do przywary, bo wiem jej rozpacz się pogłębiała.

(Z listu Dagny Ritzelius, uczennicy ostatniej klasy seminarium, do byłej koleżanki szkolnej):

... *Moralność* bywa niekiedy bardzo dziwna, bo, na przykład, cóż niemoralnego jest w noszeniu czarnej aksamitnej opaski na czole? Chodzi o to, że to modne? Trzy dziewczęta w klasie noszą takie opaski, jak na starych obrazach z okresu renesansu, i muszę przyznać, że chociaż Mia Lund wygląda w niej okropnie, to pozostałym w nich do twa-

Pycha

List

³⁰Geijer, Erik Gustaf (1783–1847) — szwedzki historyk, polityk, poeta i kompozytor. [przypis edytorski]

rzy. W każdym razie nie jest to kwestia moralności, a za taką najwyraźniej została uznana, skoro pani rektor poświęca część lekcji religii, by je zwalczać. Nie robi się takich rzeczy, by wytepić coś, co jest nieładne (w takim przypadku w naszej klasie nigdy nie zdążylibyśmy przerobić historii chrześcijaństwa). Ale z tego, co mówiła pani rektor, wynikało, że uznano to za *nieestetyczne*; takiego słowa się dzisiaj używa, jeśli w sposób elegancki pragnie się mówić o moralności. Wyraziła to mniej więcej takimi słowami: „Nie sądzicie, że to dziwne wyczyniać takie rzeczy z włosami, skoro w żaden sposób nie przysparza im to urody?”. Nie wymieniła aksamitnych opasek i na początku też nikt niczego nie mówił, łącznie z winnymi. Co zresztą mogłyby powiedzieć na ogólne stwierdzenie, że to głupie itp. (patrz wyżej)? Jest oczywiste, że nie założyłyby ich, gdyby nie były przekonane, że im w nich do twarzy! Najważniejsze było to, że tak uważała pani rektor. No i wtedy, jak to bywa, odezwała się osoba całkiem niewinna w tej sprawie i zaczęła bronić artystycznych koafiur z płaczem w głosie.

— Przynajmniej, że to prawda, *klonk* — powiedziała — że człowiek nie staje się piękniejszy przez to, że próbuje się ładnie czesać, *klonk*. — (wiesz chyba, że „*klonk*” oznacza odgłos przetykania) — Lecz, *klonk*, jeśli ściągnąć by mocno włosy, to wyglądałoby okropnie.

Malin Forst, która wypowiedziała te słowa, nie w głowie były aksamitne opaski, wręcz przeciwnie: węzeł na karku, przedziałek na środku, włosy niczym firanki na uszach — nawet najbardziej obyczajna nauczycielka byłaby zadowolona!

— Na pewno nikt nie może mieć najmniejszych zastrzeżeń do fryzury panny Forst — powiedziała pani rektor sucho, ale w jej głosie dało się słyszeć pewne rozbawienie.

Nie była bowiem pozbawiona poczucia humoru, o ile żarty nie dotyczyły jej osobiście. Nie tylko ona zresztą. Wszyscy byli rozbawieni, ale nikt się nie odzywał; pani rektor nadaremnie czekała na głos sumienia winnych. Gdy milczenie się przedłużało i sytuacja stawała się krepująca, westchnęła i powiedziała w końcu:

— Tak to już jest: osoby, których sprawa nie dotyczy, biorą zarzuty do siebie, a po tych, do których kwestia się odnosi, wszystko sływa jak woda po kaczce — stwierdziła i przeszła do metodyki ewangelii.

Tak czy inaczej lubię panią rektor, jest miła i jak już pisałam, ma poczucie humoru. Po lekcji spytałam Malin Forst, czy naprawdę nie zrozumiała, że chodziło o aksamitne opaski. Zrobiła wielkie oczy — w ogóle o nich nie pomyślała! (Bóg jeden wie, czy w ogóle je zauważyła, ma w sobie profesorskie ambicje, które sprawiają, że nie widzi ani nie słyszy niczego). Ale w gruncie rzeczy wiedziała. Stwierdziła (zrobiła minę, jakby chciała wyznać grzech śmiertelny), że słowa rektorki nie były skierowane do niej (!).

— Rozumiem, że byłaś zła — powiedziałam. — Więc ci wybaczam.

— Rzeczywiście byłam zła — przyznała. — Ale przez chwilę wbiłam sobie do głowy, że to mnie miała na myśli, a teraz tego okropnie żałuję, bo przecież to było *nieuczciwe*! Ale nie mogłam się powstrzymać! Dlaczego nie mogłam? Potrafisz mi to wytłumaczyć?

To wszystko znaczy, że Malin Forst jest zarozumiała — może nie tyle świętoszkowata, ile uważa się za kogoś ważnego i wyjątkowego. Niech przetyka ślinę i łka, powinno jej to dobrze zrobić. Obawiam się tylko, że łka i przetyka ślinę ze złości, a nie z rozpacz...

(Z listu Rut Kellgren z ostatniej klasy seminarium do rodziców):

...Rzadko bywa tak, że z naszą duszą jest wszystko w porządku. Wiele osób na pewno nie uświadamia sobie, jaką drogę wybrało. W naszej klasie zdarzały się dziewczyny, które nosiły się bardziej jak kokotki³¹ niż jak nauczycielki, przynajmniej jeśli chodzi o fryzurę, ale też zostały słusznie zbesztane przez panią rektor i dostosowały swój wygląd do okoliczności. Niestety, wnętrza człowieka nie zmienia się tak łatwo.

Przy tej okazji zdarzyło się, że pewna osoba, chcąc je chronić, udała, że słowa pani rektor były skierowane do niej i dała wyraz swojemu oburzeniu taką „niesprawiedliwością”. Niemal płakała, poruszona, i nie sądzę, że był to jedynie popis sztuki aktorskiej. Co to za ludzie, którzy czekają w napięciu na oskarżenie, by móc się bronić? Myślę, że może jest to bezpodstawa chęć stania się obiektem krytyki? Ktoś jest zbyt tchórzliwy, by otwarcie zająć stanowisko w realnej sprawie i dlatego ucieka się do pretekstu. Poza tym należy chyba zachować większą ostrożność, wszyscy czasem czujemy się „zranieni”, co jest zdecydowanie odpychające.

³¹ *kokotka* (daw.) — zdrobnienie od „kokota”, kobieta lekkich obyczajów, prostytutka. [przypis edytorski]

(Z pamiętnika autorstwa Gertrud Wolmar, uczennicy ostatniej klasy seminarium):

...Nie mogę przestać myśleć o nieprzyjemnym zdarzeniu, które miało miejsce wczoraj. Postanowiłam napisać o nim w pamiętniku.

Na pedagogice rozwinęła się dyskusja, jak to zwykle bywa. Malin Forst mówiła dużo i długo, co też często jej się zdarza. Jest nieco ortodoksyjna w swoich sądach, co już samo w sobie mnie dotyka — są niestosowne! Tym razem bardzo gwałtownie i wymownie, jakby zapomniała o bożym świecie, wyrażała skrajne poglądy na temat nieprzydatności wiedzy szkolnej. (Co samo w sobie jest przesadą, bo o ile wiedza nie jest w stanie zbawić naszej duszy, to mimo wszystko dobrze taką wiedzę mieć! W każdym razie odważyć się powiedzieć, że akurat ona na pewno wie, co mówi, a nie mówi jedynie po to, by przypodobać się pani rektor Senander, jak uważa wiele koleżanek).

Po wszystkim podeszła do niej Dagny Ritzelius i powiedziała:

— Wygłaszasz wykłady jakbyś była co najmniej profesorką. Robisz to, by pokazać swoją ogromną inteligencję? Przecież my ją znamy.

(Dagny Ritzelius nie jest głupia, ale w tym przypadku się myli).

Potem przykro było patrzeć na Malin Forst, która stała z pochyloną głową i ściągniętymi ramionami, spięta niczym jeź, a kiedy w końcu spojrzała na mnie, miałam wrażenie, że zaraz się rozpłaczę.

— Czasem mam ochotę rzucić się na podłogę i błagać wszystkich o wybaczenie! — powiedziała. — Ale powstrzymuję się, bo gdybym uległa i to zrobiła, byłabym stracona!

Najgorszy był ten jej chytry uśmieszek, kiedy wypowiadała ostatnią kwestię! Rozumiem, że był wymuszony, nie miała przecież powodu do śmiechu, ale można było odnieść wrażenie, że dzieli się tajemnicą swojego życia — a co mnie obchodzą jej tajemnice — nie, nie potrafię wyrazić tego słowami! Zarówno jej wypowiedź, jak i jej uśmiech wydały mi się krępujące, były chore, chore, chore! Miałam ochotę splunąć na nią, kopnąć ją!

Ale przecież tak nie można traktować chorego człowieka, któremu należy współczuć, więc zrobiło mi się wstyd, kiedy sobie o tym pomyślałam. Tym bardziej, że Malin Forst ma też swoje zalety. Usprawiedliwiam się tym, że to po prostu była zdrowa reakcja na coś, co jest chore. Nie muszę dosłownie kopać czy pluć. Ale po tym wszystkim czułam straszliwe *obrzydzenie*; pocieszam się, że z *biologicznego* punktu widzenia miałam rację.

A może wynikało to z tego, że nie lubię nikomu współczuć?

...

Z początku nikt nie wie, kogo może prawowicie nazywać swoim ludem. Nikomu nie jest to dane przy narodzeniu, chociaż tak przecież się mówi. Tego człowiek nie uczy się w szkole, chociaż można by tak uważać. Dowiadujemy się tego, żyjąc.

Nie jest to wiedza oczywista. Gdzieś w głębi pokazuje się niekiedy twarz, która jest nam znana... Nie, nie, nie chodzi o twarz, tylko o wydarzenie, konkretną sytuację, w której ktoś odgrywa pewną rolę, która jest moją rolą, w duszy i w trzewiach, nieprzyjemną lub przeciwnie — pociągającą, ale do niej właśnie się urodziłam i będę musiała ją nieustannie powtarzać. Nie zawsze to sobie do końca uświadamiam, ale rolę rozpoznaję instynktownie, to przecież to ja tam stoję — *bo przecież to jesteśmy my...*

Nawet jeśli w tym momencie czujemy obojętność, strach czy spokój, to czujemy też nieodpartą chęć, by wesprzeć to drugie nowe „ja”. Wydaje się nam to naturalne, bo przecież trzeba się wspomagać, nie przychodzi nam do głowy, żeby zostawić siebie w potrzebie. Nie, nie chodzi o twarz. Cudowna twarz może chwycić nas za serce, ująć czystością swoich rysów i wyraźne zapisanym na niej losem, ale to zawsze będzie „ty”, nigdy „ja”. Natomiast osoba, którą znajdziemy w tej konkretnej *roli*, może zasługiwać albo na nasze obrzydzenie, albo na nasz podziw, tym niemniej ma prawo do swoich roszczeń wobec koleżanek czy kolegów, dotyczących przynależności do wspólnoty, i nikt nie może jej odmówić. Jutro znów może być obcym, może nawet wrogiem, jednak w tym momencie — gdy sprawy mają się tak, jak się mają — *to jesteśmy my...*

Wiele czasu minie, zanim spotka się wystarczająco dużo osób, by zrozumieć, jaka sytuacja stała się impulsem do wyłonienia się określonej grupy; i zanim uświadomimy sobie, czego dotyczy walka, zostajemy bezwarunkowo zmuszeni, by stać się towarzyszem swoich towarzyszy. To uczucie powraca za każdym razem, ale trudno je określić. Może chodzić o pozornie zabawne, niewiele znaczące sytuacje, które nakazują objawić się

Lud, Społeczeństwo,
Pozycja społeczna

wspólnocie — tej stałej i ważnej, danej nam przez los, nawet jeśli tak naprawdę ma się ochotę odłożyć wszystko na bok. A jednak to te drobne znaki wskazują nam drogę.

Malin Forst, ta pozbawiona próżności, zrozpaczona Malin Forst, nie odpowiedziała, dlaczego uczyniła kwestię aksamitnych opasek swoją sprawą, występując tak gwałtownie, jak chyba nigdy wcześniej jej się jeszcze nie zdarzyło. Drobiazg bez znaczenia, który wkrótce pójdzie w zapomnienie.

Ale chodziła i szukała wśród tych, których spotykała, jakiegoś znaku, który potwierdziłby jej: jesteśmy twoim ludem.

Otrzymała go od kogoś, kto już nie żył, a był wielkim pisarzem. Przeżona czytała:

Mówisz: „Wróć do domu ojca twego,

by ucałowały cię jego usta!”

— twoja miłość jest gorzka i twarda,

pieści i całuje kijami.

Ciosami oczyszczasz, pięściami obmywasz,

twojej miłości będę się strzec,

— usuwasz rany,

siłę życiową i światło mojej gwiazdy.

Myjesz moją gwiazdę ługiem,

aż staje się czysta niczym woda,

aż jej blask staje się pusty

niczym obraz nocy w wodzie.

Twój lud!³².

Był stanowczy, bardzo stanowczy, ale też szalenie bezrefleksyjny i potworny w swej bluźnierczej nienawiści: „Tam chcę zasnąć w samotności, z dala od twego znienawidzonego płomienia...”³³.

Jedyne, co mogła zrobić, to opowiedzieć się po drugiej stronie, po stronie buntowników.

Cóż to była za ulga, z takim przekonaniem wziąć ich stronę, upaść bez lęku, upaść naprawdę... On też upadł, ale upadł niczym płonący ogień Pana...

Po chwili skuliła się, przeżona własnymi snami.

Z Frödingiem³⁴ było inaczej. Ale przecież on był chory, a ona...

A może ona też...?

Nie, to było coś innego. Dotyczyło prawdziwej postaci. Jeśli z kimś wymieniało się spojrzenia, trudno sobie wyobrazić, by ten ktoś miał zostać potępiony. To można wiedzieć jedynie o sobie.

Ten, kto taką wiedzę posiadał, nie ma swojego ludu. Jest sam.

A jednak nie do końca. Niekiedy można przecież minąć kogoś, komu nie chce się pomóc i z kim nie pragnie się kontaktu, ale pewnym pocieszeniem jest to, że także coś, co wydaje się beznadziejne, może łączyć, że można się tym dzielić i dzięki temu zacząć lepiej rozumieć. Nie można nic zrobić, wyciągnąć ręki, pomóc, jest też mało prawdopodobne, że ta druga osoba w ogóle poczułaby ową wspólnotę. Ale można skinąć jej głową niczym lustrzanemu odbiciu samego siebie i wtedy sobie kogoś wyobrazić, i trzymać się go w swojej samotności.

Malin rozpoznała małego chłopca z pierwszej klasy, chłopca, który kiedyś mieszkał w Tullinge i którego tam właśnie zobaczyła po raz pierwszy, a potem nie mogła już o nim zapomnieć.

To było poprzedniej jesieni. Szła ze stacji i właśnie postawiła kołnierz swego zimowego palta, co okazało się niezbędne w tym jesiennym deszczu i wietrze. I wtedy stanął przed nią

Poezja

Kondycja ludzka,
Społeczeństwo, Samotność

Dziecko, Bieda, Żebrak

³²Mówisz: „Wróć do domu ojca twego, (...)” — cyt. z wiersza Gustafa Frödinga (1860–1911), z tomu *Min Stjärnas Sång* III. [przypis edytorski]

³³Tam chcę zasnąć w samotności, z dala od twego znienawidzonego płomienia... — cyt. z wiersza Gustafa Frödinga (1860–1911), z tomu *Min Stjärnas Sång* III. [przypis edytorski]

³⁴Fröding, Gustaf (1860–1911) — szwedzki poeta. [przypis edytorski]

on, Magnus Anderson, fioletowy z zimna, drżący, bosy, w zniszczonym swetrze. Widziała go już kiedyś na jakiejś dziecięcej uroczystości.

— Proszę — odezwał się schrypniętym głosem. — Proszę o parę groszy. Tata jest chory i mama się zamartwia, nie wiemy, co robić!

Malin nie miała pieniędzy, które mogłaby mu dać, i poczuła, jakby ktoś zadał jej cios nożem.

Wróciwszy do domu, opowiedziała wszystko matce: możemy im jakoś pomóc, wyobrażasz sobie na bosaka w taką pogodę...

Matka nie okazała współczucia, wydawała się zdziwiona, wręcz oburzona. Tak się bowiem złożyło, że mijala dzisiaj pana Andersona, gdy szedł na budowę, zdrowy i pełen zapału, zapewne z nadzieją, że dostanie tam pracę (najwyraźniej nie dostał, bo wracał z nietęgą miną). Poza tym wiedziała, że rodzina niedawno otrzymała od dobrych ludzi pończochy, buty i odzież wierzchnią zarówno dla Magnusa, jak i jego rodzeństwa.

Malin miała mieszane uczucia, poczuła się zbита z tropu. Z jednej strony padła ofiarą oczywistego oszustwa i była tym bardzo poruszona. Z drugiej pomyślała, że chyba jednak nikt bez powodu nie wysła dziecka, żeby zebrało w taką pogodę. Najwyraźniej rodzinie Andersonów nie wiodło się najlepiej. Ale żeby zabrać synkowi buty i kazać mu na bosaka zebrać w deszczu... Chociaż oczywiście wtedy szansa, że ktoś się zlituje, była większa... Jedno nie ulegało wątpliwości: stopy Magnusa Andersona były tak samo bose, a jego nos równie fioletowy z zimna niezależnie od tego, czy jego rodzice byli nieuczciwi czy też znaleźli się w potrzebie. I właśnie to miało zasadnicze znaczenie w tej sprawie, tym bardziej że żadne wsparcie nie wchodziło w grę, ani dalsze dary, ani poinformowanie darczyńców o sytuacji, bo mogłoby to skutkować wstrzymaniem pomocy.

Być może właśnie to uczucie beznadziejności — tak bolesne, że aż paraliżujące — utkwiło jej w pamięci nieprzetrawione. I teraz znów wróciło. Przed nią siedział Magnus Anderson, w swetrze, w pończochach i w butach, ale nadal nieco skulony i załęczniony, na co wskazywała jego postawa. Cały ciężar tego, czego już nie dało się naprawić i o co nikogo w pełni nie można było obwinić, ale też w żaden sposób zmienić, to z pozoru bezsensowne cierpienie, którego nie można było z siebie zrzucić, a jedynie pogodzić się z nim i iść dalej — to wszystko owładnęło teraz Malin. Uznała to za znak najgłębszego sensu rzeczywistości. Położyć ręce na kolanach, drżeć i przyglądać się. Zdjąć pończochy i buty, wyjść na deszcz, wyciągnąć rękę i powiedzieć: „Bardzo panią proszę...”. To wszystko. Takie było życie. Tyle że ona próbowała od tego uciec.

Mogła zwrócić się do kogoś znajomego z czymś, z czym miała problem — ale to zawsze kończyło się tak samo: znajomy także okazywał się sędzią.

Magnus Anderson siedział przy swoim małym pulpicie w pierwszej klasie niczym oskarżyciel. Przedstawiciel uniwersalnego ludzkiego cierpienia wobec tych, którzy nie chcieli wziąć tego cierpienia na siebie.

Rodzina Forstów przy stole jadalnym, takim całkiem zwyczajnym.

Na głównym miejscu siedzi ojciec. Nigdzie indziej nie mógł przecież siedzieć. Był centralną postacią, wokół której wszystko się kręciło. Siedząc, i tak był o głowę wyższy od innych; i nawet, gdy milczał, biła od niego władczość. Trudno powiedzieć, co sprawiało, że wszyscy, również obcy, czuli wobec niego szacunek zmieszany ze strachem. Można było odnieść wrażenie, że także zwierzę — wściekły byk czy stający dęba koń — zatrzymałoby się, usłyszawszy cichy, zimny głos ojca, pełen silnej woli.

Naprzeciwko niego siedzi Lillan, jego ukochana sześciolatnia córeczka. Malin nigdy nie przestała się dziwić, jak wielką psychologiczną moc ma wzrok sześciolatniego dziecka, które potrafi owinać sobie całą rodzinę wokół palca.

Obok Malin, przy długim boku stołu, siedzi matka — skulona, wiecznie zagoniona, wiecznie komuś usługująca.

Po drugiej stronie obaj bracia. Trudno im przestać szeptać między sobą i szturchać się nawzajem. Niekiedy potrzebne jest wymowne spojrzenie ojca. Wystarcza jedno.

Stojący zegar z Mory³⁵ tyka głośno, nieprzyjemnie. Korzysta z przywileju, że jest pozbawioną winy rzeczą, bo żywe istoty paraliżuje strach przed sądem, a on bawi się

Dziecko, Kłamstwo

Rodzina, Dom, Ojciec

³⁵Mora — miasto w prowincji Dalarna w Szwecji; zegary Gustavian Mora to rodzaj zegarów z długą obudową, które wywodzą swoją nazwę od miasta, w którym zostały wykonane. [przypis edytorski]

nieporuszony, podczas gdy żywe istoty siedzą w milczeniu. W powietrzu czuje się napięcie, jak to zwykle w ostatnich czasach.

Ostatnich? Naprawdę? Możliwe, wręcz bardzo prawdopodobne, że to napięcie było tam od zawsze, od niepamiętnych czasów. Niekiedy bywało ono oczywiste, niekiedy zaś nie do zniesienia. Chłopcy są jeszcze w tym wieku, gdy strach jest częścią składową powietrza, którym oddychają. Nadejdą lata, gdy się zbuntują: ugną się i ulegną albo się wyswobodzą.

Cóż, napięcie było i wcześniej — im częściej Malin o tym myśli, tym bardziej jest tego pewna. Nastrój, którego nie można skojarzyć z niczym konkretnym, ale który bardzo wyraźnie dochodził do głosu w sposobie mówienia: w tonie ojca, którego słowa brzmiały jak brzęk groszy pogardliwie rzucanych tym, którzy na nic więcej sobie nie zasłużyli; i w słowach matki, które przestraszone muskały powietrze, by nie zwracać na siebie uwagi. Nigdy jednak nie dochodziło do wybuchu. Do żadnych scen. Małżeństwo rodziców być może nie było tak do końca szczęśliwe, ale jednak wzorowe — nigdy nie padały ostre słowa, ze względu na dzieci.

Teraz całe napięcie przeniosło się z matki na Malin. Ponieważ nie chodziło już o osobiste poczucie zawodu Gustava Forsta, tylko o zadanie natury pedagogicznej, był powód, żeby się wtrącić. Obojętnie, jak posiłek się zaczynał, zawsze coś się wydarzało.

Zresztą nie tylko ojciec był spięty, wtedy bowiem ta burzowa atmosfera nie była by aż tak ciężka. O ile ojciec zionął napastliwością, to Malin była jego przeciwieństwem; siedziała, gotowa w każdej chwili przyjąć na siebie atak, wstrzemięźliwa w ruchach, z niepewnym wzrokiem. A nic bardziej nie drażniło Gustava Forsta — jakby był napawającą lękiem bestią!

Z tego obustronnego napięcia rodziły się błyskawice.

— W naszej klasie jest chłopiec, który kradnie — wymsknęło się nagle Sölvemu; nie był w stanie dłużej zachować w tajemnicy tak ważnego zdarzenia.

— To bardzo przykre — stwierdziła matka. — To przykre, kiedy zaczynają tak młodo.

Oczy chłopca błyszczały, podniecone sensacją.

— Obiecaliśmy nie mówić nikomu, kto to jest. Ale ma bardzo bogatego tatę. Dostaje tyle kieszonkowego, ile chce, a mimo to kradnie.

— Więc chyba w pewnym sensie jest chory? — spytała drżącym głosem Malin.

To nie jej wypowiedź jako taka stała się punktem zapalnym, tylko drżenie w jej głosie! Zbyt intymne, jakby mówiła we własnej sprawie i to takiej płynącej z serca. Pozbawione wstydu niczym nagie ciało. Przy stole i w obecności całej rodziny nie rozmawia się o tak intymnych rzeczach, że zaczyna nam drżeć głos. Ktoś, kto wszystko tak bardzo przeżywa, winien milczeć.

Ojciec spojrział znad talerza i zatrzymał wzrok na Malin. Napięcie wzrosło.

— Tak? Jeśli takie właśnie myśli zaprzątają głowy studiujących w seminarium, to dziękuję za taką wiedzę. Jeśli kradłby biedny chłopak, to byłby złodziejem, jeśli kradnie bogaty, to znaczy, że jest chory! Osobiście powiedziałbym, że to łobuz, który przynosi wstyd swojej rodzinie. Tak różne można mieć poglądy.

— Nie to miałam na myśli... — wydukała Malin.

Ojciec długo jej się przyglądał, po czym odezwał się, pogardliwie cedząc słowa:

— Więc dlaczego tak powiedziałaś?

Gdyby chociaż potrafiła mu to wytłumaczyć, gdyby potrafiła otworzyć przed nim swoją duszę, wyłożyć, co naprawdę miała na myśli, bo przecież wcale nie chciała przedkładać bogatego chłopca nad biednego. Czyżby ojciec zapomniał, jak niedawno zaatakował ją dlatego, że broniła prawa biednych do zabierania głosu w kwestiach komunalnych? Wtedy musiała się wstydzić, że stanęła po stronie skupionych wyłącznie na sobie biednych, przeciwstawiając się kulturze i brakowi egoizmu, teraz zaś musiała się wstydzić, że staje po stronie nieuczciwych bogatych przeciwko uczciwym biedakom... Jakby na to nie patrzeć, rację zawsze miał ojciec. Nawet jeśli na początku było się przekonany o swojej oczywistej słuszności, to wystarczył jego drwiący głos, by wszelka pewność znikła. Z ojcem nikt nie wygra.

Na pewno mogłaby niejedno powiedzieć na swoją obronę, gdyby nie zalał jej strumień łez, jak zawsze na koniec, choć wbrew jej woli. Jakkolwiek walczyła, zaciskając pięści, nie była w stanie zdusić w sobie szlochu, a łzy popłynęły po jej policzkach.

Rodzina, Konflikt

Dziecko, Kradzież

Ojciec, Konflikt

Łzy

Chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia, co znaczyło jedno: „Dziewczyny!”.

— Znów to samo! — rzucił ojciec. — Zadziwiające, naprawdę nie można słowa powiedzieć, nie doprowadzając do scen i takich wystąpień! Dlaczego mówisz te bzdury, skoro potem nie jesteś w stanie o tym rozmawiać? *Kobiety!*

Matka nie odzywała się, ale cierpiała, bo w tej kwestii musiała oczywiście bezwzględnie stanąć po stronie ojca. Nauczyła się milczeć i zachowywać wszystko dla siebie, dawno już przestała płakać. Można się dostosować, wiedząc, że to jedyne, co nam pozostaje. Malin powinna znać ojca na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie należy występować z takimi nowoczesnymi twierdzeniami, które niosły jedynie zło. Z własnego doświadczenia wiedziała, że trzeba było czasu, by poznać ciężki charakter ojca — ale Malin miała ten czas, była już dorosła.

Czy matka kroi chleb? Malin obserwuje jej ruchy niczym przez mgłę. Co czy kogo tak naprawdę kroi, kiedy z całej siły przyciska nóż? Nie, na pewno nie człowieka. Raczej coś, czego nie lubi u kogoś, coś, co powinno się odkroić.

Malin przeraża zarówno ojca, jak i matkę, sama tego nie rozumiejąc. Nieżyczliwość zawsze była tu obecna, chociaż ze strony matki był to głównie strach, ale tego Malin nie słyszy. Słyszy oskarżenia, lecz nie kryjący się za nimi lęk.

Po kawie, gdy rodzice zostali sami, pani Forst spuściła wzrok.

— Gustavie — zaczęła — Nie sądzisz, że należałoby iść z Malin do lekarza?

— Być może — odpowiedział mężczyzna.

Zimny ton jego powściągliwej odpowiedzi świadczył o tym, że nie spodobał mu się jej pomysł. Nie musiał nawet otwierać ust, by to zrozumiała: Bzdury! Fochy! Histeryczna dziewczyna!

Siedziała dłuższą chwilę zdezorientowana, zastanawiając się, czy ma potraktować jego ton i słowa poważnie, skoro wyraźnie sobie przeczyły.

— Jeśli uważasz, że nie ma takiej potrzeby, to... — zaczęła w końcu wymijająco i lekko zawstydzona.

Jednak w jego szarych oczach pojawiło się nagle coś, co przypominało współczucie. Spojrzał na żonę łagodnym wzrokiem, jakby była biednym małym zwierzątkiem, skulonym u jego stóp, tchórzliwym, ale jednak wzruszającym, nawet wbrew własnej woli. Posłał jej spojrzenie, które podniosło ją na duchu: jakiegokolwiek by nie były jego wady, to duchowo był silny za nich oboje. Spojrzała na niego z wdzięcznością: tak długo czekała na ten wyraz jego twarzy! Ach, Gustavie!

— Powinnaś być bardziej przekonana do *swojej* opinii. *Moim* zdaniem powinnaś przynajmniej spróbować zabrać ją do lekarza — powiedział.

— Sama mnie o to prosiła.

— No tak, to też powód! Ale zdziwiłbym się bardzo, gdyby jakiś doktor był w stanie coś w tej sprawie zaradzić. Tu chodzi o wychowanie, nie o medykamenty.

— Ale uważasz, że należałoby jednak spróbować?

— Tak, idź z nią.

Po tym krótkim przypływie miłości znów odwrócił się z pogardą od całej płci, która pozwalała się gnębić.

Do jakiego lekarza? Takiego, który potraktowałby sprawę ze spokojem i miał rozsądne podejście do rzeczywistości. W Lärksten³⁶ mieszkał niejaki doktor Ringström, to jego rekomendowała pani Forst jej dobra znajoma — był mądry i do wszystkiego podchodził z humorem. Gdy sama kiedyś połknęła sztuczny ząb i przerażona zadzwoniła do doktora Ringströma (który co prawda był specjalistą od chorób nerwowych, ale jednak lekarzem i mężem jej dobrej przyjaciółki), ten odpowiedział po prostu: „Przykro mi, Elso, sztuczne zęby są bardzo drogie”. Musiała się roześmiać i uspokoiła się.

Nie tylko Elsa wyrażała się dobrze o doktorze Ringströmie. W szerokich kręgach można było usłyszeć podobne opinie: rozsądny człowiek, twardo stąpający po ziemi, taki, który dużo widział i dużo wie; znający się na rzeczy.

Wszystko to wywarło dobre wrażenie na pani Forst. W przypadku Malin najważniejsze było znaleźć kogoś rozsądnego. Zadzwoniła więc do niego i ustalono, że dziewczyna

Matka

Współczucie

Kobieta, Pozycja społeczna,
Małżeństwo

Mizoginia

Lekarz

³⁶Lärksten — część dzielnicy Östermalm w śródmieściu Sztokholmu. [przypis edytorski]

zjawi się w jego gabinecie w niedzielę, ponieważ w dni powszednie późno kończyła pracę w seminarium, a przecież nie powinna jej opuszczać.

W niedzielny poranek Malin stała w oknie, patrząc na pobliskie wzgórza i przyglądając się padającym na śnieg promieniom słońca. Słońce czy chmury, śnieg czy zielen, żadna różnica. Wszystko wydało jej się dalekie, jakby zawieszone w innym czasie. Przedwczoraj wiatr przewrócił drzewo, musnęło gałęziami szybę. Malin siedziała w pokoju, przyglądając się niezbyt uważnie całemu wydarzeniu.

— Co to było? — zawołała matka, przybiegając z pokoju obok.

— Chyba drzewo, które wiatr przewrócił — odpowiedziała Malin, nie odwracając się od okna.

— A podobno jesteś taka nerwowa! — westchnęła matka.

Ale przewrócone przez wiatr drzewa nie robiły na Malin wrażenia. To wszystko zdarzało się gdzieś tam, na zewnątrz. Wewnątrz było tylko jedno: strach. Wypełniał każdą pustkę, bez kształtu, bez treści. Był wszystkim. A teraz stała i patrzyła, jak promienie słońca padają na śnieg tam, w tym niedostępnym świetle na zewnątrz, i zastanawiała się, czy rzeczywiście nareszcie coś się zmieni? I co? Ktoś może jej pomóc? Pomóc przebić się przez mur?

Właściwie nie była już człowiekiem. Była pakunkiem, który można było umieścić gdziekolwiek, byle tylko nie musiała robić tego osobiście.

— Nie możesz pojechać sama? — spytała matka. — To chyba zbędne, żebym jechała z tobą, ledwie zdążę wrócić, żeby zrobić zakup, a przecież to z tobą on będzie rozmawiał, ja nic nie wiem. Włóż palto i pojedź sama!

Powoli, bardzo powoli Malin ruszyła do drzwi prowadzących do przedpokoju; chciała być posłuszna, ale po drodze było krzesło, więc opadła na nie. Płacz, naprawdę musiała znów płakać? Tak, musiała, bo przecież nie mogła iść sama. I nie było jej już wstyd, duma zniknęła. To, co było mocniejsze od niej, przejęło nad nią władzę, nie miała siły dłużej walczyć.

Matka podniosła ją z krzesła i sama zaczęła się ubierać, a Malin powoli podążyła jej śladem.

Na dworze niedawno zrobiła się odwilż, potem znów chwycił mróz, a dzisiaj odwilż wróciła — ulice były śliskie, pokryte cienką warstwą lodu. Malin nie wiedziała, czy odważy się iść chodnikiem. Rozumiała, że jej lęk był pozbawiony sensu — przecież matka szła przed nią — ale nie potrafiła wykrzesać z siebie wystarczająco dużo energii, potrzebnej do tak zuchwałego czynu. Przewracające się drzewa jej nie poruszały, gdyby cegła upadła jej na głowę, uznałaby to za przykrość, coś, z czym należy się pogodzić. Co innego działać! Odważyć się! Chcieć!

Jednak matka chce i chociaż samej Malin brakuje odwagi, to brakuje jej też siły, by przeciwstawić się silniejszej woli drugiej osoby. W walce dwóch rodzajów słabości wygrywa ta silniejsza — więc mimo wszystko idzie, chociaż przerażona i cierpiąca.

Bywa, że jesteśmy przekonani, iż nie zdążymy na pociąg, a kiedy już uda nam się wsiąść do wagonu, wątpimy, czy kiedykolwiek ruszy. Jakie drzewa, krzewy i wille mijamy po drodze, jest bez znaczenia — na pewno te co zawsze; dziwi jedynie to, że czas też biegnie. Ale nie znika, bo zawsze przychodzi nowy, nadchodzą nowe czasy z tym samym lękiem, bo on nigdy się nie kończy, jest niewyczerpany. Dlaczego właśnie taki jest? Nie mógłby kiedyś powiedzieć: „Koniec kropka”?

W końcu zostają wpuszczone do niedzielnie pustej poczekalni doktora Ringströma.

Gdyby ktoś zadał sobie trud, żeby poznać historię życia doktora, przekonałby się, że jego sława człowieka światowego zbudowana jest na solidnym gruncie. Nawet koledzy ze szkoły mogą potwierdzić, że chociaż Sixten Ringström nigdy nie brylował wśród rówieśników z klasy, nie wynikało to z niedostatecznej inteligencji, a raczej z braku ambicji. Może już wtedy żywił sceptyczną pogardę wobec nazbyt gorliwego pędu ku wiedzy, być może przewidywał, jak szybko dotrze do sedna spraw. Po ukończeniu szkoły korzystał z przywilejów, jakie dawała mu pozycja syna bogatego ojca i podczas długich podróży miał okazję zwiedzić różne części świata w wieku, gdy większość znała jedynie miejsce swego urodzenia. Przeżył wiele, czemu dawał wyraz, czyniąc lapidarne aluzje i opowiadając anegdoty znajomym, nigdy jednak nie wdając się w dłuższe dywagacje. Być może dlatego, że przeżycia młodości dawno już zostawił za sobą, a ich wspomnienia nie sprawiały

Człowiek, Strach, Kondycja
ludzka

Czas

Lekarz

mu przyjemności. Możliwe też, że już wówczas, mimo młodego wieku, posiadał mądrość Koheleta³⁷ — miał we krwi rodzaj wrodzonego rozczarowania. Poza tym, jakkolwiek dziwnie to zabrzmie, to właśnie podczas tych podróży wszedł na drogę medycyny. Powodem były niektóre objawy malarii, którymi zainteresował się, podróżując w tropikach. W zasadzie to nuda sprawiła, że sięgnął po dzieła medyczne. Powieści detektywistyczne okazały się na dłuższą metę zbyt proste dla jego znacznie ponad średnią rozwiniętego mózgu; i ku własnemu zaskoczeniu odkrył u siebie nie tylko pewnego rodzaju talent naukowy, ale też — co zaskakujące — nagle zainteresowanie nauką. Co prawda podczas studiów nieco ono przygasło, ale zdążyło pchnąć go na jedną ze zbyt wielu dróg, który zawsze stały przed nim otworem. Tak licznych, że gdy jakaś zniknęła, zwykle nawet nie zauważał jej braku. Swoją specjalność, choroby nerwowe, wybrał natomiast ze względów koniunkturalnych.

Z okresu studiów pozostały historie o tym, że chętnie spędzał wakacje w wielkich miastach kontynentu, a damy z towarzystwa opowiadały sobie pikantne szczegóły z jego pełnego przygód życia. Zawsze jednak dbał, by przestrzegać standardów, obowiązujących młodego mężczyznę z jego pozycją; nigdy nie ryzykował, czego najlepszym dowodem jest fakt, że nic w żaden sposób nie stało na drodze jego kariery.

Gdy zdał egzamin końcowy z dobrą, wręcz bardzo dobrą oceną, spadł nań potężny cios: okazało się, że ojciec, jego bogaty ojciec, tak naprawdę znalazł się na krawędzi bankructwa. Najbliższym przyjaciółm Sixten Ringström opowiadał, żartując, że czasem rankiem sprawdzał w lustrze, czy przez noc nie posiwił — taki był to dla niego ciężki czas. Po raz pierwszy musiał spojrzeć w oczy rzeczywistości. Mimo że w końcu sprawy się ułożyły — głównie dzięki interwencji krewnych — a on sam ożenił się z bogatą i miłą dziedziczką pokątnego majątku, jednak wyszedł z całej tej historii odmieniony, „pogłębiony”, jak określili to jego bliscy. Praktyka, którą niedawno otworzył, rozwijała się niezwykle szybko — nie tylko dlatego, że zarówno jego rodzina, jak i rodzina jego żony miała szeroką i wpływową sieć towarzyską, ale zapewne w równym stopniu, o ile nie w większym, z tej przyczyny, że on sam wręcz promieniował kulturą osobistą i naturalnym wdziękiem, dzięki którym szybko stał się wziętym lekarzem.

Ktoś, kto znał bogatą historię życia doktora Ringströma, nie dziwił się, iż cieszył się on opinią światowca. Niewiele rzeczy już go interesowało („Wyjąwszy odpowiedź na całkowicie prywatne pytanie, a mianowicie kiedy mój tak przeze mnie ceniony teść raczy opuścić ten ziemski padół?”, powiedział kiedyś do swego bliskiego przyjaciela). Chętnie opowiadał historię Alberta Engströma³⁸ o starcu, którego przestrzegano przed piciem metanolu: „Można oślepnąć!”, mówiono mu, a on odpowiedział: „No cóż, właściwie wszystko już widziałem!”. Pozbawiony iluzji uśmiech, który w tym momencie pojawiał się na twarzy lekarza, pewna pacjentka określiła jako demoniczny.

By obraz był kompletny, należy w imię sprawiedliwości przytoczyć także opinie świadków o innych poglądach niż tu zaprezentowane.

Prawdę mówiąc, istniały jedynie dwie osoby, które uważały go za naiwnego. Nie wiedział o tym, a nawet gdyby wiedział, to nie potraktowałby ich zdania serio. Samo określenie „naiwny” nie weszło jeszcze do słownika istot, o których tu mowa, a mianowicie dwójki jego najstarszych dzieci, z których jedno miało siedem, a drugie pięć lat.

Pięcioletek Jan zerknął na bok, gdy ojciec oznajmił mu, że ich nowy braciszek został zakupiony w eleganckim magazynie NK³⁹. Przecież już w głosie było słychać, że ojciec sam w to nie wierzy; takie rzeczy się słyszy, nawet jeśli dorośli mają z tym problem. Poza tym rozwiązanie to wydawało się zbyt łatwe. Musiało istnieć jakieś inne, poważniejsze, co potwierdzał fakt, iż ojciec poczuł się zmuszony do kłamstwa. Być może to poważne rozwiązanie było straszne. A może straszne i jednocześnie zabawne. Tylko gdzie szukać odpowiedzi? Ponieważ ojciec wyraźnie oczekiwał, że synek mu uwierzy, zdecydowanie łatwiej było po prostu przyjąć to, co dorośli mówili. Na wszelki wypadek Jan starał się unikać patrzenia ojcu w oczy.

Dziecko, Ojciec, Fałsz

³⁷*mądrość Koheleta* — nawiązanie do biblijnej Księgi Koheleta, zwanej także Księgą Eklezjastesa, należącej do pism dydaktycznych Starego Testamentu; jej autorstwo przypisuje się przeważnie królowi Salomonowi. [przypis edytorski]

³⁸*Engström, Albert* (1869–1940) — szwedzki pisarz i grafik. [przypis edytorski]

³⁹*NK a. Nordiska Kompaniet* — sieć luksusowych domów towarowych w Szwecji. [przypis edytorski]

Natomiast Maj-Britt przyjmowała jego wzrok z pozorną ufnością. Niebezpieczeństwo, że ojciec ją przejrzy, było małe, niezwykle małe, wiedziała to z doświadczenia. Można było myśleć, co się chciało. Widziała już, jak matka karmiła piersią maleństwo, a jej instynkt kazał jej błdzić niepewnie i po omacku wokół skrywanej tajemnicy, podobnie jak algi i cienie istot morskich poruszają się w ciemnościach głęboko w morzu. Próbowali wszystkiego, rozważali różne konteksty, dociekając tajemnic swoich ciał, ale pomysł z domem towarowym całkowicie odrzucali. Czyżby ojciec naprawdę wierzył, że ona to przełknie?

Gdy ojciec wyszedł, na chwilę zapadła cisza. Rodzeństwo nie ufało sobie na tyle, by wymienić się uwagami, poza tym i tak brakowałoby im właściwych słów, ale każde z nich było przekonane, że — tłumacząc na język dorosłych — doktor Ringström był niezwykle naiwny.

Zresztą nie po raz pierwszy ani ostatni dochodzili do tego wniosku. Nie dalej jak o poranku miał miejsce pewien incydent. Jan odmówił zjedzenia owsianki, ponieważ jego filiżanka stroiła niemiłe miny. *Tęgo* oczywiście nie powiedział, ale gdy szukał jakiejś wymówki, mama zdradziła jego tajemnicę. (Nie była głupia, była podła: nigdy, za żadne skarby, nie należy zdradzać, co nam tkwi w duszy, bo inni — w najgorszym dla nas momencie — wykorzystają nasze dziecięce zaufanie). Jednak ojciec wzruszył tylko ramionami, mówiąc:

— To poetycki pretekst, ale jeśli chłopak jest najedzony, to niech da sobie spokój.

Wdzięczność Jana była wymieszana z poczuciem litości sprytniejszego; na szczęście doktor Ringström niczego nie podejrzewał.

Idąc do swojego gabinetu, by tam czekać na pacjentkę, uśmiechał się do siebie. Filiżanka, która stroi miny! Jakież to pomysły miewał ten łobuziak. Oby tylko w przyszłości nie dołączył do grona zabawnych kłamców, zwanych poetami! (Jego niechęć nie była w żadnej mierze skierowana przeciwko wspomnianym wyżej skłonnościom do łgarstwa, lecz wynikała z ich niskich zarobków).

Gdy obie kobiety weszły do gabinetu, doktor Ringström wstał uprzejmie ze swojego fotela. Sprawiał miłe wrażenie dżentelmena.

— Pani Forst, jak miernam. A to nasza mała pacjentka.

Natychmiast się zorientował, kogo ma przed sobą. Młoda dziewczyna nadmiernie rozwinięta intelektualnie, erotycznie nierozbudzona, zapewne przepracowana. Prawdopodobnie kobiecy Hamlet⁴⁰ w formacie kieszonkowym. Sądząc po tym, co mówiła mu pani Forst przez telefon, nie miał powodu zakładać, iż będą jakieś komplikacje. Żadnych objawów psychosomatycznych.

Malin wzięła jego wyciągniętą rękę i uważnie spojrzała mu w oczy. Rzeczywiście sprawiał miłe i przyjazne wrażenie, ale był gdzieś daleko, jak większość ludzi, którzy nie potrzebują pomocy. Bo przecież tak właśnie było: ona przyszła do niego po pomoc i dlatego była blisko niego, ale on nie potrzebował jej pomocy i dlatego był daleko. A przecież ona też miałaby coś do zaoferowania: była interesującym przypadkiem, który mógł być użyteczny w rozwiązaniu problemu medycznego. Pozostawała do dyspozycji doktora i całej nauki, niczym warkocz słów, który należało rozpleść. Co prawda nie miała pojęcia, o co zamierzał ją pytać, ale była zdecydowana odpowiadać jasno, dokładnie, szczerze. Tak naprawdę chyba jednak nie mogła być dla niego ciekawym przypadkiem. Na pewno widywał wielu młodych ludzi, którzy miewali problemy ze snem i którym płacz przychodził zbyt łatwo. Znał to wszystko na wylot. Tak więc nie mogła rościć sobie pretensji do bycia jakimś szczególnym przypadkiem, tyle rozumiała. A jednak — może choć trochę! Podobnie jak pozostali.

— Ile panienka ma lat? — spytał doktor Ringström swoim przyjemnym głosem i zapisał coś w dzienniku.

— Dwadzieścia. Za pięć miesięcy.

— Ach tak. Dwadzieścia lat. I nie sypia panienka nocami?

— Trochę sypiam. Kilka godzin.

— Kilka godzin? Czyli ile?

— Dwie, trzy, cztery, pięć.

⁴⁰Hamlet — tytułowy bohater dramatu Williama Shakespeare'a (1564–1616). [przypis edytorski]

— To za mało w tak młodym wieku.

Spojrzał na nią z ujmującym uśmiechem. Miał piękne zęby.

— Leży panienka pogrążona w rozmyślaniach, tak? Nad zagadkami tego świata?

Malin szukała właściwej odpowiedzi. Czy naprawdę rozmyślała nad problemami świata? Raczej nie. Jej problemy były natury osobistej i dotyczyły bardziej kwestii woli niż rozmyślań jako takich. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, doktor Ringström ponownie się uśmiechnął i ciągnął dalej:

— Musimy uznać, że nie rozwiążemy tajemnic tego świata, chociaż z pewnością nie są one też urojeniami.

Malin siedziała, czekając na kolejne pytania.

„Dwadzieścia lat!”, pomyślał doktor Ringström. Dziewczyna siedziała z miną tak tragiczną, jakby w tym wieku człowiek rzeczywiście wiedział coś o prawdziwych problemach. A przecież dwudziestolatek był jeszcze zbyt zielony, był optymistą, nie biegał do lekarzy ze swoim „bólom świata”. Wszyscy przez to przechodzimy w wieku dwudziestu kilku lat. Siedząca przed nim dziewczyna nie ma pojęcia, jak naprawdę wygląda życie. Oczywiście wyjdzie za mąż — jak wszystkie młode dziewczęta. Ale tego nie można powiedzieć dwudziestolatce w jej stanie, nie zniosłaby cynizmu, tylko by się zirytowała. To szczęście dla lekarzy, że natura nie uczyniła tej strony życia równie ciężką dla kobiet jak dla mężczyzn.

— Rozumiem, że nie ma panienka poważniejszych problemów? — spytał nagle doktor. — Na przykład ekonomicznych?

— Nie.

— Nie — potwierdziła pani Forst. — Zawsze trzymaliśmy dzieci z daleka od tych spraw.

— Bardzo rozsądnie! To doskonała zasada wychowawcza! — potwierdził doktor. — Widzi panienka — zwrócił się do Malin — najpierw trzeba poznać powagę życia. Zanim się to stanie, nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, co znaczą prawdziwe problemy. Przy nich wielka tajemnica świata jest zaledwie zabawą. Ale na jedno muszę zwrócić panience uwagę: proszę za dużo nie pracować, zdrowie jest ważniejsze niż oceny; także w przyszłości, chociaż teraz pewno trudno panience w to uwierzyć.

Kolejny przelotny uśmiech zagościł na chwilę na jego twarzy. Jak można przybierać równie tragiczną minę, mając taki nos? Uznał, że to brak stylu. Niobe⁴¹ z zadartym nosem. Dwudziestoletnia Niobe z zadartym nosem!

Głośno zaś powiedział:

— Wie panienka co? Nie sądzę, żeby na świecie było coś, co należałoby traktować tak poważnie, jak panienka w tej chwili to robi. Ani pieniądze, ani oceny.

W tym momencie powinna się roześmiać; był oburzony, że nie chciało jej się zareagować. Nie miała poczucia humoru, to było oczywiste. Pobrał jej krew, stwierdził anemię, i to wcale nie taką nieznaczną, a więc był powód.

W milczeniu wypisał receptę na roztwór arseniku i waleriany — podał ją pani Forst z ukłonem i uprzejmym dżentelmeńskim uśmiechem, jakby nic się nie stało.

— Proszę się nie zamartwiać tajemnicami świata i pamiętać, że oceny nie są najważniejsze — powtórzył doktor, zwracając się do Malin.

A ona w tym momencie zrozumiała, że to już wszystko, i nagle wybuchła płaczem. Bo to rzeczywiście było wszystko.

— Obiecuję, że będziesz regularnie przyjmować leki — powiedziała matka, kiedy znów zajęły miejsce w pociągu. — Ta wizyta drogo mnie kosztowała.

— Tak — odpowiedziała Malin.

Siedziała wyprostowana i patrzyła przed siebie. Gdy nasze nadzieje na przyszłość zależą od butelki mieszanki arseniku i waleriany, co prawda dużej butelki, to nie jest to wiele. Nie jest to wiele, ale zawsze jednak coś.

Malin miała dziwny sen.

Szła przez jesienny las, wysokie drzewa miały błyszczące metalowe pnie; czuła suche liście pod stopami, koniec wszystkiego. Szła i szła bez żadnego celu, po prostu by iść, odejść. I odchodziła coraz dalej i dalej, gdzie już nigdy nikogo nie spotka, ale i tak nie była

⁴¹Niobe — w mitologii greckiej królowa Teb, której dzieci zostały zabite z powodu pychy matki, a samą Niobe Zeus przemienił w skałę; jest często przedstawiana w sztukach plastycznych jako zrozpaczona kobieta. [przypis edytorski]

w stanie odejść od tego, od czego chciała uciec, bo to nosiła w sobie — strach rozpacz, który ją rozsadzał; nie była w stanie dać mu dość powietrza, musiała zawodzić niczym pies, najgłośniejszy jak potrafiła — nieopanowane wycie. Nie było żadnego szczególnego powodu, po prostu musiała. Nikt jej nie słyszał, nikt nigdy nie miał jej usłyszeć. Zostanie tu i będzie chodzić po tym martwym lesie, i wyć. A kiedy wyła, nie mogąc skończyć, rozumiała: „To właśnie jest szaleństwo, przyszło to, na co czekałam.... Teraz wiem, jak to jest. Kiedy człowiek tam dotrze, jest po wszystkim. Teraz już zawsze tak będzie”.

Poranna modlitwa to istne piekło. Wspomaga sumienie w zwalczaniu cierpienia i bólu, ale jednak nie jest na tyle potężna, by przewyciężyć egoistyczny upór. Rozdarcie to męka, stan tak uciążliwy, że człowiek opada z sił, poci się niczym po wielkim wysiłku i napięciu już po kilku pierwszych godzinach dnia pracy. Opiera się, próbuje myśleć o czymś innym, ale nie daje rady, więc poddaje się i zaczyna tonąć, tonąć w otchłani nieczystego sumienia.

Pani rektor Melling wstaje, szybko i zdecydowanie wchodzi na katedrę i niemal na niej znika, co w najmniejszym stopniu nie jest zabawne. (Poranne modlitwy nie odbywają się w dużej sali modlitw w miesiącach, kiedy jeszcze trzeba palić w piecach — ogrzanie jej tylko w tym celu jest zbyt drogie, więc poranna modlitwa zostaje przeniesiona do brzydkiej brązowej sali muzycznej). Pani rektor jest surowa wobec siebie i jej poranne modlitwy rodzą się najczęściej z własnych doświadczeń. Słowa płyną prosto z serca, a ich ton jest ostry i mało uczuciowy — dla Malin to bolesne. Gdyby tylko to! Ale w jakimś ukrytym kącie jej duszy budzi się opór, niczym w obliczu wielkiej niesprawiedliwości. A z kolei zaprzeczenie pobudza sumienie do coraz to silniejszego kłóśnięcia... Malin ma ochotę podnieść się i uciec ze swoimi otwartymi ranami przed deszczem soli i pieprzu, ale na tyle jeszcze panuje nad sobą, że mimo wszystko zostaje na miejscu. Wierci się, otwiera i zamyka dłonie, w głębi duszy wdycha bezgłośnie, zagryza zęby, próbuje być twardą — ale nadal siedzi, zostaje na miejscu. Waleriana pewnie też ma w tym swój udział, jest niczym błonka, chroniąca ją przed popełnieniem jeszcze gorszych głupstw.

Dzisiaj pani rektor mówi o prawdziwej skrusze.

O tym, „jak biedni i jak puści bywamy w naszej skrusze...”.

MALIN 1.

Zgadza się. Przykładem może być moja błędna odpowiedź na lekcji w piątej klasie, dotycząca gospodarki i norweskich miast. Wstydziłam się jej i żałowałam w sposób małostkowy i próżny — i tak już zostało, nawet teraz czuję, jak się rumienię z powodu tej małostkowej i próżnej skruchy. Przesiąkłam całą małostkowością, moja małostkowa dusza skupia się jedynie na mojej małostkowej osobie.

MALIN 2.

Ale może to nie ma większego znaczenia?

MALIN 1.

To nie ma absolutnie żadnego znaczenia pod warunkiem, że człowiek potem nie uzna, iż jest godny zawiązywać sznurowadła innym. Nie miałoby to absolutnie żadnego znaczenia, gdyby nie nasza przepelniona szaleństwem próżność, prowadząca do tego, że jesteśmy skłonni żałować swojej małostkowości — także w sposób małostkowy i próżny. Sam żal jest małostkowy, skrucha jest małostkowa, samo sedno naszego żalu jest do cna małostkowe.

„... to, co naprawdę byłoby skruchą, traktujemy jako zdarzenie bez znaczenia, coś, co najchętniej odsunęlibyśmy od siebie...”.

MALIN 2.

Byłoby lepiej, gdyby tak rzeczywiście było.

MALIN 1.

Lepiej? A nie jest tak? Czyż nie wmawiamy sobie, że jest jakieś rozwiązanie inne niż poddanie się? Ciągłe odsuwamy od siebie to, co konieczne, udajemy, że istnieje ratunek, nawet jeśli nie jest się gotowym na *wszystko*? Myślimy, że Bóg może się z nami pojednać. To małostkowe próbować uczynić Boga małostkowym.

Modlitwa

Próżność

„...podczas gdy taki błąd — na pierwszy rzut oka niewiele znaczący — może być znakiem ostrzegawczym, wskazującym na to, iż nasza relacja z Bogiem nie jest wystarczająco głęboka i trwała...”.

MALIN 1.

Nie jest wystarczająco głęboka i trwała?! Szczęśliwi, szczęśliwi ludzie, którzy nie dotarli dalej na tej chylącej się ku upadkowi planecie! Ci, którzy wciąż jeszcze mogą mówić o relacji z Bogiem! Ci, którzy nie odeszli na tyle daleko, że znaleźli się w ciemnościach!

MALIN 2.

Chcę stąd odejść! Nie chcę dłużej tego słuchać! Dławi mnie strach! Każde słowo, każdy ton głosu jest wyrokiem, a ja nie chcę być osądzana! Chcę stąd odejść!

Konflikt wewnętrzny

MALIN 1.

Jesteś tchórzliwą kreaturą, która nie chce spojrzeć prawdzie w oczy! Masz zostać: patrzeć i słuchać, zrozumieć, kim jesteś... Zostaniesz skazana. To sprawiedliwe. To nawet za mało, by można było mówić o sprawiedliwości!

„...lecz prawdziwa skrucha według Boga to taka, która powoduje prawdziwą przemianę, pogłębia nasze życie duchowe...”.

MALIN 1.

Zgoda. Dlatego wszelka moja skrucha, cała moja rozpacz to jedynie dym na wietrze, grzech, który da się udźwignąć — o ile można wyobrazić sobie nieskończoność.

MALIN 2.

Chcę wpaść w szal, płakać, wyjść!

MALIN 1.

Siedź, gdzie siedzisz, i wysłuchaj mnie do końca. Musisz zrozumieć siebie w całej swojej nędzy; posłuchaj jeszcze trochę, dobrze ci to zrobi — nienawidzę cię.

„...Ojciec nasz, któryś jest w niebie...”.

MALIN 1.

I dlatego zasłużyłam na wieczne potępienie.

Podniosła głowę po skończonej modlitwie i utkwiała wzrok w karku Siv Lindvall. Pięknej, smukłej kolumnie, wznoszącej się z doskonałej kalenicy szyi niczym spokojny hymn. I wtedy zaszło coś dziwnego — napięcie i cierpienie Malin na chwilę złagodniało, rozbiegane oczy znalazły punkt zaczepienia, na widok tej wyzwalająco pięknej gry kresek przed nią myśli odpuściły szukanie winnych. Myśli, które w innych sytuacjach trzeba było zmuszać do uwagi, teraz tego nie wymagały — po prostu były i trudno było je zmienić.

Piękno

Ulga. Cud.

Po odśpiewaniu psalmu ławki zaczęły się opróżniać; Malin podążyła za innymi, niemal tego nie zauważając. Szła pogrążona w rozmyślaniach. Doświadczyla zagadkowego odkupienia. Nie na zawsze, nawet nie na długo, ale wystarczająco, by zabłąkana dusza zdołała zaczerpnąć tchu.

Być może jest tak, że wszystko, co piękne, daje tajemnicze ukojenie. Dziwne i święte.

Ale kiedyś przeżyła już coś podobnego. Gdy zmęczona i przygnębiona wracała ze szkoły, zdarzało się, że specjalnie wybierała jakąś szczególną ulicę, przy której stał ładny dom o czystych, dobrze wyważonych proporcjach. Część jej zmęczenia znikła, gdy chłonęła kształt budynku — czy raczej, gdy pozwoliła mu się chłonać. W chwilach strachu świat zewnętrzny cofał się, zostawiając ją na pastwę jej bezlitosnej duszy. Teraz wyglądało na to, że na chwilę zmiłował się nad nią i spotkał się z nią, niosąc jej pociechę nie do ogarnięcia rozumem.

Za zrezygnowaną wdzięcznością stała iskierka chciwej nadziei: czy może liczyć na powtórkę?

Ostatnie dni ferii wielkanocnych Malin miała spędzić w Uppsali⁴²; zamierzała odwiedzić Norę Hermansson, która tam studiowała. Poznały się latem na zebraniu chrześcijań-

Przyjaźń, Spotkanie, Podróż

⁴²Uppsala — czwarte pod względem zaludnienia miasto Szwecji; znajduje się tutaj słynny uniwersytet. [przypis edytorski]

skiego związku sportowego⁴³. Nora szybko stała się dla niej kimś na kształt spowiedniczki, chociaż teraz — kiedy i Malin studiowała — prawie się nie spotykały. Prawdę mówiąc, to Malin tego nie chciała. Oczywiście perspektywa uniknięcia przez kilka dni wybuchów przy stole w jadalni była kusząca, ale przecież nie odseparuje się od krępujących sytuacji. Nie spodziewała się od nikogo pomocy, na odpoczynek w obecnych okolicznościach też nie mogła liczyć; Nora należała do ludzi, na szacunek których jej zależało — zachowanie choć odrobiny sympatii, którą być może jednak się cieszyła, wymagałoby w tej sytuacji od Malin takiego wysiłku, że nie wierzyła, iż to może jej się w ogóle udać. W pewnym sensie celem tej podróży, gorzkim celem, była utrata przyjaciółki. Jednak jej matka obiecywała sobie wiele po zmianie powietrza. A zresztą, skoro była, jaka była, to nie zasłużyła sobie na żaden szacunek.

Pierwszy dzień był nie do zniesienia. Malin próbowała się trzymać i zachowywać jak zwykle, ale powodowało to takie napięcie, że nie była w stanie nawiązać żadnej rozmowy. Wieczorem, kiedy siedziały w małym pokoiku Nory na strychu z zapaloną lampą i herbatą parującą w filiżankach, Malin przedłożyła rzeczowym tonem w prostych słowach wypowiedzianych *stacatto*⁴⁴ pytanie, czy psychologia nie była tak niesłychanie ważnym przedmiotem, że należało go uczyć się jeszcze w szkole, a już na pewno zgłębiać w dojrzałym wieku, bo przecież istniało tyle rzeczy nieznanymi i zaskakującymi, z którymi nie bardzo wiadano, co począć. Dyskusja rozpoczęła się, gdy Nora zdjęła z półki książkę i odczytała wpis z pamiętnika znanego angielskiego psychologa, w którym wspominał o „The Human Bible”, mając na myśli duszę człowieka — i to nie jej piękne strony, a właśnie te nieznanne, pełne tajemnic, „*amazing is not always amusing*”⁴⁵. To właśnie nazwał *the human bible*⁴⁶... Wobec takiego aktu litości Malin nie była w stanie zachować równowagi i z jej oczu popłynął potok łez.

Była wściekała na siebie, ale to oczywiście nie pomogło. Naprawdę pozostał jej już jedynie płacz? Wewnątrz wszystko w niej się burzyło: miała wielkie nowe cele, zdobywała alpejskie szczyty i spadała w przepaści, bała się sennych koszmarów i mogła liczyć jedynie na cud — ale na zewnątrz wszystko wyrażało się tylko jednym: płaczem, płaczem i jeszcze raz płaczem. Tak monotonnym i niezrozumiałym jak niepewne dźwięki wydawane przez głuchoniemego... Nie przynosił jednak ulgi jak deszcz czy rosa, tylko wybuchał z potężną siłą niczym gejzer, gorąca rzeka, która pysznie rzuca się na zbyt dalekie, litościwe niebo. Język, którego nikt nie potrafił zrozumieć. Tak naprawdę miała morze pytań do zadania, mnóstwo przeżyć do opowiedzenia — a była w stanie wyrazić to tylko w ten jeden niezrozumiały sposób. A poza tym — co to były za pytania? Żadnego nie potrafiła jasno sformułować. I jakie przeżycia? Nie była w stanie ich opowiedzieć. Jakby stały po drugiej stronie słów i tego, co niemożliwe do wyrażenia. Jedyne, co mogła zrobić, to czekać i czekać, aż jej życie być może znów się pojawi w świecie, w którym słowa są środkiem przekazu między ludźmi — lub zniknie jeszcze głębiej, tam, gdzie słowa, które posiadamy, nie znaczą już nic, nie docierają do nikogo, gdzie ludzie są niedostępni dla ludzi.

Nora bardzo rozsądnie przyjęła jej wybuch; zdawała się nieporuszona i udawała, że jest to coś całkowicie naturalnego. Malin była jej za to wdzięczna. Pomyślała, że jej wartość zwykłego człowieka jeszcze nie została do końca utracona.

I wieczór zakończył się spokojnie i łagodnie, jak zawsze po takim ataku płaczu, gdy nie miała poczucia, że powinna się czegoś wstydzić.

Jednak następnego ranka, gdy Nora musiała iść na wczesny wykład, znów coś się wydarzyło. Malin siedziała w rogu kanapy, przyglądała się pokojowi i nagle poczuła zdziwienie graniczące ze strachem. Krzesła pokryte kwiecistym kretonem, kanapa w kwiatki, dziergany antymakasar⁴⁷, półka z filiżankami do herbaty i gładki, biały kaflowy piec zdawały się odsłaniać swoją prawdziwą naturę, grę przypadkowych i zdradliwych pozorów,

⁴³chrześcijański związek sportowy — szwedz. Kristliga Gymnasistförbundets (KGF) był chrześcijańską organizacją młodzieżową dla uczniów szkół średnich, założoną w latach 10. XX w.; stanowił ważną część ekumenicznego i kościelnego ruchu młodzieżowego w Szwecji. [przypis edytorski]

⁴⁴*stacatto* (wł.) — termin muzyczny, oznaczający technikę wydawania dźwięków krótko i oddzielnie. [przypis edytorski]

⁴⁵*amazing is not always amusing* (ang.) — to, co niezwykle, nie zawsze jest zabawne. [przypis edytorski]

⁴⁶*the human bible* (ang.) — człowiecza biblia. [przypis edytorski]

⁴⁷*antymakasar* — rodzaj pokrowca. [przypis edytorski]

Łzy

Dom, Pozory

coś, od czego ona sama już dawno odeszła. Miała wrażenie, że w przestrzeni, w której obecnie się poruszała, formy straciły swoje znaczenie, wszelkie kształty rozmywały się w pierwotnej materii, niczym martwy człowiek, który powoli zanurza się w rozkładającym się świetle i cofając się w procesie tworzenia, coraz bardziej zbliża się do pierwotnej mgławicy, do odtworzonego domu matczynego⁴⁸.

Zaczęła drżeć przed czymś tak prostym, że trudnym do pojęcia: może okaże się jej światem rzeczywistym — świętym, świętym, świętym...?

Nora wróciła do domu i znalazła Malin w całkowitej rozsypce. Uważnie słuchała jej mętnych prób usprawiedliwienia się („Materia sama w sobie jest święta... Zdejmij buty... Obnaż swoje ciało i duszę... Zbyt święte jak dla mnie”) i wydała krótką acz zdecydowaną opinię:

— Tak, jesteś chora! Jesteś chora! — orzekła i nakazała Malin położyć się do łóżka.

— Muszę teraz na krótko wyjść — oznajmiła po południu. — A ty weź książkę i trochę poczytaj. To ma być *powieść*, rozumiesz? Nie wolno ci siedzieć i rozmyślać o piecu i materii. Bądź tak dobra i posłuchaj mnie. Wrócę za dwadzieścia minut, może pół godziny.

Malin uśmiechnęła się niepewnie. Tak, dzisiaj nie będzie więcej rozmyślać. Miała wrażenie, że tym razem najgorsze już minęło i przez jakiś czas znów będzie mogła swobodnie oddychać.

Posłusznie sięgnęła na półkę po Kiplinga⁴⁹ i usiadła w oknie. Na dworze nadal nagie drzewa stały na tle zachmurzonego nieba i z jakiegoś powodu wydały jej się bliższe niż kiedyś. Jakby tliło się w nich słabe życie, co mogło znaczyć, że w jej oczach pojawiła się nowa słaba iskra życia, jakby gdzieś jeszcze istniała tęsknota za tym, żeby wyjść...

Tak, istniała tęsknota — nie zwykły śmiertelny strach. Ktoś, kto szukał, żeby znaleźć, a nie kręcił się tylko w kółko z nudów. Coś, co przypominało powstający załazek woli.

„Gdzie wówczas będę? Gdzie będzie mój dom?”. Testowała ostrożnie swoją tęsknotę. Lecz odpowiedź wybuchła niczym płomień i wypełniła każdy najmniejszy zakamarek jej ciała:

„*Chcę widzieć Siv. Chcę być tam, gdzie jest Siv*”.

Co to było! Czy to nie...

Zamknęła mocno usta dla ochrony przed wszelakimi słowami. Prowadziły na manowce, nie chciała ich znać. Stała, czekając zastygła w milczeniu, i nawet strach, który musnął ją przez moment, był spokojny i uroczysty.

Pojutrze wróci do seminarium. Wówczas wszystko stanie się jasne.

Błogosławiona żywa tęsknota! Błogosławione żywe życie!

Wróciła. Wszyscy krążyli i witali się po feriach wielkanocnych. Siv stała przy regale i rozmawiała z Peggy, swoją koleżanką z ławki.

Więc to była prawda.

Prawda, płynąca gdzieś z głębi, pod skórą, rodzaj gwałtownego ożywienia, niczym intensywna nagość prześwitująca przez ubranie, była jak ogień, niemal bolesna w swojej gwałtowności. Nie wykonała żadnego nagłego ruchu, nie krzyknęła, nie zrobiła kroku; stała spokojnie i płonęła. Ale oczy, wygłodniałe, chłoneły rysy tej jedynej prawdziwej twarzy — skupiły się na niej, utonęły w niej. Była w domu! Mogła pozwolić sobie na głęboki oddech ulgi. Nic, żadna kreska, żaden skłon głową, nic, co nie dawałoby tej jedynej wyczekiwanej odpowiedzi. W domu, nareszcie była w domu! I gdy tak stała, oddając się bezwarunkowo tym pięknym, surowym rytmom, one zamykały się wokół niej uzdrawiający chłodem, jakby ich dostojeństwo i siła spływały także na nią, a ona piła i piła z tej złocistej obfitej ciszy.

Wszystko to trwało przez jedną zastygłą w bezruchu chwilę, na którą nikt nie zwrócił uwagi.

Wargi, czy nie możecie zamknąć się mocno wokół tego, czego nie da się wyrazić, by żadne słowo nie wyslizgnęło się w swej złośliwej małości i nie zaczęło mruczeć! Milcz,

Choroba, Szaleństwo

Tęsknota, Powrót,
Spotkanie

Prawda

⁴⁸dom matczyny — szwedz. *Mödrarnas bårdar*, nawiązanie do „Ogniska matki”, poetyckiego wyrażenia często używanego do opisanie bezpiecznego miejsca, w którym dorastają dzieci, symbolu domu, bezpieczeństwa, pierwotnego miejsca wspólnoty i opieki; pojawia się np. w wierszu Karin Boye *De sju dödsynderna*. [przypis edytorski]

⁴⁹Kipling, Rudyard (1865–1936) — angielski prozaik i poeta. [przypis edytorski]

myśli, nie przeszkadzaj, skoro nie wiesz, co to jest. To coś, co dzieje się tylko raz, a potem już nigdy więcej. Nie nadawaj temu żadnego imienia, zostaw takim, jakie jest, w mojej krwi i w moich oczach, niczym życie i oskola⁵⁰! To nowe, co powstało, nie potrzebuje żadnej nazwy.

Takie szczęśliwe bezimienne osołomienie może trwać dzień — dwa dni, trzy.

Lecz myśl śmieje się w nocy pod poduszką. Bronisz się na próżno, tchórzliwa bestio!

Coś takiego zdarza się raz, raz i nigdy więcej! Zdarzało się tysiące razy i tysiące razy będzie jeszcze się zdarzać, tysiące! Nie wiesz, co to jest?

A bestia wierci się i jęczy, siada i w końcu mówi: „Ja wiem!”.

Tak — i co?

No... Koniec.

Po nocy pełnej czuwania nadszedł dzień egzaminów. Z nauki o religii. Każda z uczennic klasy IV A i B mogła wybrać jednego z proroków jako temat swojej pracy — a teraz czekały na wyrok. Zostały umieszczone w obcych im klasach, w których ławki ustawiono w dużej odległości od siebie. Malin ponurym, wręcz bardzo ponurym wzrokiem zauważyła, że Siv wskazano miejsce za nią, więc podczas egzaminu nie będzie jej widzieć. I dobrze — bo przecież to koniec! I w tym momencie poczuła niezwykle wyraźnie, niemal boleśnie, jak bardzo uzależniła się od tej tajemniczej pociechy, którą niósł jej ów biały niczym kość słoniowa kark z dwiema widocznymi, idealnymi tętnicami... W ich klasie Siv siedziała nieco przed nią, co sprawiało, że Malin w dowolnej chwili mogła spoglądać w jej stronę; i za każdym razem czuła, jak chłodny prąd przechodził jej cierpiącą duszę, zmywając duszność i strach. Na krótką chwilę, co prawda, ale wystarczało aż w nadmiarze. To było oszałamiające bogactwo, cenne, wewnętrzne, życiowe dobro.

A jednak mimo wszystko musiało się skończyć.

Czoło Malin opadało coraz niżej nad kartką papieru. Przed nią nie było już nic, za czym by tęskniła. Tak musiało być. Ze złkniętym sercem, w jakiś sposób odłączonym od tego, co w danym momencie robiła, próbowała, nie myśląc, odpowiedzieć na pytania, jakby dźwigała jakiś przemożny, lecz nieunikniony ciężar: „2) Obraz Boga się zmienia: ograniczony miejscowy bóg staje się Bogiem dla całego świata...”.

Jeremiasz⁵¹! Miał siłę przejść przez wszystko wiedziony nieubłagany palącym głosem, który w nim tkwił. A ona... Przez nią nie przemawiał żaden święty palający głos, płonęło jedynie to, co było zabronione. Chęć, by chociaż raz skierować tam swoje spojrzenie.

Znów zaczęły lecieć jej łzy, cicho i niezauważalnie, a przecież nie płakała już od kilku dni... Teraz jednak ponownie wszystko zmierzało w kierunku rozkładu — wiedziała o tym, ale innej drogi nie było. Przed nią nie było nic, jedynie coraz głębszy strach. Tak nakazywało jej sumienie! Sen o jesiennym lesie! Czy wkrótce tam się znajdzie? Jej dłoń ścisnęła pióro, ale nie potrafiła już pisać. Utonąć w bagnie, utonąć w bagnie...

Czas mijał, mijał, musiała przecież pisać; ale nie pisała.

Jeremiasz, Jeremiasz, *Jeremiasz*! Nie było niczego, co mogłoby obudzić w niej choć na chwilę zainteresowania Jeremiaszem! Nic, co mogłoby wyrwać ją z martwego paraliżu, dopóki trwał egzamin!

Jedynie, co przychodziło jej do głowy, to kilka wersów, których absolutnie nie mogła użyć w sprawdzianie. Ale czytała je tak często, że znała je na pamięć. To dotyczyło rozdziału, w którym prorok po pobycie w więzieniu i ucieczce z kraju pociesza użalającego się Barucha⁵²: „Oto, co zbudowałem, burzę, a co zasadziłem, wypieniam. Ty zaś chcesz szukać wielkich rzeczy dla siebie! Nie szukaj! Sprowadzę bowiem nieszczęście na wszelkie ciało — wyrocznia Pana — lecz tobie dam twoje życie jako zdobycz wszędzie, dokądkolwiek pójdziesz”⁵³.

To nazywa się pocieszeniem. I właśnie to było takie wspaniałe. Najpierw upomnienie: „Chcesz szukać wielkich rzeczy dla siebie! Nie szukaj!” — słowa zderzyły się z jej

Szkoła

Bóg, Okrucieństwo

⁵⁰oskola — produkowany dawniej naturalny sok brzoźowy. [przypis edytorski]

⁵¹Jeremiasz — prorok, twórca biblijnej księgi Jeremiasza. [przypis edytorski]

⁵²Baruch — prorok biblijny, sekretarz i przyjaciel proroka Jeremiasza. [przypis edytorski]

⁵³Oto, co zbudowałem, burzę, a co zasadziłem, wypieniam. Ty zaś chcesz szukać wielkich rzeczy dla siebie! Nie szukaj! Sprowadzę bowiem nieszczęście na wszelkie ciało — wyrocznia Pana — lecz tobie dam twoje życie jako zdobycz wszędzie, dokądkolwiek pójdziesz — cytata biblijna, Jr 45:3–4. [przypis edytorski]

tchórzliwym błaganiem o litość, tak cudownie nielitościwie sprawiedliwe. A potem te okrutne: „Sprowadzę bowiem nieszczęście na wszelkie ciało — wyrocznia Pana — lecz tobie dam twoje życie jako zdobycz”. Unicestwiająca ironia Boga; nikt nie jest tak cudownie okrutny. Nagie ciało, odarte z szacunku, odarte ze szczęścia, odarte z bliskości tych, których się lubi — niczym zdobycz, *bardziej niż sobie zasłużyliśmy...*

Już samo życie było czymś więcej, niż sobie zasłużyliśmy!

A jednak. Może Jeremiasz i Baruch w swoim czasie cenili je bardziej niż my. Może mówiąc *życie*, mieli na myśli coś więcej niż krwioobieg i codzienne trawienie. Czegóż by nie dała za *życie* — właśnie ona, zmierzająca ku śmierci za życia...

I wtedy powzięła decyzję. Nagle wiedziała już, że wszystko inne nie miało znaczenia. Chciała wygrać swoje życie, *jej życie*, nic innego — życie jako zdobycz.

Dzisiejszej nocy Bóg upadł.

A może to tylko sama nazwa, pusta skorupa, upadła.

Ale skorupa ta ciągnęła za sobą moce, które były mocami śmierci. Odrzucam je.

Nic nie widzę. Nie zdradzają swoich imion. Odrzucam je.

Stoję odnowiona na brzegu morza, a sumienie nie jest już moim sumieniem. Odrzucam je.

Pragnienie życia uczyniło mnie nagą. Pragnienie życia sprawiło, że widzę. Cokolwiek mnie czeka, wyjdę temu naprzeciw z nagimi widzącymi oczami.

DIALOG II: O ZNACZENIU SŁÓW POBOŻNYCH

KSIĄDZ

Synu, doszło do mych uszu, iż w ostatnim czasie zaczęły nachodzić cię podejrzanymi myślami. To prawda? Coś cię niepokoi?

MNICH

Ależ nie! Jakiś nadgorliwiec chciał mnie oczernić albo, co raczej bardziej prawdopodobne, doszło do pomyłki. Nie nazwałbym mych myśli podejrzanymi; to raczej prze-myślenia, jakie naszyły mnie w czasie przewidzianym zgodnie z regulaminem na prace w ogrodzie i w stolarni. Powiedziałbym, że można je porównać do pobożnych obserwacji, ponieważ z natury mają budujący charakter. Jestem poruszony i zdziwiony, że ktoś uznał, iż w ogóle warto zaprzętać sobie nimi głowę, i oburzony, iż przedstawiono je ojcu w tak zniekształconej wersji. Jestem głęboko przekonany, iż okażą się całkowicie niewinne, więc będę wdzięczny i zadowolony, jeśli czcigodny ojciec raczy je rozważyć.

KSIĄDZ

Nie zapominajmy, że kusiciel niekiedy przebiera się w szaty niewinnego dziecka. Tak czy inaczej nigdy nie wątpiłem w twoje posłuszeństwo i dobrą wolę, synu.

MNICH

Obym okazał się godny twego zaufania, ojcze. Co ojcu powiedziano?

KSIĄDZ

Że przecyzysz świętym pismom.

MNICH

Ktoś haniebnie źle mnie zrozumiał. Ale domyślam się, jak do tego mogło dojść; niech więc ojciec pozwoli, bym się wytłumaczył, chociaż zapewne może to trochę potrwać.

KSIĄDZ

Mów, synu! Dlatego tu jestem.

MNICH

Powiedz mi najpierw, czcigodny ojcze, czy sądzisz, że osoba niewidoma rozumiała-by, gdyby ojciec lub ktoś inny, mający dobry wzrok, próbował opisać mu jasne kolory powszechnie podziwianego ołtarza?

KSIĄDZ

Z czysto ludzkiego punktu widzenia wydaje się to mało prawdopodobne.

MNICH

Mało prawdopodobne, by nie powiedzieć: niemożliwe. Niech mi wolno będzie zadać jeszcze jedno pytanie: gdyby człowiek, który co prawda widzi, ale jest zmuszony posługiwać się laską i od urodzenia jest głuchoniemy, nagle, w wyniku cudu, zaczął słyszeć, to czy zrozumiałby, co znaczy słowo *laska*?

KSIĄDZ

Nie sądzę... Ale jednak należy dodać, iż rozmawiamy o ludzkiej wiedzy, a istnieje też wyższa mądrość. Dla Boga nic nie jest niemożliwe.

MNICH

Zawsze z tym zastrzeżeniem, ojcze!

Czyli należy pokazać głuchoniememu laskę, mówiąc jednocześnie: „Laska!”.

Natomiast gdy my, którzy i widzimy, i słyszymy, rozmawiamy o lasce, nie mamy żadnych trudności ze zrozumieniem tego słowa, ponieważ słyszeliśmy je wielokrotnie, a także widzieliśmy rzecz, którą ono określa. Jeśli chcę, żeby dziecko, które nigdy wcześniej nie widziało konia, zrozumiało, jak wygląda to zwierzę, zabieram je w miejsce, gdzie może je zobaczyć i wskazując na nie, mówię do dziecka: „Patrz, to jest koń!”. Mogę też po prostu opisać konia; uczeń powinien mnie zrozumieć, ponieważ mogę posłużyć się licznymi porównaniami: powiedzieć, na ile koń jest wysoki (na przykład, że sięga mi do ramion), że jest brązowy jak moja sutanna, że jest żywy i ma cztery nogi jak pies, a ogon ma z szorstkiego włosia, bardziej szorstkiego niż ludzkie włosy... I dodać jeszcze wiele innych rzeczy.

KSIĄDZ

To wszystko wydaje się prawdziwe i słuszne, rozumiem, że jesteś dobrym nauczycielem szkoły przyklasztornej.

MNICH

Nie ośmieliłbym się tak powiedzieć. Ale pozwól mi, czcigodny ojcze, mówić dalej.

Kiedy doszedłem do tego, pomyślałem, że tak jest z rzeczami, które są widoczne, ale zacząłem się zastanawiać, co z tym, co tkwi wewnątrz nas. Jak nauczyciel ma nauczać dzieci (i nie tylko dzieci) o pobożności, miłości, szczęśliwości i duchowości, gdy one same nie doświadczyły jeszcze ani pobożności, ani miłości, ani szczęśliwości czy duchowości? Nie można tego porównać do sytuacji niewidomego, bo przecież Bóg nie stworzył niewidomych jedynie do życia wewnętrznego, ani też do przypadku mężczyzny, który nagle zaczął słyszeć; tylko raczej do sytuacji dziecka, które było źle nauczane i słyszy słowo, ale nigdy nie widziało rzeczy, którą ono oznacza. Co ktoś taki zrozumie coś, słysząc jedynie wypowiedziane słowo?

KSIĄDZ

No i cóż ja teraz mam myśleć o twoich zdolnościach nauczania? W każdej chwili możesz przecież pokazać uczniom to, o czym mówisz; są opowieści o świętych mężczyznach i kobietach, o ich czynach i słowach.

MNICH

Mówię o życiu wewnętrznym, z którego wywodzi się to zewnętrzne. Czyny i słowa mogą być owocami zrodzonymi przez pobożną duszę, ale mogą też być jedynie pozorem. Nie możemy wskazać jakiegoś konkretnego działania i powiedzieć: „To jest pobożność, a to jest miłość”. Ten, komu było dane doświadczyć prawdziwej pobożności czy prawdziwej miłości, płynącej z serca miłującego, pobożnego człowieka, ten zrozumie i rozpozna je w opowieściach o świętych. Ale pomyślmy o kimś, kto nigdy jeszcze nie spotkał prawdziwej pobożności ani w sobie, ani w nikim innym, a widział jedynie dążenie do niej czy też jej pozorną formę. Gdy jego nauczyciel, także będący człowiekiem obłudnym, każe mu czytać opowieść o pobożności, a potem tłumaczy, mówiąc: „Patrz, to jest pobożność!”, czy wówczas ten ktoś nie zrozumie duszy świętego jako czegoś podobnego do tego, co według niego miał na myśli jego nauczyciel? A jeśli mimo wszystko w słowach świętego pojawi się iskra prawdziwej pobożności i stanie się nagle widoczna, czy nie istnieje ryzyko, że pomylimy tę ledwie tlącą się iskrę z mocną, wręcz olśniewającą, aczkolwiek najczęściej jedynie pozorną siłą, którą promieniuje nauczyciel! Lub ktoś, kto nie tylko

Wiedza

Nauczyciel, Nauczycielka,
Wiedza, Dziecko

Pobożność

nigdy nie doświadczył, ale nawet nie widział prawdziwej miłości do Pana czy do Matki Boskiej, może być nauczany przez równie niedoświadczonego nauczyciela, który czuje jedynie lęk przed karą za grzechy i ten lęk nazywa „miłością do Boga”. Czy nie przejmie on nazewnictwa swojego nauczyciela, tak że również dla niego pojęcie „miłości do Boga” w przeważającej mierze będzie oznaczało strach przed karą za grzechy? Tak więc sama nazwa czegoś wewnętrznego może kryć w sobie coś, co ma wręcz przeciwne znaczenia niż znaczenie oryginalne; i to są najwięksi wrogowie tego co pierwotne!

W ten oto sposób dotarłem do tego, co tak haniebnie zostało zniekształcone. Uważam bowiem, że nawet najbardziej święte ze wszystkich świętych pism mogą zostać źle zrozumiane w zależności od natury i doświadczenia osoby, która je czyta. Wszystkie wywody ojców Kościoła, tysiące spotkań na soborach i padające tam tłumaczenia i komentarze nie zmieniają tego, że słowo pozostaje tajemnicą, do której klucz ma jedynie ten, kto w życiu i w duszy miał do czynienia z tym, co owo słowo oznacza.

KSIĄDZ

Zaczynam cię rozumieć. A jednocześnie rozumieć też, że nie doszło do żadnego haniebnego przeinaczenia. Wkroczyłeś na niebezpieczną drogę, synu. Może ona zatrzęść podwalinami naszej wiary.

MNICH

Ależ nie, ojcze! Gdy mówię, że litera sama w sobie nie nauczy nas niczego o duszy ani o tym, co najwyższe, uważam też, że żywy duch, zaszczipiony człowiekowi, może nauczyć nas wszystkiego! Taki człowiek może stanąć naprzeciwko drugiego, który jeszcze nie doświadczył działania ducha, i on to pojmie, i natychmiast zrozumie. Uśmiech, gest ręki, gdy idzie przez tłum, nauczy każdego, kto go zobaczy, czym jest miłość bez lęku, w większym stopniu niż jakakolwiek książka. Duch rozpala ducha, tworząc kolejne ogniwa świętego łańcucha prowadzącego przez stulecia, łańcucha, który nigdy nie zostanie przerwany ani zakończony. To jest prawdziwa apostolska sukcesja czasów od Jezusa Chrystusa (I proszę, zauważ, ojcze czcigodny, iż nie zaprzeczam sukcesji apostolskiej, o której zwykle jest mowa, tylko mówię o tej innego rodzaju, nienamacalnej, przekazywanej przez oko i ucho). Może On sam podarował swoje błogosławieństwo i swoją wzbogacającą obecność właśnie po to biednym rybakom, by nie mogli się wycofać i poświęcić swojego krótkiego i cennego życia na bezowocną pisaninę, zmniejszając w ten sposób zakres oddziaływania ducha, lecz by świadczyli własną osobą i nauczali. Siłą, jaką wkładamy w to, by klarownie i jednoznacznie formułować odwieczne prawdy, powinna być wskazówką i radością dla tych, którzy tę wiedzę już posiadli. Lecz nauczanie tych, którzy najbardziej tej nauki potrzebują, nie odbywa się jedynie za pośrednictwem słów, ale także przez ducha (przy pomocy słów lub bez nich), przez ducha ludzi żywych. Posunę się do tego, iż stwierdzę, że nieskończenie lepszym nauczycielem niż człowiek uczony, który naucza tego, czym sam nie żyje, jest człowiek prosty, promieniujący duchem, nawet jeśli nie jest w stanie otworzyć ust i nie odróżnia „A” od „B”. To właśnie było moim celem! A więc nic zdrożnego, ojcze, jedynie próba wytłumaczenia słów zawartych w *Piśmie*: „Litera zabija, ale duch ożywia”⁵⁴.

Duch

KSIĄDZ

Boję się, bardzo się boję, że to wszystko jest siecią, zarzuconą przez Szatana na bezsilne dusze. Teraz widzę wyraźnie, dokąd to zmierza.

MNICH

Czcigodny ojcze, ojciec mnie przeraża! Jedyne wnioski, jakie wyciągnąłem z moich rozmyślań, jest taki, iż mniejsze znaczenie ma studiowanie i czytanie niż poszukiwanie tego jedynego, co jest konieczne, by utwierdzać nas w pobożności, o ile chcemy być prawdziwymi nauczycielami świętej wiary.

KSIĄDZ

A ja teraz powiem ci, jakie wnioski wyciągam *ja* sam, ale prawdopodobnie też wielu innych, jeśli chodzi o to, co stałoby się, gdybyś mógł szerzyć twoje nauki.

⁵⁴Litera zabija, ale duch ożywia — cytat biblijny, 2 Kor 3:6. [przypis edytorski]

Przed wszystkim: gdyby było tak, jak twierdzisz, to Kościół powinien jak najszybciej nakazać wszystkim nauczycielom w całym kraju nauczać czegokolwiek, czarnej magii czy wierzeń pogańskich, byle nie chrześcijaństwa. Bo jeśli święte słowa nie znaczą nic poza tym, co reprezentuje sobą nauczyciel, to ilu z tych wiecznie niezadowolonych, chciwych i leniwych nauczycieli zasłużyłoby sobie na szacunek i zostałoby uznanych za godnych przekazywania prawdy? Wiem, że są także dobrzy, porządni, trzeźwi i bogobojni nauczyciele; mając dobre chęci, powiedzmy, że jest ich więcej niż połowa. Ale ilu z nich zasłużyłoby sobie na szacunek? Ilu ludzi Kościoła? Ilu ludzi na ziemi w ogóle? Okazałoby się, że nikt, poza świętymi, nie mógłby nauczać o świętości.

Nauczyciel, Religia

MNICH

Okazuje się, że jednak mam więcej zaufania w stosunku do ludzi niż czcigodny ojciec. Wierzę bowiem, iż każdy człowiek może podzielić się tym, co ma; nikt nie jest tak biedny, że nie posiada niczego, a jeśli się podzieli, to nadal zostanie mu jeszcze dwanaście koszy⁵⁵. Jednak co do jednego ma ojciec rację, niestety: jeśli nikt nie jest w stanie przekazać więcej wiedzy o życiu duchowym, niż sam posiada, to być może oczekiwanie, iż człowiek ma nauczać o prawdach naszego Kościoła, jest zbyt wygórowane. Może się tak nieszczęśliwie zdarzyć, iż gdy będzie on mówił o złości Boga, to tak naprawdę będzie mówił jedynie o niesprawiedliwej złości ziemskiego ojca, a gdy będzie mówił o łasce bożej, to tak naprawdę będzie mówił jedynie o własnym słabym morale.

KSIĄDZ

Nazwanie tego wysoce nieszczęśliwym to za mało. Im bardziej się w to zagłębię, tym bardziej się gubię. Właśnie pomyślałem o strasznym skutku twoich rozmyślań (już to samo wystarcza, by pokazać ich naganność); gdyby było tak, jak sądzisz, to nigdy nie mielibyśmy pewności, co jest czystą nauką. Ktoś mógłby głosić najstraszniejsze herezje, wręcz szerzyć pogaństwo, a jego słuchacze nauczyliby się więcej o wieczności niż ci, którzy słuchaliby kogoś, kto uczciwie starałby się nauczać zgodnie z *Pismem Świętym*! To niedorzeczne.

MNICH

Nigdy tak daleko nie doszedłem w moich rozważaniach. Słowa czcigodnego ojca przerażają mnie bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić. Czy naprawdę do takich właśnie wniosków prowadzą moje rozmyślania?

KSIĄDZ

Tak, ponieważ twoje rozumienie odwiecznych prawd jest z gruntu fałszywe. Mieszasz to co święte z naszym doświadczeniem świętości. Widzisz objawienie poprzez ludzką duszę, ale zapominasz, iż wiele z tego, co zostaje nam objawione, dusza ludzka nigdy nie będzie w stanie pojąć. Kto jest w stanie pojąć tajemnicę Świętej Trójcy? Nikt, nawet ci najmądrzejsi! Kto jej doświadczył? Nikt, nawet ci najbardziej pobożni. A mimo to jest to święta rzeczywistość, objawiona nam w prostych słowach: *Tak to jest!* Niepojęte, niemożliwe do doświadczenia, ale tak to jest. Dlatego już samo słowo dostarcza nam wiedzę, mimo że nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie, co za nim stoi. To jest misterium wiary!

Wiara, Tajemnica

MNICH

Dziękuję, że zechciał ojciec zająć się tak dokładnie moimi nędnymi przemyśleniami. Sam nigdy nie odkryłbym tych pułapek, ale teraz, w świetle uwag ojca, widzę je dokładnie.

KSIĄDZ

To, co powiedziałem, winno wystarczyć. Chciałbym jednak dalej ciągnąć mój wywód dotyczący przerażających wniosków, do których mógłbyś dojść, gdybyś nie został w porę ostrzeżony.

Gdybyśmy wychodzili jedynie od tego, co nazywasz doświadczeniem duchowym, i uznali (co ty w swoim pomieszaniu zdajesz się czynić), że święte słowa, nauki i dogmaty to tylko nazwy pewnych doświadczeń, to jaką mielibyśmy pewność, że jakiś Bóg,

Bóg, Religia, Nauczyciel

⁵⁵*dwanaście koszy* — odniesienie do biblijnej historii o rozmnożeniu chleba i ryb, kiedy to po nakarmieniu tysięcy głodnych zebrano jeszcze dwanaście koszy pełnych resztek. [przypis edytorski]

wspólny dla nas wszystkich, w ogóle istnieje poza naszą ciasną duszą? Weźmy któregoś z ograniczonych, przyziemnych, grzesznych i pysznych, ale ciężko pracujących ludzi na tym świecie; czy ten Bóg, który nauczał swe dzieci modlitwy, mógłby w jakiś sposób przypominać postać, którą zwiemy Szatanem? Niewiele, jeśli w ogóle, pomogłoby, gdyby jego nauki zostały przeanalizowane i uznane przez kolejne zgromadzenia w ramach Kościoła, bo już w momencie, gdy je wypowiadał, nie miałyby nic wspólnego ze świętą wspólnotą. Żadne księgi, pisma, uchwały synodów same w sobie nie byłyby w stanie przekazać cegogokolwiek o prawdach duchowych; innymi słowy, *nikt tak naprawdę nie wiedziałby, kim lub czym jest Bóg ani gdzie On jest*. Jedyna prawda o tym co święte to ta, którą posiadłby każdy z nas z osobna! Kościół czy jakakolwiek święta wspólnota nie byłyby w ogóle możliwe (o ile nie pojawiłby się ktoś nieznany, ktoś, o kim mieliby wiedzieć jedynie aniołowie, ale nie ludzie, którzy do tej wspólnoty by należeli!), nauczanie o sprawach duchowych nie byłoby możliwe, ponieważ każdy krok wiązałby się z niebezpieczeństwem nauczania o Szatanie, a nie o Bogu! Każdy byłby pozostawiony sam sobie i musiałby bezzadnie brnąć po omacku przez ciemność, a rozpacz ogarnęłaby całą ludzkość. To błędna nauka! Gdybym spytał kogoś: „Co wiesz o Bogu?”, padłaby odpowiedź uznaniowa, niepewna, składająca się z porównań, jak w przypadku, gdy trubadur usiłuje opisać swoją ukochaną; byłaby równie użyteczną wskazówką jak milczenie! Czy ludzie wówczas nie zaczęliby się zastanawiać: „Do czego właściwie jest nam potrzebny Kościół? Mimo wszystkich swoich dogmatów nie będzie nigdy w stanie nauczyć nas więcej, niż nauczali nas prości ludzie wokół. A jeśliby nas jednak czegoś nauczył, zawsze byśmy się obawiali, iż za pobożnymi słowami kryje się coś bardzo bezbożnego. Poza tym, pobożne czy nie, to w końcu zawsze poznajemy jedynie człowieka!”. Twoje rozmyślenia prowadzą do przerażającego wniosku, iż *nauczanie o Bogu, pobożności i wyższych cnotach nie jest możliwe*.

MNICH

Ojcie, jestem tak głęboko wstrząśnięty, iż wszystkie moje członki drżą! Któremu świętemu mam dziękować i go błogosławić? Z pewnością świętemu Tomaszowi z Akwinu⁵⁶, bo zapewne to on przywiódł tu ojca i dał siłę, by przekonać błądzącego syna. Nałóż na mnie pokutę, ojcie, za moją bezbrzeżną pychę, która sprawiła, iż tak nierozważnie podążyłem za własnymi myślami! I jeszcze jedno: proszę wstawić się za mną słowem u mego przyszłego opata, by ze względu na stan mojej duszy zwolnił mnie w najbliższym czasie z prac, przy których myśli mogą swobodnie krążyć wokół wszystkiego, co dotyczy Ziemi i Nieba, ryzykując tym samym, iż wpadną w sieci piekielne! Gdybym mógł zająć się czymś, co będzie wymagać całej mej uwagi, to wówczas może uda mi się uratować duszę! Boję się i drzę niczym lunatyk, który budzi się na skraju przepaści!

Malin została wezwana do pani rektor.

Kto wie, jak często grzeszy? I jakie grzechy mogła popełnić! W domu, w szkole, w seminarium jest wiele okazji do dopuszczenia się ciężkich przewinień, o których nie ma się pojęcia, dopóki nie poniesie się za nie kary. Malin na próżno szukała w pamięci czegoś, co mogła zrobić bądź nie — nie znajdowała niczego. Zresztą wydawało się to bezcelowe, bo gdy człowiek obawiał się czegoś konkretnego, zwykle okazywało się, że sprawa dotyczy całkiem innej kwestii. Chociaż w tej chwili nie potrafiła przypomnieć sobie żadnego grzechu, nie mogła powiedzieć, żeby miała czyste sumienie — nawet w tak wąskim i konkretnym zakresie jak codzienne czynności. Seminarium to nie tylko i nie przede wszystkim miejsce, w którym zdobywa się wiedzę zawodową, ale w równym stopniu zakład wychowujący do moralnego życia; i to wszystko się łączyło, można wręcz stwierdzić, że w tym przypadku moralność związana była z zawodem. Malin była głęboko świadoma, iż jej obecny stan ducha pozostawiał wiele do życzenia, co także znajdowało wyraz w jej mowie i wyrazie twarzy w momentach, gdy najmniej sobie tego życzyła bądź nawet sobie tego nie uświadamiała. Nie istnieje zakątek duszy, który byłby prywatny, nic, o czym mielibyśmy prawo powiedzieć: „To wyłącznie moja sprawa, nikomu nic do tego”. A przy-

Grzech

⁵⁶święty Tomasz z Akwinu (1224/1225–1274) — włoski filozof i teolog, dominikanin. [przypis edytorski]

najmniej nie w przypadku, gdy jest się nauczycielką lub chce się nią zostać. Wszystko, wcześniej czy później, wychodzi na światło dzienne, *liber scriptus proferetur*⁵⁷.

Gdyby tylko potrafiła zachować spokój, *nie płakać*, bo to tylko wszystko pogorszy. Zaciśnęła energicznie dłonie i ruszyła przed siebie szerokimi jasnymi korytarzami.

Pani rektor siedziała przy biurku, zagłębiona w papierach. Posiadała niezwykłą zdolność skupiania się na działaniach, do których jej drobna osoba najwyraźniej była zdolna, i akurat na tej sprawie, która w danym momencie była najważniejsza. To właśnie czyniło z niej tak wyjątkową i świetną organizatorkę. W tym momencie jej brązowe oczy wydawały się zafascynowane cyframi w jednym z dokumentów do tego stopnia, iż Malin miała wrażenie, jak gdyby nie znajdowały się obie nawet w tym samym pomieszczeniu. Po dwóch minutach pani rektor zamknęła skoroszyt, odsunęła go na krawędź biurka i — przestał istnieć. Skupiła się na Malin, wyłącznie na niej. Jej oszalamiająca siła wypełniła pomieszczenie niczym energia elektryczna.

— Niech panna Forst usiądzie!

Czyli chodziło o dłuższą sprawę. Tego Malin mogła się domyślać, skoro została oficjalnie wezwana na spotkanie o określonej godzinie.

— Co panna Forst zamierzać robić po ukończeniu seminarium?

Wybuch! Tego na pewno się nie spodziewała. Siedziała bez słowa niczym porażona tym prostym i oczywistym pytaniem.

Powinna była dać jedyną możliwą w tym przypadku odpowiedź: „Zamierzam zostać nauczycielką w szkole podstawowej”; a ona siedziała, milcząc, przerażona, jakby nagle wyszedł na jaw jakiś skandal.

Od początku miała jasno wytyczoną drogę. To oczywiste, że chciała zostać nauczycielką, dlatego się tu uczyła! Innej przyszłości nie była sobie w stanie wyobrazić: żywi ludzie, dorastające dusze, którym będzie próbowała wskazać drogę, tę, która jej dała siłę. Było kilka powodów, dla których chciała zostać nauczycielką w szkole podstawowej. Jednym z nich był fakt, że ten stopień edukacji dawał większe możliwości wpływania na uczniów. Nauczycielka przedmiotu w prywatnej szkole średniej zmienia klasy, więc dla dzieci pozostaje zawsze jedną z tuzina innych, mniej lub bardziej znanych im osób — podczas gdy nauczycielka w szkole podstawowej uczy tę samą klasę wszystkiego, towarzyszy uczniom w kolejnych latach i w ten sposób staje się dla nich kimś niezastąpionym — jej wpływ jest porównywalny jedynie z tym, który mają na nich rodzice. Drugi powód był taki, że chciała trafić do ludu — do ludu bez cudzysłowu, po prostu naprawdę do *ludu*, do prawdziwych, zwykłych ludzi i poczuć się wśród nich jak u siebie, stać się jedną z milionów — to zawsze było jej celem, jeszcze od czasu szkoły, gdy oburzona estetycznym snobizmem stwierdziła: „Tak, jestem prostaczką i chcę być prostaczką!”. Pragnęła stać się częścią fundamentu, nie chciała być traktowana inaczej niż wszyscy, chciała wypełniać swoje obowiązki dobrze i sumiennie. Przyszłość jawiła jej się niczym pogrążona w deszczu wielkomięjska ulica jesienią o poranku — droga do pracy i codzienne radości. Innymi słowy, przygoda życia nauczycielki szkoły podstawowej.

Powinna była odpowiedzieć szybko i bez wahania, tego zapewne się po niej spodziewano. Ale ona milczała, sparaliżowana, obnażona.

Zobaczyła siebie — siedzącą na katedrze i nauczającą o wiecznych prawdach. Zapoznając dzieci z podstawami wiedzy religijnej i zasadami moralnymi...

Pani rektor była wyraźnie zdziwiona jej milczeniem. Co się działo z tą dziewczyną? Czyżby w ogóle nie myślała o przyszłości? Tak nieżyciowi bywali jedynie studenci. A może miała swoje górnotłone marzenia? Lub potajemnie się zaręczyła — w ten sposób odpadało wielu uzdolnionych uczniów w młodym wieku! W pewnym sensie było to smutne, ale taka przecież była kolej rzeczy i tego nie można było zmienić.

— Nie wie panienska, kim chce zostać? — padło nieco sarkastyczne pytanie.

— Wiem. Nauczycielką.

„Mam nadzieję, że rzeczywiście tak jest”, pomyślała pani rektor, zdając sobie doskonale sprawę, że w takiej sytuacji raczej nie wspomina się o ewentualnych zaręczynach, zanim nie zostaną one oficjalnie ogłoszone. Ale są też pewne znaki, które doświadczone

Nauczycielka

⁵⁷*liber scriptus proferetur* (łac.) — „księgę ludzkich spraw otworzą”, fragment z *Requiem* Wolfganga Amadeusza Mozarta (1756–1791), tekst łaciński został zaczerpnięty z tradycyjnej mszy za zmarłych. [przypis edytorski]

oko dostrzeże. Bystre ciemne oczy kobiety spoczęły przez chwilę na Malin, co pozwoliło wyciągnąć uspokajający wniosek: była niemal pewna, że dziewczyna nie była zaręczona.

Umysł pani rektor Melling był zdecydowanie twórczy, organizacyjnie twórczy: jej materiałem były instytucje, a jej usilnym dążeniem — tchnięcie w nie nowego życia. Gdyby była mężczyzną, wybrałaby być może drogę polityki i została wybitnym aktywnym politykiem, o ile jej silne przekonania etyczne nie kazałyby jej pójść w stronę edukacji. Obecnie była politykiem szkolnym w takim samym stopniu, w jakim była rektorką. Drobną, szczupłą, żywa niczym rtęć, wypracowała sobie pozycję, która umożliwiała jej w końcu znalezienie przestrzeni do samorealizacji. Strona jej pracy bardziej skoncentrowana na kontemplacji, poranne modlitwy i nauka religii, stały się w pewnym sensie sercem jej skierowanego na zewnątrz życia: jądrem, z którego życie to brało swój początek — a jej pozbawiona sentymentalizmu i autentyczna pobożność zawsze wytyczała ostateczny cel wielorakich dążeń. Mapa świata i rzeczy wszelakich, która była podstawą działań pani rektor Melling, była tak różna od tej, którą posługiwała się Malin, jak światopogląd ministra i eremity.

Malin Forst była jedną z tych uczennic obecnej klasy maturalnej, które interesowały ją najbardziej — i nie chodziło o charakter dziewczyny, ale o jej umysł. Charakter miała bowiem nieco zbyt uległy, kobiecy, zbyt kobiecy, by w pełni zadowolić panią Melling. Gorzkie doświadczenia nauczyły ją, że kobieta musi być nie tylko dwa, ale i trzy razy lepsza niż jej męscy konkurenci, by w ogóle mieć jakąkolwiek szansę zawodową, ale też mieć znacznie grubszą skórę. W tym względzie należało zadowolić się tym, co było, i liczyć na litościwy los — niektórych przecież oszczędzano, podobno „Bóg chroni dopiero co ostrzyżone owce przed wiatrem”⁵⁸. Natomiast intelekt dziewczyna posiadała niewątpliwie doskonały i należało o niego dbać. Zasługiwał na więcej niż posada skromnej nauczycielki w Bastuträsk⁵⁹.

Wiec pani Melling ciągnęła:

— Czy panienka zamierza dalej studiować?

Malin zrobiła niezdeterminowaną minę. Czy zamierzała? Na pewno przyszło jej to do głowy, ale nie żeby coś takiego planowała czy wręcz zamierzała... Byłaby to raczej ostatni deska ratunku od nauczania religii w szkole podstawowej. Ale nie tylko. Tęskniła za wiedzą. Nie taką, którą zdobywa się w szkole — za inną. Czy chciałaby studiować filozofię? Może psychologię? Tak, przede wszystkim psychologię. Trochę to dziwne, że kończyło się szkołę, znając rok śmierci Frederika I⁶⁰ i wysokość Mont Blanc⁶¹, lecz nie wiedząc nic, absolutnie nic o siłach, które zamieniają naszą duszę w chaos czy kosmos.

— Nigdy nie chciała panienka studiować teologii?

— Nie, teologii nie.

Czy to możliwe, żeby człowiek wiedział tak mało o swoich własnych siłach i swoim miejscu w świecie? Pani Melling miała dobrą pamięć, знаła niemal na wylot każdego ze swoich uczniów. Nie umknęło jej też, że praca maturalna Malin poruszała temat biblijny i była zdecydowanie dobra. W seminarium dziewczyna wybierała przeważnie tematy o charakterze religijnym lub nawiązujące w taki czy inny sposób do kwestii pobożności. Oczywiście jakość prac miała decydujące znaczenie — powodem tej rozmowy były wyniki niedawnego egzaminu ustnego, podczas którego przedstawiona przez Malin pedagogiczna analiza postaci proroka Jeremiasza została oceniona wyżej niż zadowalająco.

Natomiast jej zdolności praktyczne były zerowe. Nauczycielka gotowania powiedziała kiedyś:

— Nie rozumiem tego, bo przecież Malin Forst nie jest głupia, ale jak tylko bierze coś do ręki, natychmiast można spisać to na straty.

Podobnie wyrażała się nauczycielka robót ręcznych, chociaż w nieco ostrzejszych słowach. Tak więc zajęcia praktyczne nie były silną stroną Malin. Nawet jeśli z czasem wy-

⁵⁸*Bóg chroni dopiero co ostrzyżone owce przed wiatrem* — autorem tych słów jest podobno angielski pisarz, Laurence Sterne (1713–1768). [przypis edytorski]

⁵⁹*Bastuträsk* — miejscowość w Szwecji, w regionie administracyjnym Västerbotten, w gminie Norsjö. [przypis edytorski]

⁶⁰*Frederik I a. Fryderyk I Hesk* (1676–1751) — książę małżonek Szwecji jako mąż królowej Ulryki Eleonory w latach 1718–1720, a po abdykacji żony w 1720 król Szwecji. [przypis edytorski]

⁶¹*Mont Blanc a. Monte Bianco* — najwyższy szczyt Alp (4805,9 m n.p.m.), leżący na granicy Włoch i Francji. [przypis edytorski]

Kobieta, Pozycja społeczna

Szkola, Nauka

dzie za mąż, będzie zapewne musiała zatrudnić kogoś do prowadzenia domu, a sama oddać się pracy duchowej.

Niewykluczone, że Malin Forst nigdy na serio nie zastanawiała się, czy nie poświęcić się swoim zainteresowaniom, więc nigdy też nie pomyślała o akademickich studiach teologicznych. Trzeba było sprawić, by zaczęła używać swojej wyobraźni i swojego rozumu.

Tak więc pani rektor zaczęła opowiadać o potrzebie teologów kobiet, które mogłyby nauczać religii w żeńskich seminariach. Obecnie brakowało w nich kobiet, dlatego też musiały zatrudniać mężczyzn do nauczania religii, co miało swoje niezbyt dobre strony, przede wszystkim bowiem wykluczało autentyczny kontakt z uczennicami, taki, jaki jest możliwy w przypadku nauczających kobiet. Kobiety myślą i reagują inaczej niż mężczyźni.

Tak, to Malin rozumiała. Chyba musiało tak być?

— Osobiście wierzę, że panienska znakomicie nadawałaby się zarówno na studia teologiczne, jak i później na wykładowczynię w seminarium — powiedziała pani rektor.

Studiować teologię, a później uczyć w seminarium! Sprawa była jasna. To dlatego została tu wezwana!

Zaczęła narastać w niej wielka złość. Dlatego, iż okazało się, że potrafi myśleć? Taka była potrzeba! To było jedyne, co się liczyło? A to, co było ważniejsze niż talent? O to w ogóle nie pytano! Zakładano, że to oczywiste. Malin aż trzęsła się z wściekłości — jak ktoś niewinny, kto po raz pierwszy doświadcza tego, że honor i cześć można sprzedąć za pieniądze. Jakże bezdennie fałszywe były światowe standardy, odnoszące się do dobra duszy, skoro nakazywały pytać o stopnie i umiejętność pisanie.

W następnej chwili przyszła refleksja. To chyba niedziwne, iż uznano, że jest pobożną chrześcijanką, skoro cały czas zachowywała się dwulicowo! Czyja to wina, że nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić jej duchowego nastawienia? Sama była sobie winna! Cały czas udawała, pisała prace, chodziła na zajęcia, a tak naprawdę dryfowała między wiarą a zwątpieniem i nikt tego nie zauważył, bo nigdy nikomu o tym nawet nie wspomniała. Jakże nienawidziła tej obłudnicy, Malin Forst! Nadeszła pora, by odkryć karty!

Krótko i zwięźle — tak. Tylko jak?

— Nie sędzę, żebym się do tego nadawała — powiedziała ponuro.

Pani Melling wbiła w nią wzrok, co było irytujące, ale i na swój sposób przyjemne.

— Dlaczego, skoro tylu durnych mężczyzn sobie z tym radzi?!

— Nie to miałam na myśli. Nie nadaję się, ale w innym znaczeniu. Ostatnio bardzo wiele się zmieniło. Zaczęłam we wszystko wątpić.

Pani Melling pokręciła głową przecząco.

— Wszyscy przez to przechodzimy — stwierdziła. — I nie należy tego traktować tak ostatecznie. Po prostu przechodzimy na drugą stronę i zyskujemy pewność.

Jej głos brzmiał przekonująco, ale do Malin nic nie docierało. To było doświadczenie pani Melling. Bo przecież nie *zawsze* było tak, że przechodziło się na drugą stronę. A jeśli — to po jakim czasie? Mogła zacząć studiować teologię w stanie takiego buntu i nienawiści, mając nadzieję, że to jedynie okres przejściowy?

Na minutę zapadło milczenie. Pani Melling czekała, aż Malin coś powie, może przedstawi swoje wewnętrzne zmartwienia albo zacznie mówić o praktycznym aspekcie studiów. Czekała, sięgnęła po nóż do papieru i przycisnęła mocno złożoną kartkę do blatu, jakby czas wypełniony pustką sprawiał jej ból i chciała przyspieszyć jakieś działanie. Malin zauważyła jej ruch, ale błędnie go odczytała. Ją także przytłaczało milczenie; była przekonana, że pani Melling oczekuje od niej natychmiastowej decyzji. Raz — dwa — marsz! Miała wrażenie, że w jakiś sposób musi porównać oba plany, by mieć prawo bronić się przed przytłaczającą ją silną wolą pani rektor.

— Chciałabym studiować psychologię! — wydusiła z siebie. — I pedagogikę — dodała, mając nadzieję, że *to* znajdzie zrozumienie u rektorki seminarium.

— To tak naprawdę żadne studia — odezwała się pani Melling sucho. — Wiem, bo też studiowałam oba te kierunki.

Wróciła myślami do swoich studiów z pewną pogardą. Poranne wykłady nawiązujące do błędnego kompendium z pedagogiki. I psychologia! Już wtedy wiedziała o niej dużo, tylko jej wiedza była praktyczna i nieuporządkowana, a wiedza profesora uporządkowana, ale bezużyteczna. Eksperymenty psychologiczne nie radowały nikogo, były przeznaczone wyłącznie dla przyszłych naukowców, badaczy z dziedziny psychologii duszy. Twierdzono,

Kobieta, Pozycja społeczna,
Religia, Nauka

Falsz, Wina

Nauka

iż edukowano naukowymi metodami... Na pewno, ale w większości przypadków było tak, że ktoś, kto potrafił myśleć, posiadał daną umiejętność jeszcze przed przyjściem na studia, a ten, kto nie umiał, nie nauczył się tego podczas seminariów z psychologii. Siedzące przed nią dziecko spodziewało się wielkich rzeczy po profesorach i ich wiedzy! Nonsens, po prostu nonsens.

Malin nie wiedziała nic o uniwersytecie poza tym, iż była to wyższa uczelnia i tam należało szukać informacji o najnowszych odkryciach naukowych. Być może w interesującej ją dziedzinie nauka nie była jeszcze tak zaawansowana, więc tak naprawdę nie robiła sobie zbyt dużych nadziei co do tego, co będzie mogła tam poznać. W szkole też uczyła się psychologii, pozyskiwała wiedzę o emocjach i woli, o wizualnych, audytywnych i estetycznych typach pojęć — bardzo dziękując — ale jeśli ktoś nauczył się poruszać w obrębie bibliografii i metodologii, to czy w końcu nie znajdzie chociaż jednego końca nitki, który zaprowadzi go trochę dalej? W stronę umiejętności, które mogą chronić nas przed śmiercią za życia? Przed atakiem nadciągającego chaosu?

— Naprawdę sądzi panienka, że zrobi więcej pożytecznych rzeczy w tej dziedzinie? — spytała pani Melling, a z brzmienia jej głosu można było wnioskować, że pozytywna odpowiedź byłaby zdecydowanie niemądra.

Malin nie odpowiedziała bezpośrednio: „Tak”.

— Skoro mam taką ochotę — zaczęła — to może jednak jest to moim zadaniem...

Twarz pani Melling spochmurniała i przybrała surowy wyraz. Na tak słabej podstawie istota ludzka wybierała swoje miejsce w tym wielkim sporze? Bez poczucia odpowiedzialności za otrzymane dary i przynależności do wspólnoty?

— Droga panno Forst — zaczęła pani Melling. — Właśnie to nazwałabym dziecinny i egoistycznym rozumowaniem. *Powołanie* czeka na nas tam, gdzie jesteśmy potrzebni, a nie, gdzie „ma się ochotę”!

Wyrok! Surowy wyrok! Dziecinne i egoistyczne! Malin ogarnął wstyd i poczucie winy, ale nie mogła się poddać, nie chciała się poddać! Mimo, że po policzkach znów poleciały jej te odrażające, zniechęcające łzy.

Pani Melling najwyraźniej przywykła do histerycznych wybuchów. To typowe dla dziewcząt w tym wieku. Przychodzą prosto z domu rodzinnego, w którym nadal są traktowane jak dzieci, i jedynie w ostatecznych sytuacjach są w stanie postawić na swoim tymi właśnie środkami; nie przywykły jeszcze do twardej, namacalnej rzeczywistości, która czekała je na zewnątrz bezpiecznych murów. Nie muszą mieć wyjątkowo złego charakteru czy być szczególnie przewrażliwione, by zacząć płakać — to jedynie nawyk z dzieciństwa, a gdy uświadomią sobie, że płacz nie pomaga, zostawiają go za sobą.

Spokojnie, bez zniecierpliwienia, także po to, by odwrócić uwagę Malin, pani Melling spytała:

— Panno Forst, nie odpowiedziała mi panienka, do czego ma przydać się panience psychologia i pedagogika?

Jej spokojny głos nie powstrzymał potoku łez, przeciwnie, chociaż teraz Malin płakała ze wzruszenia i wdzięczności. Pani Melling była jej jedyną przyjaciółką, przyjaciółką, na którą nie zasłużyła sobie, trwając w swoim buńczucznym uporze. Upór ustąpił, egoistyczna duma zniknęła. Dziewczyna poczuła impuls, by skapitulować, pokazać, jaka jest naprawdę. Uniosła więc twarz, uśmiechając się niepewnie i przetykając łzy.

— Niekiedy marzy mi się nowa szkoła, eksperymentalna, z nowymi metodami...

W reakcji na taką naiwność pani Melling zaniemówiła. Czy to dziecko wierzyło, że może sięgnąć swoją ręką dwudziestolatki po wszystko jedynie dlatego, że „ma na to ochotę”? Naprawdę nie miała pojęcia o toczącej się walce o chleb, nie wiedziała, że większość ludzi jest wdzięczna, jeśli jest w stanie zarobić na codzienne utrzymanie, a jedynie niewielu uda się osiągnąć coś więcej?

Cicho i chłodno otworzyła dziewczynie drzwi do rzeczywistego świata.

— Czy panienka posiada własny majątek, skoro ma takie plany?

Dobrze zadany cios mieczem w samo serce tej, która już wcześniej skapitulowała. Malin zaczęła jeszcze rozpaczliwiej płakać, ale nie było to spowodowane niepewną przyszłością czy kłopotami z reformowaniem szkoły. Pokonało ją ironiczne uderzenie, będące wyrazem pogardy. Poczuli się całkowicie bezbronna w walce rozgrywającej się pomiędzy rektorką — znakomicie znającą nie tylko swój cel, ale z pewnością także plany innych

Łzy

Szkoła, Marzenie, Idealista,
Realista

— a nią samą, która jeszcze nic nie wiedziała, nic w ogóle, jedynie poszukiwała i to po omacku.

Pani Melling skinęła głową, dając do zrozumienia, że rozmowa została zakończona. Malin wyszła i wycofała się do najbardziej oddalonego kąta korytarza. Usiadła i płakała.

Poczucie wstydu, spowodowane tym, że zachowała się tak beznadziejnie i odpowiadała głupio jak dziecko, zostało zastąpione gwałtownymi wyrzutami sumienia. Powołanie czeka na nas tam, gdzie jesteśmy potrzebne, nie tam, gdzie same chcemy być... Jakże dziecinne i egoistyczne... Do tego ta gorzka ironia — bardziej niż słuszna po tym, jak okazano jej tyle życzliwości, niezasłużonej życzliwości, którą odrzuciła w tak niezdarny sposób, na ślepo, nieuprzejmie... Powołanie czeka... Stało przed nią kolejne wyzwanie, którego nie chciała podjąć, ponieważ była egoistką, całkowicie skupioną na sobie, co jest zaprzeczeniem Jedynej Dobrej Woli.

Jednak na samym dole, w piwnicy, krążyła lunatyczka, która nie pytała, kto tam na górze tyle płakał, już nie — ktoś, kto zaczynał zyskiwać pewność siebie, ponieważ nie miał wyboru. Setki razy stawiała wobec podobnych wyzwań i zawsze się od nich odwracała. Słusznie czy nie, ale jest przecież coś, co nazywa się koniecznością. To jest moja konieczność! Moja wola!

Łzy powoli przestawały płynąć, a lunatyczka zaczęła się rozpychać i wkrótce objęła w posiadanie cały dom.

Spokój wynikający z tego, co nieuniknione. Spokój pogodzenia się z losem.

Może w końcu stanęła po stronie wiecznego buntownika, przeciwstawiając się obowiązkom, żądaniom, prawu i moralności? Możliwe. W ciemności rozbłysło małe światełko, gwiazda czy światełko, trudno powiedzieć. I świadomość tego, że to jestem ja, że to jest moje.

Ty surowa obca siło, jestem taka sama jak ty. Jestem mieczem i wolą.

— Ach tak, zakładacie, że szybko się wycofam! — powiedziała rektorka, kładąc swoją pewną acz drobną dłoń na długim, szmaragdowo niebiańskim stole sumienia. — O nie, zamierzam zostać tu, gdzie jestem.

Nawet tutaj, w Najwyższym Zgromadzeniu, nie było ani spokoju, ani zgody. Kłócono się, posyłano sobie lodowate, pogardliwe spojrzenia, w najlepszym razie proponowano pochłonięcie szacownego przeciwnika, by w ten sposób zapewnić mu rodzaj dalszego życia i zachować ciągłość.

Dla jego członków było wysoce krępujące, gdy kontury zaczynały się zacierać, a honor — zanikać. Było całkowicie naturalne, że rektorka się opierała, gdyż poczuła się poważnie zagrożona.

Osobą, do której się zwracała, był mężczyzna — zważywszy okoliczności, zapewne ktoś nowy. Tak też się zachowywał, nie ze skromnością, lecz z bezwstydem nowicjusza. Na twarzach pozostałych członków zgromadzenia można było wyraźnie wyczytać, co o tym sądzą: „Nie masz prawa zabierać głosu!”. A jednak udało mu się tu wejść i teraz stał przed nimi.

— Szanowny panie, jakim prawem przemawia pan do tego zgromadzenia? — odezwała się rektorka. — Proszę się rozejrzeć! Nie wstyd panu? Chyba nie sądzi pan, że zabieram głos jako osoba co prawda szanowana, ale z punktu widzenia wieczności jednak mimo wszystko niewiele znacząca, jak moja ziemską imienniczka. Nie jestem aż tak zadufana w sobie, by uznać, iż trzymam w swoich słabych rękach klucze otwierające duszę. Nikt jednak nie jest na tyle nieznający ani tak wyjątkowy, by móc stwierdzić, iż nie przedstawia żadnej siły czy mocy. Nie jestem sama! A nawet odważę się stwierdzić, iż reprezentuję tę bardziej wartościową część ludzkości, tę bardziej wartościową, proszę zważyć!

Kobieta uniosła dłoń, a osoby wokół przysunęły się w jej stronę niczym strażę. Najbliżej niej dostojnicy z chrześcijańskich letnich spotkań, podczas których śpiewano na głos *Kościół naszych ojców*⁶² — i robili to wszyscy. Następnie przewodniczący wieczorów wspólnotowych, na których dyskutowano ważne życiowe sprawy i gdzie zza widocznej teraźniejszości wyzierały toczony od wieków spory, gdy w zimowych ciemnościach za

Konflikt wewnętrzny

Spotkanie, Obrzędy, Śpiew,
Święto, Światło

⁶²*Kościół naszych ojców* — szwedz. *Fädernas kyrka*, hymn religijny z 1909 roku, którego słowa napisał Johan Alfred Eklund (1863–1945), a muzykę Gustaf Aulén (1879–1977). [przypis edytorski]

oknem odbijały się płomienie niczym twarze aniołów i płonące twarze niczym płomienie ducha. Święci w bawełnianych szatach w kratkę. Święci w czarnych marynarkach z owczej wełny. Za nimi walczący o tę samą sprawę w zamierzchłych czasach, ci, którym udało się postawić na swoim. Tłoczyli się wokół wiernej i silnej osoby, a ich wewnętrzny blask potęgował i szerzył się wokół nich, aż w końcu wszystkich objęła biała poświata; biały tłum, powstały z wielkiego smutku. Liczne światła Wszystkich Świętych rozświetliły ten uroczysty dzień i niekończący się pochód bliźnich przez czas, pochłonięty przez litość, a porywający każdego z osobna w tym wielkim strumieniu. Pieśni dnia Wszystkich Świętych, pieśni zwycięstwa i tęsknoty szumiały nad nimi. Wszyscy Święci! Amen! Amen!

Pani rektor uniosła drugą rękę i obraz rozmył się niczym blednące kręgi kadzidlanego dymu.

— To wszystko to ja — powiedziała. — Ja w obecnej sytuacji. Drogi panie, w tym momencie stoję tu jako pełnoprawna wysłanniczka Boga. I jeszcze raz pytam pana: jakim prawem zabiera pan głos przed tym zgromadzeniem, będącym kwiatem naszych czasów?

Nowoprzybyły potrząsnął swoimi czarnymi jak smoła włosami. Krople, które padały wokół niego, paliły niczym eter.

— Prawem rozpaczy — odpowiedział.

Rozległy się głosy oburzenia, nie tyle w reakcji na to, co powiedział, lecz z innego, poważniejszego powodu — w jego głosie rozbrzmiewał bowiem drżący metaliczny dźwięk, budzący skojarzenia z bluźnierstwem, ponieważ zbyt przypominał...

Gdy uniósł swoje ciężkie powieki, rozbłysło spojrzenie emanujące potężną siłą — w jego oczach była moc, która pojawiła się tam podczas ucieczki w całkowitych ciemnościach. Bo kompletne ciemności nie mają potrzeby władzy.

— W imię wiecznego zmartwychwstania!

Oplótł swoje giętkie, błyszczące bielą dłonie wokół miecza u pasa i wszyscy zobaczyli, że był uzbrojony po zęby, usłyszeli chrzęst metalu.

— W imię pochodzenia i pokrewieństwa!

Bojaźliwe spojrzenia powędrowały wzdłuż nieskończenia długiego stołu; wędrowały, wędrowały i wędrowały korytarzem ze snu, znikając gdzieś we mgle prawników. Niczym niewyraźne poranne góry ukazali się ci najstarsi i najpotężniejsi, zamarli w bezruchu. Niekiedy szepotali między sobą, a dźwięk ich głosów docierał do najmłodszych członków zgromadzenia, tych najbliższych drzwi, najbliższej gwaru, rozbrzmiewającego niczym szum metalicznego wiatru...

Niski mężczyzna w prostym, wręcz nieco zniszczonym ubraniu wstał ze swojego miejsca i zaczął przemawiać. Nie był to mistrz Eckhart, ponieważ był ubrany w świeckie szaty. Mężczyzna ów był kuzynem wielkiego mistyka, tym, który przeszedł na protestantyzm, wykazując się większym zrozumieniem dla znaczenia osobowości niż jego krewny — być może szewc jak Böhme⁶³ albo nauczyciel szkolny; kto to mógł wiedzieć.

— Ten, który przed chwilą przemawiał, to Lucyfer⁶⁴! — stwierdził. — Odezwał się do nas zły duch, wieczny buntownik. Naprawdę zamierzacie dać mu miejsce wśród nas? Jego droga odwodzi nas od posłuszeństwa.

— Macie na myśli mnie? — spytał nowoprzybyły. — To prawda, moja droga odwodzi od posłuszeństwa. Lecz jeśli wszyscy zgromadzeni raczą spojrzeć w moją stronę, zauważą, iż nie jestem sam.

Pstryknął palcami i wokół niego zapadł mrok niczym podczas buntowniczej walki. Wykrzywione twarze, skulone postaci, ziemiste twarze niewolników, ich zgięte plecy, bezsilna nienawiść i pogarda. Żalona postać Tersytyesa⁶⁵ z ustami pełnymi wstrętnych słów, zwisających z kącików niczym żabie udka czy szczurze ogony. Paskudne, brzydkie, wyjące w ciemności, zazdrosne, skopane, pełzające i syczące, celujące w kopiącą piętę.

Zgromadzeni siedzieli oniemiały ze wstrętu.

⁶³Böhme, Jakob (1575–1624) — niemiecki filozof i działacz religijny, protestancki mistyk i gnostyk; nazywano go „fanatycznym szewcem”. [przypis edytorski]

⁶⁴Lucyfer — w myśli chrześcijańskiej buntownik, jeden z upadłych aniołów; jego imię po łacinie znaczy „niosący światło”. [przypis edytorski]

⁶⁵Tersytes — w mitologii greckiej wojownik achajski, uczestnik wojny trojańskiej; bezczelny i złośliwy tchórz, w dodatku człowiek wyjątkowo brzydki. [przypis edytorski]

Diabeł, Szatan

Z tej ciemnej masy nieludzkiego życia wyłaniały się dramatyczne figury, by przeżyć swoją chwilę tu na ziemi i odejść. Niczym horda skradających się wilków pojawili się ludzie Spartakusa⁶⁶; wyskakiwali z rowów i wózków, ich krzyże, całe rzędy krzyży, wznosiły się na tle wieczornego nieba. Jarzyły się ognie; heretycy i bluźniercy ze swoimi odpowiedziami na wszystko, z przyrządami laboratoryjnymi, oddający się zakazanym badaniom. Galileusz⁶⁷ na kolanach odwołujący swe nauki. Giordano Bruno⁶⁸ na stosie.

Zgromadzeni ludzie zaczęli się niepokoić.

Brodaty mężczyzna w płaszczu zażądał prawa głosu. Można było pomyśleć, że to prorok Jeremiasz, ten, który w swoim czasie siedział w więzieniu za zdradę. A może Amos⁶⁹, pasterz pochodzący z miasta Tekoa⁷⁰, który wpadł w złość, ponieważ pewnego biedaka sprzedano za parę butów. Nie jest łatwo rozpoznać wszystkich w tak licznym zgromadzeniu, szczególnie gdy jego członkowie mają skłonność do stapiania się z tłumem.

— Czyż nie rozpoznajemy tego wszystkiego? — spytał. — Dlaczego pragniesz nazwać ich swoimi? To prawda, że walczą samotnie, prawda też, iż nie zostali przyjęci do świętej wspólnoty. Ale czy w przypadku wielu z nas nie było podobnie, gdy żyliśmy i walczyliśmy na ziemi? Więc na czym polega różnica między wami a nami?

Lucyfer wzruszył ramionami.

— *Mnie* o to nie pytaj! — odpowiedział. — Myślę, że zawiera się ona w tradycji — dodał nonszalancko.

Rzucił głową i czarne od dymu powietrze stało się bardziej niebieskie, niczym błękitniejące morze, na którym stada niewielkich żagli powoli zmierzały w stronę tego, co nieznane, niczym beztróskie owady: egipskie wstężyki o skórzanych skrzydłach, hellenistyczne purpurowe żagle. Hiszpański statek z wysokim dziobem wyłonił się jak we śnie, niczym uważne spojrzenie nieomijające niczego, nad zachodami i wschodami słońca, nad morzem w nocy i za dnia. Stawał się coraz większy, coraz bardziej się zbliżał. Na dziobie stał Kolumb⁷¹, mrużąc oczy na wietrze. Wypatrywał nowego lądu. Ale ten wyrósł z wody nie jako brzeg czy wyspa, tylko jako falujące, oczekujące losy ludzkie: dziesiątki tysięcy uśmiechów i dziesiątki tysięcy rodzajów nieszczęść. Dziesiątki tysięcy kopalń dusz, czekających na odkrycie i nazwanie. Dziesiątki tysięcy nienarodzonych jeszcze możliwości kształtowania życia.

Lecz tłum ucichł i stał się wyraźniejszy. Dziesiątki tysięcy stopiły się w jedno i udały na odpoczynek pod postacią jednej twarzy — ładnej i surowej — której wszystkie rysy układały się w harmonijny hymn.

— Tu na razie zarzucimy kotwicę — zdecydował Kolumb i zszedł ze statku, a zgromadzeni ujrzeli, iż był to Lucyfer, który, przebrawszy się, zadrwił z nich.

Za rękę prowadził nowego kandydata aspirującego do apoteozy.

Marek Aureliusz⁷² i Budda⁷³ — obaj w podeszłym wieku — nie mieli nic przeciwko honorowej asymilacji; spojrzeli na siebie i skinęli głowami. Nowy kandydat emanował pewną szlachetną wzniosłością, która do nich przemawiała.

Z bardziej odległej części stołu zaczęła przesuwać się niczym cień niewielka brązowa postać. A więc on nadal żył! Tak dawno nie zabierał głosu podczas zgromadzeń. Nowsi członkowie zrobili wielkie oczy, a kuzyn mistrza Eckharta skrzywił swoje nacechowane boską dobrocią usta w gorzkim, pogardliwym uśmiechu. Klatka piersiowa tego mężczy-

Okręt, Morze, Podróż

Przebranie, Diabeł

⁶⁶*Spartakus* (zm. 71 p.n.e.) — niewolnik, gladiator rzymski, przywódca największego w historii Rzymu powstania niewolników, zakończonego pokonaniem i ukrzyżowaniem powstańców przez Rzymian. [przypis edytorski]

⁶⁷*Galileusz* a. *Galileo Galilei* (1564–1642) — włoski uczonej: astronom, astrolog, matematyk, fizyk, inżynier-wynalazca i filozof. [przypis edytorski]

⁶⁸*Bruno*, *Giordano* (1548–1600) — włoski filozof, teolog i poeta. [przypis edytorski]

⁶⁹*Amos* — jeden z dwunastu biblijnych proroków mniejszych, czczony jako święty. [przypis edytorski]

⁷⁰*Tekoa* — historyczne osiedle żydowskie położone w Palestynie. [przypis edytorski]

⁷¹*Kolumb*, *Krzysztof* a. *Cristoforo Colombo* (1451–1506) — włoski żeglarz, podróżnik i nawigator, odkrywca Ameryki. [przypis edytorski]

⁷²*Marek Aureliusz* (121–180) — pisarz, filozof i cesarz rzymski. [przypis edytorski]

⁷³*Budda* a. *Buddha* (ur. ok. 560 p.n.e.) — „oświecony”, „przebudzony”, „nieuśpiony”, Siddhartha Gautama urodzony jako książę na terenie współczesnego Nepalu; jego nauki stały się fundamentem buddyzmu. [przypis edytorski]

zny była naga, widać było totem, niebieski tatuaż: Żółw. Unkas⁷⁴, Ostatni Mohikanin, w swoim czasie — chociaż było to bardzo dawno temu — posiadał wielką władzę wśród członków zgromadzenia.

— Nareszcie! — powiedział. — Nareszcie człowiek szlachetnego stanu, człowieczego stanu rycerskiego! Rycerski sam z siebie. Człowiek dumny i szlachetny. Czyż nikt cię nie wita? Chociaż teraz wyszedł ci na spotkanie cień z przeszłości. *Hough*⁷⁵. Oto przemówię.

Wielu z nowszych świętych żywiło pewną sympatię dla tego niewielkiego wojownika, deklarując bliższe lub dalsze powiązania rodzinne. Święty Jerzy⁷⁶, pogromca smoków, na którego młodzieńczym czole malował się zachwyt, ale i zapowiedź przyszłych zwycięstw, nie miał nic przeciwko niemu poza tym, iż ten walczył na własną rękę, a nie jako wysłannik królowej niebios. W tej kwestii święty był pewien, że miał po swojej stronie białą część wszystkich zgromadzonych. To było coś, co wydawało się szczególnie niesympatyczne u nowego kandydata — ale cóż, wygląd mógł być jeszcze bardziej odrażający, a tak czy inaczej miał przynajmniej godność.

Panna Mogren wstała i poprosiła o głos. Cytując Viktora Rydberga⁷⁷ („On jest z tych, którzy nie przyjmują jego imienia”⁷⁸), zaczęła mówić:

— To nie o nazwisko chodzi. Dlaczego my, tutaj zebrani, pani rektor, kuzyn Ekkharta, ja i tysiące innych nie możemy zaprosić istoty tak czystej, ambitnej i idealnej do naszej białej gromadki i potraktować ją jako siostrę? Co Lucyfer ma z nią wspólnego?

Wówczas zbuntowany anioł roześmiał się diabolicznie, co było równie nieprzyjemne jak film edukacyjny.

— Przypominam wszystkim paniom i panom o sile, która wyniosła moją kandydatkę na te wyżyny i otworzyła jej drzwi. Czy nasze zgromadzenie jest skłonne uznać tę siłę za prawomocną...?

Wśród białych przeszedł szept niechęci. O takich rzeczach się nie mówi, to niesmaczne, w naszych czasach nasłuchaliśmy się już o tym wystarczająco. Po chwili milczenia, wynikającego z moralnego obrzydzenia, dały się wkrótce słyszeć karcące głosy, tym razem ogłuszająco donośnie.

Lucyfer roześmiał się niewzruszony. Dawna walka rozgorzała na nowo, prowadzona nie ziemską bronią, lecz tajemniczymi siłami, które wskrzeszają ideały, ale też uśmiercają je, gdy przychodzi ich kres. Stał niczym ponury wódz na placu boju i uśmiechał się — bez nadziei, tak jak uśmiecha się wieczny buntownik, świadom tego, że nigdy nie zwycięży w pełni, jeśli pozostanie sobą, i pełen nadziei, niczym pan wiecznego odnowienia, świadom, że nie zostanie do końca pokonany tak długo, jak długo życie będzie trwać.

Na jakim progu cudu ukształtował się sens wszystkiego, zmieniając się w kreskę i ruch?

Na tym samym, na którym światło stało się światłem, a dźwięk dźwiękiem. Na progu rodzącego się zakochania.

Jednokomórkowe zwierzę pierwotne, ze swoim zaledwie szczątkowo rozwiniętym umysłem, brnęło samotnie przez mrok. To wówczas uległo miłości do morza — i stworzyło morze, wykształcając cząsteczki tlenu i wodoru i nadając im sens. Pojawiła się na świecie wilgoć i rześki chłód. Następnie uległo miłości do przestrzeni — i stworzyło dźwięczną przestrzeń, dbając, żeby powstał zmysł słuchu, by fale powietrza nabrały znaczenia. To wówczas na świecie pojawił się dźwięk i szum. Wtedy to uległo miłości do wszechświata — i stworzyło wspaniały wszechświat, troszcząc się, by powstał zmysł wzroku i zaistniały pierścienie eteryczne — na świecie pojawiły się kolor i światło. Wówczas wieczne zakochanie stworzyło świat, który nabrał znaczenia.

⁷⁴Unkas (1588–1683) — wódz plemienia indiańskiego w Connecticut, uważany za jednego z ostatnich Mohikanów (głównie dzięki literaturze przygodowej), choć w rzeczywistości jego szczep należał do Moheganów. [przypis edytorski]

⁷⁵hough — indiańskie słowo, oznaczające stanowcze zakończenie wypowiedzi („powiedziałem”, „koniec kropka” etc.). [przypis edytorski]

⁷⁶Święty Jerzy (ur. w III w., zm. 303) — święty Kościoła katolickiego i męczennik, znany ze swej walki za smokiem. [przypis edytorski]

⁷⁷Rydberg, Viktor (1828–1895) — szwedzki pisarz. [przypis edytorski]

⁷⁸On jest z tych, którzy nie przyjmują jego imienia — cytata ze słynnego poematu *Tomten* Viktora Rydberga (1828–1895). [przypis edytorski]

Szatan, Władza

Obraz świata

Pewnego dnia wzrok, zaniepokojony i wiecznie czegoś wypatrujący, uznał, że musi się wypowiedzieć.

— Czuję się zmieszany i nie wiem już, czy jestem wzrokiem. Obejmuję i towarzyszę niczym uczucie, wstrzymuję oddech, czekając, jakbym był słuchem, biorę oddech pijany niczym zapach i piję jednym haustem, jakbym był smakiem. Ale jednego jestem pewien: gdy obejmuję, słyszę, oddycham i piję, ma to głęboki sens, cel, do którego zmierzam, drżąc cały. Czyżbym stał na kolejnym progu stworzenia?

A słuch odpowiedział cicho, tak jak winien to zrobić ktoś wiecznie nasłuchujący:

— Wiem, wiem! Gdy muzyka bierze mnie w swoje posiadanie, nie zawsze jest tak, że uszczęśliwia mnie każdy dźwięk czy każdy oszałamiający zestaw akordów. To, czego ja szukam w dźwiękach, znajduje się gdzieś pod nimi bądź poza nimi. Powiedz sam, wzroku, czy nasycony kolor purpury lub oszałamiająca gra światła napędza cię życiem podobnie jak tajemnica, o której mówisz: ludzkie linie i ruchy, ukazujące nowy świat? Powiedz, czy objawienie wobec zmysłów nie jest jednocześnie objawieniem tego, co kształtuje umysł poza zmysłami i nie zna żadnych granic dla swego wiecznego zakochania? Czy nie jest to iluzja czegoś, co właśnie powstaje?

— Nawet ja, najmniejszy z braci — odezwał się smak — ulegam oszołomieniu porównań: kropla goryczy czy kwasu może stać się zachętą do zwycięstwa, przypomnieniem o giętkości ciała tuż przed skokiem. O ile bardziej wy, moi starsi bracia, musicie wypatrywać wewnętrznej gotowości do skoku i ucieczki!

Malin, pełna bojaźliwego szacunku, obudziła się, mając przed sobą nowe dni całkowicie innej rzeczywistości. Rzeczy nabrały głębokich barw i stały się jej bliższe, nawoływały i przyciągały. Droga do seminarium ze stacji Södra⁷⁹ była tego ranka trudną do pojęcia przygodą, promienie wiosennego słońca padały na szczyty dachów kamienic, odsłaniając świat pełen głębokiego ciepła i przejrzystości, nasycony znaczeniem bardziej intensywnym, niż mogły oddać to słowa. Jakby świtanie i cała świetlana poświata nadeszły nagle, z ledwie zauważalnym i szybko przemijającym zapachem kwiatów — łagodna i tajemnicza przyroda, czubate kosze róż. Malin wstrzymała oddech, a jej serce zamarło, gdy w ich zapachu próbowała złapać tę chwilę niepojętej obietnicy.

Doświadczenie, jakim okazała się droga ze stacji, prowadziło do kolejnej przygody, tej właściwej. Dziewczyna zmierzała na uroczystość, jaką było pierwsze spotkanie tego dnia. Za każdym razem, kiedy ją widziała, stawiała w wielkiej ciszy. Obraz był tak oszałamiająco piękny, że pamięć nie była w stanie go oddać. Najdoskonalsze wspomnienia były bezsilne wobec rzeczywistości — mimo że żyła z dnia na dzień, tak jakby służyła do mszy, jak żyje się, mając przed sobą uświęcający, trudny cel.

To trudne — dlatego że Siv nie była tylko Siv, ale stanowiła też objawienie pewnej drogi życiowej. Doskonała kolumna szyi jak z kości słoniowej stawia większe wymagania wobec postawy człowieka niż wszelkie inne zasady.

Malin miała wrażenie, że jej kręgosłup kuli się w bólu, ale skurcz był mimo wszystko dobroczynny, wyrażał tęsknotę za surowością i rozczarowaniem. Gwałtowna moc, której na próżno wypatrywała, okazała się rzeczywistością.

Nikt niczego się nie domyślał, a już najmniej sama Siv. Szybkie spojrzenia, które dodawały Malin siły, nie budziły niczyjego zainteresowania. Nigdy nie musiała w sposób celowy szukać jej towarzystwa, a mimo to często miały się na korytarzach, na schodach, w sali wykładowej. Asceza tych kilkusekundowych spotkań była niczym samoistny dar od czasu, była częścią surowej i cudownej samodyscypliny, której wymagała Siv, sama o tym nie wiedząc. W oczach Malin byłoby dużym nietaktem próbować narzucić swoje towarzystwo komuś takiemu jak Siv; dostałaś nowe życie, do tego wszelkie ziemskie i niebiańskie wspaniałości — a chcesz jeszcze więcej? Ale w jej wstrzemięźliwości była też egoistyczna nieśmiałość: teraz, kiedy mogła cieszyć się szczęśliwą ufnością i oddać się nieznanej sile wewnętrznej, cofnęła się, być może dlatego, by nie zniszczyć niczego jednym fałszywym krokiem, sentymentalnym tonem czy jakimś sztucznym gestem — nadal obecnymi niczym pozostałości po przebytej chorobie. Powinna czekać, pozwolić mocom działać. Słowa, które między sobą wymieniali, były nieliczne i rzeczowe i to wła-

Piękno, Spotkanie

⁷⁹Södra — prawdopodobnie odniesienie do Söderort, części gminy Sztokholm, która leży na południe od centrum miasta. [przypis edytorski]

śnie stanowiło część obrazu Siv i drogi do Siv. Im bardziej pełna godności rzeczowość, tym więcej było w niej Siv.

Bo Siv kojarzyła się ze wszystkim, co miało bezpośredni i oczywisty związek z rzeczywistością, z rzeczami namacalnymi i z milczącymi istotami, z roślinami i zwierzętami. Malin, która zbliżała się do niej z zewnątrz, przez spojrzenia raczej niż przez jakiś duchowy kontakt, Siv wydawała się bardziej kwiatem niż walczącą duszą. To była oczywiście przesada, wynikająca z tego, iż nie znała jej od tej drugiej strony — a mimo to istniało jakieś *więcej* i jakieś *mniej*, oznaczające kierunek i rodzaj — i to właśnie różniło ją od innych. To też sprawiało, że patrzyła przed siebie inaczej niż wcześniej. Kiedy wybuchła wiosna — zresztą niezwykle wcześnie, bo już w kwietniu było ciepło jak latem — Malin odkryła, że jej stosunek do życia bez słów się zmienił. Zawsze szukała samotności i przyrody, ale jej rytm — pojawienie się pączków na drzewach, kwitnienie i owocowanie, a potem kielkowanie i więdnienie — to wszystko było raczej punktem wyjścia do uświęconego i symbolicznego świata wewnętrznego. Kiedy teraz chwyciła listek czy żdźbło trawy, miała wrażenie, że jej dłoń dotyka gładkiej powierzchni czegoś nieznanego, ledwie rozpoznawalnego *ty*, złotozielonego i tętniącego słonecznym życiem, czegoś, czego jej własne ciasne ludzkie doświadczenie nigdy nie będzie w stanie pojąć — szczęśliwie zamkniętego w sobie, podążającego w zgodzie ze swoją naturą, o nic nie pytając. I w tym bezkresnym ograniczeniu czuła zalewającą ją radość dla tej obcej istoty, która stała tu, dotykając jedynie powierzchni.

Wiosna

Jadąc pociągami do miasta, a potem wracając, stała na korytarzu i drżała z radości, bo mogła podziwiać rozkwitające jasne liście i nowe pędy drzew. To z nimi Siv była spokrewniona. Rosła tak jak one, w zgodzie z wewnętrznymi prawami karmiących je korzeni. Rozwijala się niczym piękne młode drzewo czy kwiat.

Lecz czego potrzeba, by człowiek mógł pozostać tak nietknięty!

Mając jeszcze świeżo we krwi i w nerwach wspomnienia niedawnego chaosu, Malin patrzyła, jak harmonijna istota ludzka pływa we wzburzonym morzu niczym delikatna róża nocy, która mogła żyć jedynie, gdy delikatnie, ale i odważnie starała się dotrzeć do granic samej siebie, dbając o surową samodyscyplinę. Wszelkie zwody i cała ta giętkość, dyscyplina ruchów i rytmu, dająca pływakowi i tancerzowi siłę swobodnego ograniczenia — tym wszystkim była Siv. Wszystkim, co dumnie i w sposób oczywisty podporządkowywało się własnej konieczności, pozwalając, by ta dźwigała wszelkie święte kwiaty, które mogą rozwinąć się, gdy zajdzie taka konieczność. W łazni seminarium Malin miewała potajemne i żarliwe spotkania z Siv, nie osobiście, tylko w formie zimnego prysznica dwa razy dziennie. Ale ani chwili dłużej, niż to było niezbędne — co też stanowiło część tego rytuału.

Następowały nawroty, mniej lub bardziej widoczne na zewnątrz. Nie przechodziło się od choroby, którą była Malin, do zdrowia, którym była Siv, jakby skakało się przez rów. Ale nic nie mogło jej zniechęcić czy odstraszyć, ponieważ praca i poświęcenie, wynikające z wielkiego oddania, już same w sobie oznaczały szczęście podboju.

Jedna z trudniejszych porażek miała miejsce na sali gimnastycznej.

Malin nie była co prawda wybitną gimnastyczką. Jej siła tkwiła w czymś innym. Teraz, kiedy ciało w całej swojej wspaniałości zdominowało ją niczym życiowe objawienie, bolała nad swoją jednostronnością. Chętnie pisałaby nieco gorsze prace, a lepiej skakała przez kozła. Istniał tylko jeden sposób: cierpliwe ćwiczenia.

Ciało

Była jednak pewna czynność, z którą w ogóle sobie nie radziła, a mianowicie wspinaczka. Kiedy panna Tybb opuszczała liny i Siv stawiała przy jednej, a obok niej Malin przy drugiej, przechodził ją dreszcz, bardziej zdziwienia niż przerażenia — czy teraz, w tym nowym stanie rzeczy, będzie potrafiła osiągnąć to, czego wcześniej nigdy umiała dokonać? Dlaczego nie? Dlaczego nie wierzyć w cud — w taki maleńki cud, niewiele znaczący w porównaniu z tymi potężnymi, które na nią spłynęły?

Kolejny wysiłek — i nic z tego. Jeszcze raz i jeszcze raz — nie. Jeszcze raz — Siv była już wysoko — musi jej się udać, beznadziejne kluchowate ciało, znieawidzona masa bezużytecznych zwiotczonych mięśni, obrzydliwa znieawidzona krewetka, która nawet nie potrafi się wspiąć. Musi się jej udać, ale nie udaje się, nie udaje się, nie...

Energia zamieniła się we wściekłość, a wszystko skończyło się histerycznym wybuchem płaczu. Panna Tybb przywołała ręką Nanni Fransson.

— Wyprowadź ją na korytarz i uspokój!

Siedziała teraz złamana wpół na ławce obok Nanni Fransson, nie zważając na próby pocieszenia, ale jej umysł pracował intensywnie. Poniosła porażkę. Nie chodziło o to, że nie potrafiła się wspinać, ale że potraktowała ten nieistotny dziecinny upadek właśnie jako coś istotnego. Popęliła przestępstwo przeciwko temu, co naprawdę było ważne. Zrobiła to, zamiast przyjąć fakty z opanowaniem i spokojem, niezależnie od tego, czy ktoś prezentował jej życzliwą czy nieprzyjemną twarz. Można to też było wyrazić tak: przeciwko Siv.

A kiedy Nanni Fransson próbowała ją uspokoić, czego ona nawet nie zauważyła, Malin zdołała unieść się nie tylko ponad swoją histeryczną próżność i skierowaną we własną stronę nienawiść, ale też ponad wstyd spowodowany przez to wszystko, poznając głębiej zasady, które definiowały Siv. Miód goryczy, słodycz porażki. Będzie jej wstyd przed Siv, na pewno — więc chyba powinna to zrobić, na pewno. Tak. Do końca! Być może Siv zacznie nią gardzić — miała do tego prawo, mogła to zrobić. Zawalczy o jej szacunek nowymi staraniami — a jeśli ludzki aspekt Siv oprze się im, bo nie jest w stanie dojrzeć tego, co w niej tkwiło i nie może wiedzieć wszystkiego — to przynajmniej Malin zbliży się do tego, co wyrażała sobą Siv...

Po tym zdarzeniu nowe wybuchy już się nie zdarzały.

Wszystko, co wyrażała sobą Siv...

Nie przez słowa czy w rozmowach, ani nie przez to, co powszechnie nazywamy duszą. To gesty i ruchy sprawiły, iż wyczuwała, że przesłanie uległo zmianie. Nie było w tym nic tajemniczego; widziała to wyraźniej, niż gdyby zostało wyrażone słowami. Malin uczyła się nowego języka: języka rzeczy. Można powiedzieć, że w ten sposób zastąpiła znany sobie system nazw i pojęć, który porzuciła — a może zgubiła — w morskich falach przy brzegu. Wytrwale brnęła przez to co nowe. Był pewien tajemniczy obraz, którego reprodukcję kiedyś widziała i do którego wracała, szukając podobieństw z własną sytuacją: dziecko leży samotnie na sawannie, nagie, z szeroko otwartymi oczami; na horyzoncie zbierają się poranne chmury, nieznane jej zwierzęta piją z oczek wodnych albo pasą się w otwartej przestrzeni; dziecko leży cicho, z oczami pełnymi nieznanego dnia. Tak samo ona teraz stała wobec rzeczy.

Były takie namacalne, tak blisko niej; nie przemawiały poprzez alegorie ani za pośrednictwem objaśniających pojęć, rzucały się na nią całkowicie indywidualnie. Ze wszystkich stron jej zmysły atakowane były impulsami, prowokującymi do bezpośredniego działania czy zajęcia stanowiska; musiała się bronić, mówiąc „nie” lub „tak”.

Były rzeczy groźne, od których musiała się odciąć. To były te związane z mrokiem. Z księżcem. Obrazy, wiersze, muzyka, rzeczy, które podstępnie kusily, by odrzucić rozsądek i opanowanie i zanurzyć się w chaosie z bezgraniczną ulgą. Wabiły ze smutną, oszłamniającą słodyczą — można było niemal wyobrazić sobie, jak wszystkie te walczące, zagubione, pozbawione celu pierwotne dusze, z których później formowali się ludzie, czyhają, próbując skłonić ich do powrotu do stanu początkowego braku kształtu. Większość osób wokół niej nawet nie starała oprzeć się pokusie i bez mrugnięcia okiem ulegała jej z pełnym spokojem ducha. Być może wynikało to z tego, że nie byli wystarczająco podatni, nie byli w wystarczającym stopniu ozdrowieńcami, by poczuć, iż droga zmierzała do końca, podczas gdy Malin reagowała wszystkimi nerwami i miała tylko jedno wyjście: odsuwać od siebie wszystkie takie sprawy.

Były też inne rzeczy, które unosiły się ponad chaosem, zebrane razem, uproszczone, wzmocnione. Należały do świata słońca. Dom, krzesło, szklanka, która na całej swej powierzchni emanowała siłą i pocieszeniem. Nie były „piękne” — stanowiły drogowskaz, sygnalizujący jeden ze sposobów życia. Malin pojęła coś, czego nigdy wcześniej nie rozumiała — mianowicie, jak głęboko poważną i wspólną wszystkim ludziom sprawą jest sztuka.

Kiedy matka siedziała i grała sama dla siebie w dużej pustej sali, Malin często zakradała się tam i siadała, żeby posłuchać. I zawsze z tym samym błaganiem na ustach: „Coś z Bacha⁸⁰”. Nikt inny w tak bardzo oczywisty sposób nie przynależał do słońca i do kosmosu. W gruncie rzeczy nie była wystarczająco wykształcona muzycznie, by zrozumieć,

Upadek

Ciemność, Księżyc, Pokusa

Słońce, Sztuka

Muzyka

⁸⁰Bach, *Johann Sebastian* (1685–1750) — kompozytor i organista niemiecki epoki baroku. [przypis edytorski]

jak dalece był niedostępny. Za dźwiękami, za bezlitośnie opanowanym rytmem, za całym wymiarem muzyczno-technicznym i wszystkim tym co „trudne”, dostrzegała tylko jedno podejście, dość oczywiste.

Wszystko, co pojawiało się w jej zasięgu, było niezmiennie poddawane tej samej próbie na delikatnej wadze dla wszystkich wartości — niezależnie od tego, czy prowadziło to do zdrowia czy wręcz przeciwnie — lub wyrażone prościej i bardziej trafnie: *do Siv* czy wręcz przeciwnie.

Była w podróży, w drodze do Siv.

Wiosna otwierała się coraz szerzej, każdy nowy dzień przychodził pełen ciekawości, przygoda przygody.

— Oczywiście, że to ładne, a jednak mam wrażenie, że ma się ochotę powiedzieć: „*Tant de bruit pour une omelette!*”⁸¹.

Tak pani rektor Melling wyraziła się z brakiem szacunku o *Nowym stworzeniu*⁸² Kellgrena⁸³. Była obecna na jednym z wykładów lektora Fjella z historii literatury i teraz w przyjacielskiej atmosferze dyskutowała na ten temat z przerażonym jej pogardą nauczycielem.

Malin usłyszała te słowa mimochodem i zaczęła się zastanawiać. *Une omelette*⁸⁴?

Ale zapewne tak było. Dla niektórych to tylko omlet, dla innych płonący krzew. Obojętnie będzie zapewne trudno przekonać się nawzajem. Można użyć wszystkich dostępnych słów, ale dla tych drugich pozostaną one po prostu słowami.

Z jednej strony: „Kto może oddać trawiące światło, które rozszarpuje duszę na kawałki, by zespolić je do nowego życia?”.

Z drugiej strony: „Kto traktowałby tak górnolotne słowa poważnie?”.

Komiczne, tak, oczywiście było to komiczne. Jeszcze jakiś czas temu Malin sama wierciłaby się niczym zawstydzony owad w mrowisku śmieszności. Ale teraz już nie. Teraz wstyd został zastąpiony przez to, co było ważniejsze.

Niska koścista dwudziestolatka, jaką była Malin Forst, musiała wyglądać komicznie, gdy codziennie podróżowała pociągiem, a potem brnęła ulicą z seminarium do dworca centralnego, by iść dalej w towarzystwie Siv Lindvall tak długo jak to możliwe. Nieśmiały i pełen podziwu wzrok, gdy kierowała swoje spojrzenia na piękny profil Siv — komiczne, komiczne! Gdyby była młodym mężczyzną idącym u boku potajemnie wielbionej dziewczyny, wówczas być może — ale tylko być może — potraktowano by ją na serio. Gdyby była młodą kobietą, idącą u boku potajemnie kochanego mężczyzny — to wówczas też otarłaby się o śmieszność. Ale tak, jak to wyglądało w tej chwili — było beznadziejnie komiczne! O ile nie jeszcze gorzej.

Gdy nagle człowiek staje się sztywny niczym patyk, milknie i ogarnia go smutek, to bynajmniej nie czyni go to mniej śmiesznym. Wtedy otwiera się przed nim pustka — nie ta cicha, którą można wypełnić i przyjąć, ale ta wszechobecna niczym paraliż. I zawsze dzieje się tak, gdy wydarza się coś, za czym tak długo tęskniliśmy. Gdy człowiek jest samotny, wtedy myśli: „To chcę ci powiedzieć, to chcę ci pokazać”. Lecz gdy wszystkie te zamknięte w nas marzenia nagle znajdują urzeczywistnienie, następuje panika. Napadają na siebie, stają sobie na drodze, toczą ze sobą zapasy, wiążą się i w końcu nic już się nie rusza, siła przeciwko sile — z zewnątrz przypomina to śmierć. Znikają myśli, znikają uczucia, wola pozostaje niewzruszona.

Można iść i iść, nie mając siły wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Dopiero kiedy docierają do mostu Riksbron⁸⁵, udaje jej się wydukać kilka potykających się o siebie słów:

— Pomyśleć, że wierzby już tak się rozwinęły!

Bo rzeczywiście się rozwinęły. Ich jasnozielone welony zwisają wiosennie nad błyszczącą powierzchnią Norrströmu⁸⁶, ale w momencie, gdy wypowiadamy te słowa, one stają

Poezja

Konflikt wewnętrzny

⁸¹ *Tant de bruit pour une omelette!* (fr.) — tyle zamieszania z powodu omletu; po polsku zazwyczaj oddajemy to za pomocą wyrażenia „wiele hałasu o nic”. [przypis edytorski]

⁸² *Nowe stworzenie* — szwedz. *Den Nya Skapelsen*, pieśń autorstwa Johana Kellgrena (1751–1795). [przypis edytorski]

⁸³ Kellgren, Johan Henric (1751–1795) — szwedzki poeta oświeceniowy. [przypis edytorski]

⁸⁴ *Une omelette* (fr.) — omlet. [przypis edytorski]

⁸⁵ Riksbron — most łukowy w centrum Sztokholmu. [przypis edytorski]

⁸⁶ Norrström — cieśnina w centralnej części Sztokholmu. [przypis edytorski]

się równie obojętne jak uliczny bruk, po którym stąpamy, a tego, co naprawdę chcieliśmy powiedzieć, już dokładnie nie pamiętamy, mamy jedynie pewność, że było to coś zupełnie innego. To właściwe leży zapewne schowane gdzieś w jakimś kącie, związane i strzeżone przez całą naszą wewnętrzną siłę. A wszystko inne straciło swoje barwy i życie i przestało być rzeczywiste.

Potem, kiedy znów zostajemy sami i paraliż zaczyna odpuszczać, czujemy się prze-
rażająco zmęczeni. Bardzo boli nas stopa, a gdy zdejmujemy but, widzimy, że w naszej
pięcie utkwił kawałek drutu — co musiało się stać jakiś czasu temu, tylko byliśmy tak
spięci, że nawet tego nie poczuliśmy!

Wszystko to można od biedy tłumaczyć innym, tym od omleta, właśnie dlatego,
że to jest coś, z czego można się śmiać. Jednak po chwili wzruszyliby ramionami, mó-
wiąc: „Drogie dziecko, czemu to niby ma służyć?”. I jak wtedy wytłumaczyć, że mimo
wszystko musimy znosić całą naszą śmieszność, która rzeczywiście może być bezpodstaw-
na — z jednym wyjątkiem, a mianowicie że to wszystko jest także dla Siv. A zmęczenie
paraliżem i śmiertelne upokorzenie? I fakt, że bez wahania, raz za razem, narażamy się
ponownie na to samo poniżenie, gdy tylko nadarza się ku temu okazja?

Jeden z powodów jest oczywisty i zrozumiały: zawsze mamy nadzieję, że wszystko się
zmieni. Tyle bowiem się zmieniło, także rzeczy, które wyglądały na poważniejsze, trud-
niejsze, więc czemu nie to? Tak niewiele wiemy o przyszłości, wydaje się ona potężnym,
nieokreślonym dalszym ciągiem, bezkształtnym, pełnym niespodzianek. Macamy stopą
przed postawieniem każdego kolejnego kroku, nie budujemy na dniu jutrzejszym, ale też
nie popadamy w rozpacz; raczej mamy nadzieję, że wspaniale będzie zrobić coś więcej,
niż jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

Jednak to coś zupełnie innego nas do tego zmusza. Powoduje, że całą duszą musimy
wybierać śmieszność. Czy oni by to zrozumieli?

To, że człowiek nie jest w stanie wyrażać się za pomocą prostych gestów i w głębi
duszy może być kimś innym, wydaje się oczywiste. Gdy to się potwierdza, nie dziwimy
się. Tyle, że nie wiedzieliśmy, iż nowa strona tej samej osoby może być tak oszałamiająca
i ciekawa. Dzięki temu stajemy się przedsiębiorczy. Nie stać nas na uronienie ani jednej
kropli.

Było to tak:

Podczas przerwy śniadaniowej grupa przyjaciół stała i żywo dyskutowała. A kto nie
chciałby uczestniczyć w tak ożywionej rozmowie? Oczywiście Siv też w niej brała udział,
ale obowiązywała zasada nakazująca zachować dystans. Jednak czyż nie najwyższa pora,
by w końcu i to się zmieniło? Bo przecież ta reguła powstała z myślą o chorych — i to
dawno temu.

Rozmówcy byli pełni pogardy i niedowierzania. Właśnie pastwili się nad sztuką współ-
czesną, a konkretnie kubizmem.

— Człowiek nie jest chyba zbiorem pudełek! — powiedział ktoś.

— Podczas świąt Bożego Narodzenia byłem na wystawie sztuki, gdzie na jednym
z obrazów znajdowała się *zielona* twarz mężczyzny, nie przesadzam, naprawdę *zielona*! —
powiedział ktoś inny.

— To chyba zrozumiałe, że trzeba się jakoś wyróżnić, by być oryginalnym, ale jeśli
nic innego nie przychodzi na myśl, to zaczyna się malować kanciaste formy, podczas gdy
w rzeczywistości są krągłe.

Wtedy odezwała się Siv:

— Kiedyś słyszałam, jak pewien artysta stwierdził, że kubizm nie jest sztuką dla ogółu,
tylko dla artystów.

Czy to dziwne, że wtedy w oczach pokazują się łzy i ma się ochotę głośno śpiewać
albo paść na kolana w uwielbieniu? Może jednak dziwne. Nie, nie, inni też muszą to
zrozumieć, inaczej byłiby ślepcami! Oczywiście nic z tych rzeczy się nie dzieje, nikt nie
śpiewa, nie pada na twarz. Po prostu stoimy spokojni, chłonąc to co odmienne, pozwa-
lając, by odcisnęło swoje piętno na naszej duszy. A wieczorem wiemy już, że zyskaliśmy
coś nowego.

A jeśli oni nadal nie rozumieją? Jak można im to wytłumaczyć?

Miała opisać, jak niewzruszona stała tam wśród innych? Ich sarkazm jej nie dotyczył,
nie dołączyła też do ich śmiechu. Stała obiema stopami twardo i bezpiecznie na ziemi,

Sztuka

Artysta, Sztuka

jakby sama tego wszystkiego doświadczyła — i tyle. Opisać niemal lunatycznie powolną odmowę wydania opinii, która jeszcze w niej nie dojrzała? To była powolność dojrzewających owoców, pęczniejących zasiewów. Opisać, czym człowiek promieniuje, gdy jest pewien, że wszystko istnieje z powodu dobra? Leżą tam i czekają na rękę, która zechce zrobić z nich użytek. A ten, który jeszcze nie znalazł drogi do jądra dobroci, może wskazać pytającemu tego, który już nią kroczy. Tak, opisać oczy i usta, drżenie głosu tego, kto odważy się okazać szlachetność wobec rzeczywistości — wystarczającą, by zaufać opinii tych, którzy to przeżyli i odkryli.

I wtedy już się wie: by na serio móc się zbliżyć do rzeczywistości, trzeba być pełnym najwyższej szlachetności.

Mieliśmy pewne wyobrażenie o sprawiedliwości — teraz w końcu rozumiemy, że była to mieszanka negatywnych wrażeń! A nie wielki, hojny pakt.

Rzeźbiarz pewnie potrafiłby opisać to lepiej albo może muzyk.

Ale czy inni mimo wszystko by zrozumieli?

Gdyby sama była głęboko zaangażowana, gdyby była malarką kubistyczną, czy jej ton pozostałby równie spokojny? Nie miałyby powodu atakować ani ranić kogoś. Nie dlatego iż obawiała się zakazu wobec wrogich uczuć i działań, ale właśnie dlatego, że się nie bała i w tym odprężającym poczuciu bezpieczeństwa nawet nie przyszło jej do głowy, by poczuć się zaatakowaną czy zranioną. Wiedzieli albo nie wiedzieli — tę kwestię można było zbadać. Trudno powiedzieć, czy w takiej sytuacji należy stwierdzić: *dla niej sprawa ta była ponad wszystkim*, mając na myśli, że rzeczywistość była tak zajmująca, iż ludzka pycha stawiała się dziecinną grą. A może lepiej i klarowniej byłoby skonstatować coś wręcz przeciwnego: *dla niej to człowiek był ponad sprawą*, mając na myśli, że nikomu niczego nie przyrzekała, nie wiązały jej żadne poglądy, wszystko służyło jej za narzędzie — tak jak człowiek jest ponad rzeczami i używa ich zgodnie z przeznaczeniem, co jest ostatecznym celem wszystkiego.

Tworzymy sobie pewne wyobrażenia w odniesieniu do rzeczywistości — i nagle rozumiemy, iż było to bojaźliwe, ascetyczne zaprzeczenie. Zamiast wolności i siły!

Jednak gdy zaledwie kilka słów może wskazać drogę do tego, jak postrzegamy rzeczy i rzeczywistość, pokazać stosunek zaufania do obserwacji i myślenia — jak można w takiej sytuacji zamartwiać się własną śmiesznością czy udręką paraliżu! Takie kwestie są gruntu bez znaczenia dla naszego wewnętrznego pragnienia, które może zostać ugaszone jedynie królewskim winem — Człowiekiem.

Należy przyznać, że to spore zamieszanie. I do tego jeszcze omlet: słowa Siv, które były dość naturalne i nieszczególnie znaczące...

Mawiamy, iż zakochanie jest ślepe, ponieważ patrzy i ocenia odmiennie niż inni. Ale czy to właśnie nie ono — i tylko ono — naprawdę widzi?

Nadchodzą noce — cały czas tak się dzieje — gdy trzeba spojrzeć ponownie na swoje granice i być może przesunąć je, ośwoić się z nowymi upokarzającymi odkryciami. Pierwsze z nich to prosty i oczywisty fakt: był mężczyzna, którego Siv lubiła — co raczej nie powinno być zaskakujące. Malin podążyła za nią, chcąc dotrzymać jej towarzystwa. Kiedy wyszła, Siv stała po drugiej stronie ulicy z młodzieńcem, który tam na nią czekał. Siv przywitała się z nim zwrócona w jego stronę i z nader uprzejmym wyrazem twarzy.

Z tego, że Malin potem szła, niemal się zataczając, że wsiadła do niewłaściwego pociągu, wysiadła gdzieś daleko w Handen⁸⁷ zamiast w Tullinge, spóźniła się do domu kilka godzin i była głucha na wszystko, także na komentarze ojca — z tego można było się śmiać, poza tym, prawdę mówiąc, należało się tego spodziewać. Jednak ona zupełnie tego nie oczekiwała.

A przecież powinna była wiedzieć — mówiła sobie, gdy leżała nocą, wpatrując się w ciemność — powinna była wiedzieć, że tego, co najważniejsze i najpiękniejsze nie da się utrzymać, nie można nawet się tego domagać. Takie rzeczy mijają niczym objawienie. Nie są niczyją własnością, chyba jedynie tego, kto jest w stanie je dojrzeć i zrozumieć, a potem dorosnąć, by to pojąć. One nie pozwolą się przywiązać, nawet do człowieka.

Musi na nowo przyjrzeć się swoim granicom. Musi je przekroczyć.

Miłość, Zazdrość

Rozczarowanie, Cierpienie

⁸⁷Handen — dzielnica gminy Haninge w regionie Sztokholm. [przypis edytorski]

To, że teraz tak cierpiała, pokazuje tylko, jakie to wszystko było trudne do urzeczywistnienia. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo osobiście do tego podchodziła, jaka była prymitywnie zachłanna. Teraz czuła, że podążała błędną drogą, skłonna pomylić to najwyższe i najpiękniejsze z człowiekiem.

Tak niebezpiecznie jest opuścić bezpieczną bezosobową przestrzeń i dać się skusić temu, co aż nadto osobiste, a co nazywa się duszą. Jakież to dziwne, że właśnie to, co nazywamy duszą, jest bramą wejściową dla nieznanych, zbyt ludzkich, ściśle indywidualnych, niejasnych marzeń...

Na pewno będzie musiała coś unicestwić i zabić, by przez to przejść. Musi przekroczyć to co osobiste i znaleźć drogę do miejsca, gdzie to najpiękniejsze z najpiękniejszych jest całkiem bezosobowe, nawet jeśli chwilowo objawia się pod postacią konkretnego człowieka. Zdecydowanie przeceniła własną siłę, w ogóle przeceniła siebie, nie biorąc pod uwagę swojej ludzkiej małości. Będzie musiała się z tym uporać.

Łatwo to powiedzieć, lecz jak trudno wykonać! Czym są wszystkie mądrości i zasady wobec człowieka! Wiedziała tylko jedno: że czuje ból.

I ból się nasilał, Siv była tutaj. Obok niej, wokół niej. Nie było nic poza płonącym ogniem. I Siv. Płonący ogień i Siv, i ból.

Czemu miałoby służyć zaprzeczanie, że czuje ból, skoro tak było. Na co miałoby się zdać ogłuszanie się słowami o tym co najwyższe i najpiękniejsze, skoro to nie było wszystko. Bo nie było! Bo tak czy inaczej wszystko było Siv.

To nie mogło tak być, to nie było tak! Musiała odciąć się od tego, co osobiste, upokarzające... Musiała wbić to w ziemię i zniszczyć. Musiała unieść się ponad to co nisko ludzkie i wznieść się na chłodne wyżyny pozbawionej wszelkiej skazy bezosobowości. Walczyć, musi walczyć, musi, musi...

Ale Siv tam była. Była tam nie tylko jako ogień i ból, była tam z całą swoją intensywnością, ze swoją spokojną, jasną prostotą. I w świetle jej spokojnej jasnej prostoty Malin musiała się wstydzić swojego wymachiwania rękami — jak kiedyś podczas zajęć z gimnastyki.

Przytłaczające roszczenia zawsze są tytanicznym teatrem. Ale nasza tęsknota jest istotą naszego serca, która doprowadza nas do dojrzałości.

Tak więc trzeba było pozbyć się fałszywych nieludzkich oczekiwań, odejść od swoich konstruktów — który to już raz? I bezradnie zająć miejsce w swojej tęsknocie, co bolało. A wszystko w granicach własnej osobowości. Bez heroicznych gestów.

Dlatego, że cię widziałam, Siv.

Ciężkie czarne książki! Między jasnymi drobiazgami wyglądały wrogo. Dlaczego święte księgi musiały być czarne? Ale to raczej nie był przypadek.

Uczniowie pierwszej klasy siedzieli poważni przy swoich małych pulpitych z dłońmi złożonymi przed sobą, co oznaczało, że wiedza, którą tu pobierali, nie była wiedzą zwykłą. To były prawdy życiowe dotyczące rzeczy najwyższych. Dłonie tak chętnie wędrowałyby własnymi drogami, rysowały postacie na pulpitych czy okładkach książek — obie czynności równie niestosowne — chciałyby bawić się piórami i budować wieże z kałamarzy czy książek ułożonych jedna na drugiej. Niedobrze, gdy w ogóle to robią, ale podczas lekcji religii absolutnie nie wchodzi to w grę. Dlatego leżą złożone na pulpitych — głupie, nieposłuszne dłonie.

W głowie Malin pojawiło się wspomnienie z dzieciństwa: „Łapy precz! Patrzeć, ale nie dotykać”! Ale to, prawdę mówiąc, nie miało nic wspólnego z tą sytuacją.

Malin ze swoją grupą siedziała na samym końcu sali pod ścianą; w rękach trzymały notatniki, a krzesło w rogu zajęła panna Zender, która prowadziła lekcję religii w pierwszej klasie — wysoka, blada, skromna, o serdecznym, ale też bardzo zdecydowanym sposobie bycia.

Panna Zender była błyskotliwa nauczycielką. Poprzednim razem poprowadziła lekcję wstępną i zrobiła to świetnie i sprawnie. Ale też i temat był wdzięczny: Pasterz i owce. Zaczęła od własnych dziecięcych doświadczeń z owcami i jagniętami — były co prawda dość skromne, ale dawały się wykorzystać dogłębnie i konkretnie. Potem opowiedziała o pasterzu i jego troskach, odmalowała idylliczne sceny z życia stada, by następnie przejść do znaczenia tych obrazów w świecie ludzi. My też mamy dobrego pasterza, który nas prowadzi. Kto to jest? Dzieci oczywiście wiedziały. Następnie ukazała istotną różnicę między

Dusza

Cierpienie

Książka

Uczeń

ziemskim pasterzem a tym niebiańskim: ograniczenia człowieka, jeśli chodzi o uwagę i siłę, cierpliwość i zdolność przewidywania, w porównaniu z wieczną i nieograniczoną dobrocią i mocą. Na koniec naprzód sama panna Zender, a potem razem z dziećmi, odczytała pierwsze wiersze psalmu, który później mieli przerabiać: „Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie. Na niwach zielonych pasie mnie. Nad wody spokojne prowadzi mnie”⁸⁸.

Malin patrzyła na małego Magnusa Andersona. Jego główka z jasnobłond czuprynką, przynajmniej widziana z tyłu, wyglądała równie pobożnie jak innych. Zastanawiała się, jak on rozumiał słowa: „Niczego mi nie braknie”. Czy było to marzenie o przyszłości? Lekcja była lekcją wzorową w dokładnym znaczeniu tego słowa — konkretna, prowadzona bez zarzutu, zrozumiała dla dzieci. Jednak słowa „Niczego mi nie braknie” należało chyba potraktować dość abstrakcyjnie, na poziomie znacznie przewyższającym możliwości percepcyjne pierwszoklasistów, na pewno jeśli miałyby mieć jakiegokolwiek odniesienie do sytuacji Magnusa Andersona. Jego nagie nogi w deszczu! Jego cierpienia! A on zapewne nie był jedyny. Uczniowie pochodzili głównie z dobrze sytuowanych rodzin robotniczych, ale zdarzały się wyjątki — no i z pewnością były rodziny dobrze sytuowane, w których nie wszystko było tak, jak powinno, i w których dzieci obarczane były ciężarami ponad ich siły. Cóż, tego nie mogła wiedzieć, jednak byłoby lekką przesadą twierdzić, iż Magnusowi Andersonowi niczego nie brakowało. To było raczej pewne.

— Zapewne uważasz, że jestem zrzędliva i przewrażliwiona — powiedziała do Nanni Fransson po wyjściu z sali. — Wiem, że to była dobra lekcja, ale jestem zła. Jeśli ktoś uważa, że te biedactwa... Jednego z tych chłopców znam i wiem, że nie żyje mu się dobrze, więc jak on mimo wszystko ma być wdzięczny za to, że jest członkiem chrześcijańskiej wspólnoty i ma dostęp do świętych prawd i tak dalej. Oczywiście trzeba o tym mówić, ale nie wolno twierdzić, że nie ma powodu do narzekania... Nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli... Skoro jego sytuacja jest zła. W szkole śpiewaliśmy piosenkę o pewnym cukierniku, która kończyła się tak: „Jeśli masz pieniądze, to dostaniesz ciastko, jeśli nie masz, to odejdziesz”⁸⁹. To szczerza prawda, wszyscy musimy się z tym zgodzić. Ale żeby śpiewać tak w szkole! Taki porządek świata jest niemoralny, więc zamiast tego śpiewaliśmy: „Jeśli jesteś grzeczny, to dostaniesz ciastko, a jeśli nie, to odejdziesz”.

— Czyli wszystko zmieniliście — odparła Nanni Fransson pogodnie. — Bo to byłoby niemoralne i złe! Ale spokojnie, o smutkach też będzie i o tym, że nie mają aż takiego znaczenia. Obliczyłam, że to Ellen Eriksson będzie mówić o cienistej dolinie⁹⁰, właśnie o cienistej dolinie, a tobie przypadną wersy: „Namaszczasz mi głowę olejkami, mój kielich jest przeobfity”⁹¹. Jesteś zadowolona?

— Nie jest źle, jeśli można urządzać przyjęcia i cały czas podejmować gości. Nie chciałabym się zamienić z Ellen Eriksson.

— No a potem moja kolej: „Bo Twoja łaska jest przed moimi oczami i chodzę z tobą w prawdzie”⁹². A później Karin Fägersten będzie musiała zacząć coś nowego.

— Jestem zła, ale nic nie potrafię na to poradzić. Po co udawać w ten sposób!

— Nie wiem! Pewnie tak po prostu jest łatwiej! Nie można dzieciom mówić, jak jest naprawdę! I tak są wystarczająco przerażone, biedactwa.

Malin milczała. Magnusowi zapewne też nie trzeba było mówić, jak się rzeczy miały — on to doskonale wiedział. Jednak dużo by dała, żeby chociaż przez kilka minut móc spojrzeć jego oczami na oba światy, na świat doświadczenia i świat pasterza, i zobaczyć, jak w jego myślach oba się mieszały czy też rozdzielały.

Następnego razu to Marcie Balcke przypadło trudne zadanie przejścia pałeczki po pannie Zender. Podążyła wiernie jej tropem: życie owiec też bywało niebezpieczne, tak,

Dziecko, Bieda, Cierpienie,
Głód

Dziecko,
Niebezpieczeństwo, Szkoła,
Nauczycielka

⁸⁸ *Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie. Na niwach zielonych pasie mnie. Nad wody spokojne prowadzi mnie* — cytat biblijny, Ps 23:3 [przypis edytorski]

⁸⁹ *Jeśli masz pieniądze, to dostaniesz ciastko, jeśli nie masz, to odejdziesz!* — fragment piosenki *Sockerbagaren* (*Cukiernik*), napisanej i skomponowanej przez Alice Tegnér (1864–1943); została po raz pierwszy opublikowana w śpiewniku *Sjung med oss, mamma!* (*Śpiewaj z nami, mamo*) w 1895 roku. [przypis edytorski]

⁹⁰ *cienista dolina a. ciemna dolina* — biblijna metafora najtrudniejszych chwil w życiu: cierpienia, strachu, niepewności i śmierci. [przypis edytorski]

⁹¹ *Namaszczasz mi głowę olejkami, mój kielich jest przeobfity* — cytat biblijny, Ps 23:5. [przypis edytorski]

⁹² *Bo Twoja łaska jest przed moimi oczami i chodzę z tobą w prawdzie* — cytat biblijny, Ps 23:6. [przypis edytorski]

to dzieci rozumiały — tyle różnych niebezpieczeństw czyhało na biedne owieczki. Dzieci miały bujną wyobraźnię, niemal zbyt bujną jak dla Marty Balcke, która siedziała zdenewrowana, trzymając przed sobą imponujący plan lekcji. Zaczęła opowiadać o chorej owieczce, która leżała w owczarni i się nudziła, gdy nagle usłyszała głos, głos pasterza. I dla małej owieczki była to wielka radość — czy jak to też można powiedzieć: było to bardzo wspierające, orzeźwiało ją. Podobnie, jak gdy jesteście chorzy i mamusia siada przy waszym łóżeczku, od razu wszystko znów jest dobrze. (Marta sprytnie wymyśliła historię z chorą owieczką. To świetna ilustracja, którą wszyscy rozumieli, a dodatkowo nawiązanie do pierwszej części jej tekstu „On orzeźwia duszę moją”⁹³). Dzieci podawały przykłady tego, jak ich mamy się nimi zajmowały; niektóre czytały im bajki. („Tak, w ten sposób mama też orzeźwia duszę twoją”, stwierdziła Marta Balcke zgodnie). Potem wróciła do niebezpieczeństw czyhających po drodze, które dotyczą również naszego życia.

— Nam też zdarza się pobiłdzieć. Także wpadamy w różne niebezpieczne pułapki, z których czasem trudno nam wyjść. Na przykład jakie?

— Na przykład kiedy zabłądzimy w lesie — zaproponował jeden z wszechwiedzących maluchów.

— Tak, ale to jeszcze nie jest najgorsze. Możemy bowiem zabłądzić też w inny sposób, w domu czy w szkole, gdziekolwiek.

— Kiedy jesteśmy niegrzeczni! — spróbował inny.

(To nie było im obce).

— Tak, to prawda.

A potem polecały przykłady nieposłuszeństwa, oraz podkreślanie, że samemu jest się wzorem bezwarunkowej subordynacji. Jeden z maluchów stwierdził co prawda z nieskrywaną radością, że nie zawsze szczotkował zęby, chociaż mama mu kazała.

Malin ponownie skierowała wzrok na kark Magnusa Andersona. Zapewne był dość posłuszny. Chodził i żebrał, gdy mama czy tata mu kazali. A może próbował się buntować? W takim razie teraz zapewne o tym zapomniał. „Dzieci zawsze są małymi faryzeuszami”⁹⁴, powiedziała panna Zender kiedyś podczas zajęć z metodyki.

Malin siedziała w napięciu. Czuła, jak wzbiera się w niej gniew, myśli kłębiły się w głowie — jak zawsze, gdy coś ją poruszyło. „Celem jest ugruntowanie pierwszych religijnych i moralnych przekonań dziecka”, cytowała po cichu swoją rozpiskę lekcji. Poprzednim razem chodziło o postawy religijne: świat pasterza. Tym razem — o postawy moralne: posłuszeństwo. Należy być miłym i grzecznym. Stąpać twardo po ziemi. A świętości trzeba było uczyć się ze złożonymi dłońmi. Tak było prościej. Boże, Boże, o ile istniejesz, nie darz nienawiścią twoich głosicieli, którzy używają cię jako kija i marchewki. A On, który został ukrzyżowany na Golgocie⁹⁵, czy ten człowiek naprawdę był *miły i posłuszny*... Nie wiem, czy był, ale teraz jest, posłuszny aż do śmierci, do śmierci na krzyżu... I o to chodziło...?

Jednak w starszych klasach, gdzie rozmawiano o wartościach najwyższych, pojawiło się przykazanie miłości. Masz kochać! Musisz! A to znaczy: znosić wszystko, wierzyć we wszystko, być cierpliwym i łagodnym, nie być pysznym, nadętym, okazywać szacunek, nie zazdrościć, nie próbować szukać...⁹⁶. To dotyczy i mnie, i ciebie, Magnus. Tak jest prościej. Bo co innego możemy zrobić? Na pewno jest to bardzo trudne. A kiedy sami staniemy się starzy albo będziemy mieli dzieci, uczniów czy podwładnych, to być może będziemy się cieszyć, że oni także uczyli się tego wszystkiego, siedząc ze złożonymi dłońmi nad groźnie wyglądającymi czarnymi książkami na pulpitych, jednak dla nich były to tylko zwykłe zasady, które można krytykować i zmieniać choćby jutro.

Jest tylko jedna sprawa: co to wszystko do licha ma wspólnego z moralnością? Nazwałabym to nauką o zakazie buntu przez posiadających władzę. Moralność to coś innego...

Pokora

⁹³ *On orzeźwia duszę moją* — cytat biblijny, Ps 23:3. [przypis edytorski]

⁹⁴ *faryzeusz* — pojęcie to pochodzi z Biblii, a obecnie oznacza człowieka fałszywego i obłudnego, przywiązanego jedynie do zewnętrznych form i pozorów. [przypis edytorski]

⁹⁵ *Golgota* — wzgórze znajdujące się nieopodal Jerozolimy, miejsce ukrzyżowania Jezusa. [przypis edytorski]

⁹⁶ *przykazanie miłości. Masz kochać! Musisz! A to znaczy: znosić wszystko, wierzyć we wszystko, być cierpliwym i łagodnym, nie być pysznym, nadętym, okazywać szacunek, nie zazdrościć, nie próbować szukać...* — parafraza tekstu z biblijnego listu św. Pawła do Koryntian, 1 Kor 13:4-7. [przypis edytorski]

Coś pięknego. Coś jasnego, coś, co czyni wolnym. Coś, czego nie trzeba nam naka-
zywać kochać. Wiem, co to jest...

Nachyliła się nad notatkami i pisała dalej: „Czy to są podstawy etyki: *być miłym i po-
słusznym?*”.

Nanni Fransson przeczytała jej słowa i zamyśliła się. W odpowiedzi napisała: „Niczego
innego pierwszaki nie zrozumieją”.

Malin: „Więc może należy poczekać”.

Nanni: „Zastanawiam się, czy jednak posłuszeństwo nie powinno być podstawą wszel-
kiej etyki, nawet jeśli będzie to na wyższym poziomie”.

Malin nie odpowiedziała. Z jednej strony uważała, że zapewne tak, bo jeśli kogoś się
kochało i wielbiło, to go się słuchało; z drugiej strony miała silne przeczucie, że jednak
była różnica. Zaczęła się zastanawiać nad swoją wątpliwością, podczas gdy Marta Balcke
wyraźnym i czystym głosem czytała dzieciom na głos: „Prowadzi mnie ścieżkami spra-
wiedliwości ze względu na imię swoje”⁹⁷.

Cztery głowy pochyliły się nad notatnikami i cztery ręce zapisały: „Nie wytłumaczyła
znaczenia sformułowania: «ze względu na imię swoje»”.

Podczas krytycznej dyskusji nad lekcją Malin nie mogła się powstrzymać od uwagi:

— Sądząc z tego, o czym mówi się na lekcjach religii, można by pomyśleć, iż posłu-
szeństwo jest największą i jedyną cnotą.

Panna Zander uśmiechnęła się wyrozumiale. „Cóż za porywcze słowa”, pomyślała, „ale
może to po prostu nerwy”.

— Tak — zgodziła się. — To dość naturalne, w każdym wieku dostajemy to, na co
zasługujemy. Panna Forst może mieć rację, ale można to też odwrócić: czym jest kłam-
stwo, to powszechnie wiadomo, chociaż dzieci oczywiście zaprzeczają, że któreś z nich
kiedykolwiek skłamało. Podobnie jest z nieuprzejmością. I marudzeniem. I nieładnym
zachowaniem wobec koleżanek i kolegów. I zwierząt. Z pewnością można tę listę jeszcze
uzupełnić.

Dla Malin jednak najważniejsze było echo wielkiego sporu między Władzą a Buntem.
Walka Lucyfera — Lucyfera niosącego światło. Złego Lucyfera. Na zewnątrz powietrze
było pełne jęków walczących. Ludzie pędzący ulicami byli na usługach jednej bądź dru-
giej mocy, niekiedy być może nawet nie będąc tego świadomi. Za surowymi człowieczy-
mi maskami kryli się posłańcy jednego lub drugiego obozu. Nawet tu, w korytarzach
i salach lekcyjnych, jaśni władcy prześladowali swoich mrocznych wycofujących się wro-
gów, zostawiając na ich twarzach stemple wstydu i winy. Leczący i z tymi znamionami na
czołach podnosili się, pełni wyrzutów sumienia, z bojaźliwymi spojrzeniami, zgarbieni,
pozbawieni prawowitej swobody tych jasnych — nieposłuszni, buntownicy. Stawali do
walki o coś tak cennego, że ani wstyd, ani poczucie winy nie mogły ich wystraszyć. Pod
przewodem Lucyfera-Posłańca światła, zwanego przez wrogów Złym.

A kiedy kilka dni później Magnus przywitał się z Malin na schodach, ta rozpromieniła
się z czułością i w poczuciu tajemnej więzi. Nie był już oskarżycielem, żądającym od niej
cierpienia. Był jej małym, na wpół pokonanym, towarzyszem walki, za którego gotowa
była bić się tak samo jak za siebie.

Mój lud!

Poranna modlitwa jest czymś raczej nieprzyjemnym. Wszystko to, czego Malin nie
chciała już znać, ożywało i powracało na skutek złych słów i nastrojów, podnosiło gło-
wę i żądało pożywienia. Stała twarzą w twarz ze swoim dawnym sumieniem, niczym
grzesznica — ale było też coś nowego. Chodziło o to, by nie odpuszczać, wiedzieć, po
której stronie chce się zadeklarować. Gdyby miała możliwość wyboru, trzymałaby się
z daleka od wszystkich porannych modlitw. Jednak takiej możliwości nie było. Musia-
ła więc siedzieć grzecznie, mając stale na oku starego sędziego: obnażyć go, przekonać,
przegłosować.

Szybkim i zdecydowanym krokiem na katedrę wchodzi pani rektor Melling. Przed-
wczoraj zapoznała się z wiadomościami z Europy: powojenne sprawozdania wstrząsnęły
nią, jednak jej silny praktyczny impuls, nakazujący jej pomagać, nie znajdował odpo-

Walka, Bunt, Władza,
Szatan

⁹⁷Prowadzi mnie ścieżkami sprawiedliwości ze względu na imię swoje — cytata biblijna, Ps 23:3. [przypis edy-
torski]

wiedzi, był skazany na rozpląnięcie się w morzu bezradności. Dzisiaj postanowiła mówić zatem o cierpieniu na świecie.

„... niecałe trzy lata po krwawej wojnie światowej uspokajamy się, gotowi zapomnieć...”.

MALIN 2.

Tak, zapomnieć, zapomnijmy! To, co chce żyć, musi zapomnieć. Dajcie nam słodką idyllę, dajcie nam pocieszenie i odpoczynek! Pozwólcie zapomnieć o życiu, zamiast przypominać o śmierci.

MALIN 1.

Mówisz tak, bo jesteś egoistką.

MALIN 2.

Tak! Tak! Dlaczego miałabym nie być egoistką? Jest jakiś rozsądny powód? Poza tym, że „egoistka” to brzydkie słowo?

„... podczas gdy duża część świata nadal znosi straszliwe cierpienia...”.

MALIN 2.

To wiemy, tak jak dwa razy dwa jest cztery. A potem: czy mogę ci w jakiś sposób pomóc? Nie. Chodź, pójdziemy napić się kawy.

MALIN 1.

Cieszyć się, gdy bliscy cierpią...

MALIN 2.

Pomóc tak, że samemu pójdzie się na dno, o to ci chodzi? Żeby przyznać się, że jest się idiotką? Nie chcę, żeby decydowała o moim życiu taka idiotka jak ty. Więc trzymaj się z daleka ze swoimi spostrzeżeniami, obojętne: miłymi czy nie. Kto wie, kiedyś, gdy będę mogła pomóc, może to zrobić, kto wie? Ale na pewno nie dlatego, że muszę czy powinnam, tylko dlatego, że tego chcę!

„...czy po to zostaliśmy oszczędzeni, czy to nie tchórzostwo wyzbywać się odpowiedzialności, zamiast mimo wszystko nieść swoją część...”.

MALIN 2.

Rozpoznaję to. „Cierp!”, mówicie. Mówicie też: „On cierpiał!”. I zniżacie głos, jakby chodziło o coś godnego podziwu. Rywalizujecie ze sobą o cierpienie! Jak mali chłopcy o sportowe wyczyny. Gardzicie zdrowiem i radością, jakby to było coś banalnego, skoro nie zostało okupione głębokim cierpieniem. Wiecie, że bluźnicie? Ach, piękne oczywiste zdrowie, rzadkość, jedyne, co warte jest tego, by je czcić! Siv! Uratuj nas!

MALIN 1.

A mimo to nie trzeba koniecznie być chrześcijaninem, by zrozumieć, że ona ma rację! Wystarczy po prostu być człowiekiem. Nie możemy, wręcz nie wolno nam wyzbyć się naszego poczucia odpowiedzialności, naszej solidarności z tymi, którym jest ciężko. Nie wolno nam ryzykować, stojąc nad krawędzią cierpienia. Jeśli cofniemy się przed cierpieniem, staniemy po stronie katów. Ofiara albo kat, trzeciej możliwości nie ma na tym świecie!

MALIN 2.

Gdy walczę, to po to, by wygrywać, a nie ponieść porażkę. A wy, mój lud, moi towarzysze walki, wiedźcie, że jeśli kiedyś padnę, to macie iść dalej, traktując to jako wypadek. Nie taki był cel mojego życia. Powiedźcie: „Nasze cierpienie było błędem, nie pytajcie, z jakiego powodu cierpieliśmy, to nieistotne, wręcz wstydlive. Pytajcie o nasz udział w zdrowiu, w radości, w zwycięstwie! To było dla nas zaszczytem, naszym darem”.

„...módlmy się, by nasze serce nie stwardniały, lecz pozostały otwarte na smutek, który zakłóca nasz spokój...”.

MALIN 2.

Módlmy się, by nasze serca zamieniły się w radosny kryształ...

MALIN 1.

Myślisz, że na dłuższą metę jesteś w stanie być twardą wobec mnie, twojej matki?

Cierpienie

MALIN 2.

Jest mi wszystko jedno, jak mnie nazywasz. Jesteś mięczakiem, zostaniesz zatruta zdrowym rozsądkiem, jasnym i klarownym, którego nic nie zmieni, który jest podstawą poza wszelkimi zagrożeniami! Pójdiesz na dietę! Nie zamierzam całe życie odmawiać porannych modlitw.

„...bo Twoje jest królestwo...”.

MALIN 2.

Idzie przez czasy niczym rzeński wiatr: marzenie o Hellas⁹⁸. Iluzja. W szczęśliwych chłodnych źródłach zakładnicy zmywają krew ze swoich ramion. Marzenie o pogańskiej świetlanej Helladzie⁹⁹, która w rzeczywistości nigdy nie istniała. Marzenie o celu. Siv! Schronienie!

Białe. Wywalczyłaś sobie drogę, zapewniłaś sobie przestrzeń, rozegrałaś sprawy na swoją korzyść. Ale ja się śmieję, śmieję się i śmieję. Niedawno stałyśmy na progu narodzin, ty i ja; ciebie wypełniała tryskająca siła wewnętrzna, ja szukałam świata zewnętrznego i byłam bliska zamknięcia w nim ciebie! Teraz stoimy u zarania czegoś nowego — większej wspólnoty, szerszej. Chcesz przejąć i ją, ty nienasycony głódzie! Ale ja ponownie chwytam to, co nowe, tam na zewnątrz, sięgam ponownie po głos Sędziego! Słuchajcie! On jest wszędzie i może pokonać wszystko. W chwili słabości, gdy twoi strażnicy śpią, metal znów obudzi metal i zamknie ci drogę.

Czarne. Ona sama jest metalem! Mieczem i wolą!

Białe. Zmuszę cię, byś padła ofiarą własnego głodu!

Czarne. Wciąż jestem silna! I żywa! Przecistawiam ci się!

Białe. Gra toczy się dalej. *Garde la reine!*¹⁰⁰

Sędzia

DIALOG III: O MALIN FORST

HODOWCA KAKTUSÓW

Pomyśleć, że jestem wręcz lekko wzruszony tym, jak to co żywe wszelkimi sposobami upiera się przy swojej egzystencji, nawet tak biednej i skarlałej. Czyż nie ma czegoś wręcz odważnego w tym uporze — o ile można mówić o odwadze w odniesieniu do woli życia, bo to chyba nie jest do końca właściwe? Podobnie jak gdy ogląda się małe szare chaty, czepiające się niegościnnych zimnych gór na północy, późniejsze placówki ludzkiego życia.

ESTETA

Biednej i skarlałej? Naprawdę uważa pan, że można użyć takiego określenia? W takim przypadku jak ten? Ta nadwrażliwość duszy, ocierająca się o upadek i sądny dzień w sytuacjach, gdy my, bardziej gruboskórni, uznamy, że nie ma się czym przejmować. Uważa pan, że właśnie to czyni życie biedniejszym? Czy nie jest to raczej wysublimowane i godne szacunku przedstawienie? Czy w ostateczności, niezależnie od faktów leżących u jego podstaw, nie chodzi o ten głęboki konflikt, który stanowi pożywienie dla wszelkiej wielkiej sztuki i nadaje życiu ludzkiemu jego tragizm? Nie można go unicestwić. Czy istnieje bardziej smutne wyobrażenie niż to odnoszące się do idylli wiecznego raj? Lecz nie musimy się bać. Ten konflikt nigdy nie umrze, dlatego też nigdy nie umrze sztuka, a życie nie straci swej wielkości i podniosłości.

FUNKCJONALISTA

Moim zdaniem jest to bezduszne spojrzenie na cierpienie i walkę o zdrowie. Prawdę mówiąc, przykładanie miar estetycznych do tak poważnych spraw jest niedopuszczalne. Jeśli zdrowie i szczęście nie zgadzają się z waszą estetyką, to być może właśnie ją należałoby zmienić, a nie patrzeć podejrzliwie na zdrowie i szczęście, jedynie po to, żeby móc czerpać przyjemność z konfliktu niczym z „wysublimowanego przedstawienia”! Mój pogląd jest

⁹⁸Hellas a. Hellada — rdzenna, starożytna nazwa Grecji, używana przez jej mieszkańców, Hellenów. [przypis edytorski]

⁹⁹Hellada a. Hellas — rdzenna, starożytna nazwa Grecji, używana przez jej mieszkańców, Hellenów. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*Garde la reine!* (fr.) — Chroń królową! [przypis edytorski]

taki: można chyba stwierdzić, iż podejście tej młodej osoby, Malin, do rzeczywistości zmieniło się mimo wszystko na nieco bardziej racjonalne? A więc także zdrowsze?

PRAGMATYK

No cóż, „racjonalnym” nazwałbym każde podejście, pod warunkiem, że pomaga ono nam żyć. (Widzę, że zamierzacie oponować, ale takie znaczenie ma dla mnie słowo „racjonalne”). Nie wolno nam zapominać, że Malin Forst już raz, wcześniej, po swoim tak zwanym nawróceniu, sprawiała wrażenie osoby akceptującej życie, może nawet bardziej niż teraz? Dokonała się w niej zmiana — to wszystko, co możemy stwierdzić. Być może nie ostatnia. Być może to jej nowe nastawienie, które teraz wydaje się jej wyzwoleniem, okaże się dla niej kiedyś równie ograniczające i blokujące, jak obecnie to wcześniejsze.

Przemiana

KOBIETA REPREZENTUJĄCA ZDROWY ROZSĄDEK

Tak jest! Też uważam, że Malin Forst przeszła transformację. I to raczej smutną. „Zdrowsza?!”. Chyba nie mówicie tego poważnie! Od początku jest żarliwie religijną, nieco przewrażliwioną, ale niewątpliwie pod względem moralnym wysoce wartościową dziewczyną, z silnym poczuciem przynależności do ogólnej wspólnoty, ale i ze świadomością własnej odpowiedzialności. Czyli, patrząc na to nieco głębiej, jest zdrowym człowiekiem. Potem dopada ją choroba. Rozumiem, że niektórzy mogą uznać, iż ma to związek z jej poprzednim nastawieniem, ja jednak tak nie uważam. Była zdrowa, a potem po prostu zachorowała, to chyba nie wymaga żadnego zawilego tłumaczenia, takie sytuacje często się zdarzają. A więc choruje. Egoizm, który zaczyna się w niej kształtować i z którego wręcz czyni swój program, jest moim zdaniem znacznie mniej zdrowy niż jej wcześniejsze cierpienia, których doświadczała w tym złym świecie. To dobrze i zdrowo, że cierpiała. A to jej zakochanie wydaje mi się wręcz obrzydliwe. Sama jestem osobą tak zdrową, że coś podobnego brzydzi mnie niemal fizycznie.

Choroba, Zdrowie

NAUCZYCIELKA

Moim zdaniem jest to coś najbardziej idealistycznego, co można sobie wyobrazić, właśnie *dlatego*, że w tak niewielkim stopniu jest cielesne! Jeśli ktoś potraktuje to fizycznie, to znaczy, że ma chorobę wyobraźnię! Tego typu szkolne zakochania pojawiają się tak powszechnie, iż można niemal stwierdzić, że są normalne; i zapewniam, że nie mają nic wspólnego z ciałem, sama obserwowałam wiele takich sytuacji. Co prawda w wieku dwudziestu lat jest już nieco za późno na tego rodzaju uczucia, ale u niektórych pojawiają się one dopiero wtedy. Poznałam Malin Forst osobiście i śmiem twierdzić, że w jej oczach jest coś tak czystego, że przekreśla to wszelkie niegodne fantazje o cielesności. Jeśli chodzi o egoizm i inne przewrażliwione zachowania, to młodzi często podejmują działania, co do których wcale nie są przekonani. Podsumowując: nie sądzę, że z Malin Forst musi wyrosnąć zły człowiek.

AKADEMICKI WYKŁADOWCA ETYKI

Oczywiście, że może stać się nienaganną mieszczką. Ale skoro teraz porzuciła bezpieczny grunt religii i sumienia, by podążyć za bliżej nieokreśloną „tęsknotą”, istnieje duże prawdopodobieństwo, że w taki czy inny sposób się wykołei w swym mieszczaństwie, także tym widzianym z zewnątrz. Przykład ten pokazuje wyraźnie, iż współczesny człowiek nie posiada autorytetów moralnych, które z przytłaczającą siłą i bez żadnych wątpliwości mogłyby wkroczyć w jego wewnętrzne życie. Gdyby nie zaistniało podejrzenie, iż prawo moralne żąda tego co niemożliwe, nie pojawiłby się też żaden stresujący problem. Siła moralna jest zbyt słaba. Powtórzę to, co zawsze mówię: „Dla wewnętrznego duchowego dobra człowieka lepiej jest, jeśli polegnie duchowo, niż gdyby miał zostać «wyleczony» ze swojego poczucia grzechu w jakiś inny sposób niż przez żal i wybaczenie”.

Kondycja ludzka

PASTOR

Należy także stwierdzić, iż było błędem zwrócenie się do mającej dobre chęci, ale nieco zagubionej panny Mogren. Gdyby Malin Forst najpierw udała się do swojego nauczyciela religii przygotowującego ją do konfirmacji, jak początkowo zamierzała, lub do innego doświadczonego duchownego, na pewno przemówiliby jej do rozsądku i skierowali jej myśli w inną stronę. Jej religijność zapewne od początku podążała nieco niebezpieczną

drogą. Nie była trochę za mocno zabarwiona kwietyzmem¹⁰¹? Przesiąknięta mistycyzmem nieskończoności? Na dłuższą metę osłabia to wolę, tak po prostu jest.

LEKARZ

Jeśli chodzi o „przemówienie do rozsądku”, to sędzę, że w przypadku Malin Forst niewiele by to dało. Jej objawy nie wynikały z żadnej dogmatycznej dezorientacji! Obawiam się, że bez znaczenia były także warunki, w jakich dorastała, i ideały, które jej wpajano. Dziewczyna była po prostu zdegenerowana, o czym wyraźnie świadczyły jej ekstatyczne, by nie powiedzieć: histeryczne, skłonności. Z pewnością ma predylekcję do melancholii; motyw potępienia jest tu bardzo typowy i to z pewnością się nie zmieni. Jej poglądy będą podlegać ewolucji, podobnie jak jej nastawienie do życia czy jak to nazwać. Prawdę mówiąc, ten doktor Ringström to rozsądny człowiek, mimo że był „gwiazdorem elit”; zapewniam, że wiele więcej nie mógł zrobić.

REKTOR SEMINARIUM

Jeśli sytuacja byłaby tak prosta i beznadziejna, to może nie należałoby wydawać tak dużo pieniędzy podatników na system edukacji, tylko pozwolić, by dziedziczne skłonności rozwijały się w spokoju. Osobiście uważam, że Malin Forst uczęszczała do dość dziwnego seminarium. W naszym nikt nie ma czasu, by zagłębiać się w siebie czy, jak pan doktor ładnie to ujął, oddawać się melancholii. A gdybyśmy odkryli u naszych uczniów podobne skłonności, na pewno byśmy znaleźli sposób, by im zaradzić. W tym względzie zgadzam się bowiem z ojcem Malin: to raczej kwestia wychowania niż problem medyczny. Ta historia jest tego przykładem. Czy właśnie nie samodyscyplina z czasem ją zmieniła? Fakt, że odbyło się to przy okazji załotów, to przypadek. Metamorfoza mogłaby bowiem równie dobrze, co byłoby bardziej naturalne i powszechne, nastąpić w związku z nawróceniem religijnym czy z okazji poznania kogoś o silnej osobowości, bez tej całej otoczki zakochania. Tak czy inaczej chodzi o to samo, czyli o spotkanie z wyższą rzeczywistością etyczną. Ubolewam, że kryzys odwiódł Malin od religii, ale być może jest to konieczny etap w jej rozwoju. Podejrzewam, że wróci, kiedy będzie starsza i rozsądniejsza.

MĘŻCZYŻNA Z OBRĄCZKĄ

„Wyższa rzeczywistość etyczna”. Naprawdę jesteście przekonani, że postać, którą Malin Forst początkowo nazywała „Siv”, miała swój pierwowzór w rzeczywistości? Obawiam się, że to wszystko było jednym wielkim złudzeniem. Jest wielu młodych mężczyzn, którzy tworzyli sobie podobne wyobrażenia o wybrankach swoich serc, a potem, gdy zostali przez nie przyjęci, czuli się okrutnie oszukani. „Wyższa rzeczywistość etyczna” to według mnie piękna maska, której niekiedy dajemy się uwieść. Prawda zdecydowanie nie jest tak piękna.

Maska, Piękno, Obraz
świata

OSOBA ŁAGODNA

To znaczy, że nie szukaliśmy jej z taką ufnością, jak szukaliśmy iluzji. Gdy widzę, jak piękna chusta zostaje rozdarta na moich oczach, wówczas zawsze myślę, że ktoś, kto wcześniej ją utkał i nosił, musiał czuć się wspaniale. Ale za tą chustą nigdy nie znalazłem tego, czego szukałem, nigdy. Jednak gdy się poddałem, odkryłem inne rzeczy, które nadały całej sytuacji większej głębi i dojrzałości, niż mogłem to sobie wyobrazić. Dlatego, jeśli o mnie chodzi, zgadzam się z tym, co sama Malin Forst też zdaje się uważać: musimy oddać się naszym tęsknotom. Kierując się strachem i opierając się, nie znajdziemy niczego, nigdzie. Idąc za głosem miłości, znajdziemy wszystko, wszędzie.

Co? Coś jest niejasne? Nie ma wytłumaczenia? Tak, wiem, że nie ma wytłumaczenia. Ale przynajmniej jednego ta historia i inne również mnie nauczyły: nie należy być zbyt pewnym w odniesieniu do tego, czego się nie wie.

Zakończenie roku odbywało się jak zwykle w dużej sali modlitw.

Seminarzyści w towarzystwie rodziców i opiekunów tłumnie wlewali się do wielkiego pomieszczenia o białych ścianach. Podeszwy szurały, przesuwając się w roztargnieniu po

Szkoła

¹⁰¹kwietyzm — mistyczny nurt teologiczny i duchowy w Kościele katolickim, uznawany za herezję. [przypis edytorski]

podłódze, gdy ludzie powoli sadowili się w ławkach. Przez wysokie, szerokie okna wpadał letni błękit, spokojny, ale intensywny, a kolorowe wstążki we włosach dziewcząt falowały łagodnie niczym skrzydła motyli, jakby dając znak, że wkrótce podążą za zewem wolności. Nawet ci, którzy wcześniej nie odczuwali nauki jako szczególnie przykrego przymusu, budzili się tego dnia z uczuciem, że gdzieś tam na zewnątrz jest kraina, o której istnieniu zapomnieli, a która czeka na nich z obietnicą spełnienia wszystkich marzeń. Napinane mięśnie i ścięgna trzeszczały, jakby przeciągały się ziewające koty. W powietrzu wisiała promesa nieograniczonego bezprawia.

— Po raz ostatni do owczarni! — usłyszała Malin pozbawiony szacunku szept, gdy wchodziła do sali razem z ubranymi na biało uczennicami ostatniej klasy.

Ktoś inny odpowiedział rozbawiony:

— W tym miejscu na pewno!

Dziewczęta z klasy maturalnej siedziały z przodu, zwrócone twarzami do nauczycieli, którzy z kolei zajęli krzesła z oparciami przy estradzie. Naprzeciwko Malin usiadł lektor Fjell. Miły człowiek, wobec Malin bywał zawsze życzliwy, wręcz po matczynemu łagodny. A jednak nie czuł przykrości, że przychodzi mu się rozstać z nią i z resztą, nie czuł potrzeby szczególnego pożegnania. Malin już pożegnała się ze wszystkimi. Oderwała się od wszystkiego. Znajdowała się gdzieś na zewnątrz.

Fjell miał w kieszonce zegarek na łańcuszku, ten sam, któremu tak nerwowo się przyglądała w dniu egzaminu. Naprawdę tak bardzo się wtedy denerwowała? Dlaczego? Może chciała poczuć ten szczególny — pełen napięcia, ale i uroczysty — nastrój. Ale go nie czuła. Malin uznała egzaminy za rodzaj przedstawienie, w którym miała swoją rolę do odegrania. Nie żeby się nudziła, jednak nie potrafiła wykrzesać z siebie żadnych silniejszych emocji, związanych z powagą chwili. Poza tym wszystko poszło dobrze. Już wtedy czuła się gdzieś na zewnątrz tej rzeczywistości.

Tak, była na zewnątrz, sama i spokojna. Wszystko, co wcześniej miało jakieś znaczenie, widziane z dalszej perspektywy stało się małe, jakby usunęło się gdzieś na bok. Ornamentyka oświetlonych słońcem ścian nie przyciągała już jej wzroku; padający obok promień słońca, ciepły i jasny, sprawiał, iż wydawała się wręcz nierzeczywista. Ach ten promień, bardziej realny niż odbywająca się tu uroczystość — był po prostu promieniem słońca, niczym więcej, czymś pierwotnym, darem, którego nie można było zakwestionować. Ale uroczystość taka jak ta... Czuła się trochę jak wtedy, gdy w dzieciństwie zasiadała do stołu w dniu świątecznego obiadu z długimi przemowami: dlaczego je wygłaszano? To był obcy świat. Wyimaginowany świat. A ona siedziała tu, ona, Malin Forst. Była zapewne dobrze znaną osobą, tą samą, która zajmowała to miejsce pół roku temu. Nie można było tego nazwać oszustwem. Między światem rzeczywistym a wyimaginowanym raczej nie było żadnego mostu. Nie było powodu, by oponować przeciwko temu, co było wytworem fantazji. Tyle że ten drugi świat, ciężki i przekształcony, przedzierał się przez pajęczą sieć, nie pytając o żadne zawilości — bo tak po prostu miało być.

Przeszło jej przez myśl, że pewnie nie ostatni raz siedziała w tak dużej grupie, czując się na zewnątrz. Będzie pojawiać się w różnych środowiskach i koteriach, będzie przedstawiana: Malin Forst, taka a taka — ale mimo tego, mimo uśmiechów i przyjaznych gestów pozostanie anonimowa, jakby chroniona murem. Będzie uczestniczyć w przyjęciach, nawet chętnie, ale ze świadomością, że raczej żadna z osób, podających się za jej przyjaciół, nie byłaby w stanie spojrzeć w oczy jej rzeczywistości — podobnie jak ona w stosunku do ich realności. Gdy się to wie, można odejść od wszystkiego, przekroczyć wszystko, co wyimaginowane, oderwać się od własnego imienia i nazwiska, usiąść w słońcu, zanurzyć dłoń w wodzie i cieszyć się z tego, że się istnieje, że nie nosi się w sobie lęku, że potrafi się przetrwać. W nagiej rzeczywistości. W której nikt nie jest ani młody, ani stary, ani mądry, ani głupi, ani dobry, ani zły. W której wszyscy są równi w bezwzględnej walce o wszechświat.

Starsze uczennice wyszły zaśpiewać. Między innymi te z siódmej klasy, z jej siódmej klasy! W zeszłym semestrze miała bowiem zajęcia, sześć godzin lekcyjnych, z tą właśnie klasą. Bardzo się do nich wszystkich przywiązała, a kiedy kurs się skończył, była wyraźnie poruszona. Pamiętała, jak dziewczęta uczestniczyły w lekcji. Inga Persson, ze srebrnym pasemkiem włosów, odpowiadała zwykle tak, jak w swojej naiwności sądziła, że powinna była odpowiedzieć. Nieśmiała Anna Lindstedt zawsze mówiła poważnie, nawet gdy jej

Rozstanie

Samotność, Przemiana,
Obraz świata, Światło

Lud

odpowiedzi brzmiały zabawnie. I jeszcze Karin Andersson, impulsywna, fantastyczna... Na wspomnienie zajęć na policzkach Malin pojawił się rumieniec. Kontrreformacja, taki był temat jej kursu. Uczyla je, że my, protestanci, nie uważamy, iż katolików należy potępiać... Nie chciała przekazać im takiego podejścia do sprawy, nie w tym świecie, nie w tym świecie... Ale to nie było chyba najgorszą rzeczą, która im się przytrafiła. Poczula nagłą chęć, by wstać, podbiec do nich i zawołać: „Teraz jest inaczej! Teraz ja też już nic z tego wszystkiego nie wiem! Teraz jestem jedną z was!”. Ale one by nie zrozumiały, poszłyby dalej i trafiły w ręce innych, tych, którzy jeszcze wiedzieli, którzy nie byli z nimi i pozwoliliby im przejąć te i nawet gorsze rzeczy. A gdzieś w głębi niej wołał głos przepelniony bolesną wiedzą:

Mój lud!

Być na zewnątrz nie znaczy wcale być daleko od swego ludu, nie, nie od swego ludu. Przeciwnie — raczej tak blisko niego jak nigdy wcześniej.

A potem przyszła kolej, by na estradę weszła najstarsza klasa i po raz ostatni zaśpiewała swoje długo ćwiczone pieśni. Po raz ostatni! A przed nią — jako drugi głos — stała Siv, po raz ostatni, bo Malin wiedziała, że teraz już będą spotykać się rzadko.

Jednak i to nie było pożegnanie. Jak można utracić coś, co rośnie w nas niczym drzewo? Jak w ogóle można sobie wyobrazić, że zakończenie seminarium czy odległość albo czas miały takie znaczenie, iż mogły przysłonić sam fakt istnienia osoby, którą była Siv?

Stała smukła, wyprostowana, wytworna; jej złota skóra promieniowała zdrowiem, rozświetlona szczęśliwą, naturalną szlachetnością, która niekiedy pada na człowieka niczym rosa na trawę. Stała tam, zachowując wewnętrzną i zewnętrzną równowagę, dorosła, pewna siebie. Osoba pełna wdzięku i nieświadomej naturalnej mądrości, usadowiona na wąskiej kładce zawieszanej nad chaosem.

Pieśń rozbrzmiewała — pełna szacunku i lekkości zarazem.

„Łagodny zagajniku, cienisty lesie
i ty, łąko wiosenna!
Słodko rozbrzmiewa głos róż, słyszę go
i rozumiem”¹⁰².

Malin wyprostowała kark; śpiewała razem z innymi, jakby uczestniczyła w tajnej spowiedzi, jedynej, jaka jej została, w której mogła dumnie wyznać swe zakochanie — poza wszelkim rozsądkiem — w wiecznej, upartej, twardej woli życia.

«Bo każda zima ma swą wiosnę, a każda jesień swą nadzieję,
a północ ciemna rankiem mija.
Chcę wierzyć w słońce i głos róż,
i w łagodną wiosnę łąk»¹⁰³.

* * *

O TŁUMACZCE

Tłumaczka z języków skandynawskich: szwedzkiego, duńskiego i norweskiego. Ukończyła studia magisterskie na uniwersytecie w Sztokholmie: filologia nordycka, literaturoznawstwo i filmoznawstwo. Tłumaczy dramaty, literaturę, eseje, jest również tłumaczką audiowizualną. Współpracuje z redakcją „Dialogu”. Za przekłady dramatów skandynawskich otrzymała w 2004 roku nagrodę Zaiksu, a w 2018 Brązowy Medal Gloria Artis.

¹⁰²Łagodny zagajniku, cienisty lesie i ty, łąko wiosenna! Słodko rozbrzmiewa głos róż, słyszę go i rozumiem — fragment wiersza *O du lummiga lund!* z tomu *Lärkröster i Maj*, autorstwa Zachrisa Topeliusa (1818–1898). [przypis edytorski]

¹⁰³Bo każda zima ma swą wiosnę, a każda jesień swą nadzieję, a północ ciemna rankiem mija. Chcę wierzyć w słońce i głos róż, i w łagodną wiosnę łąk — fragment wiersza *O du lummiga lund!* z tomu *Lärkröster i Maj*, autorstwa Zachrisa Topeliusa (1818–1898). [przypis edytorski]

Wybrane tłumaczenia

Dramaty:

Jon Fosse, m.in.: *Sen o jesieni, Letni dzień, Ktoś przyjdzie, Imię, Zima*

Thomas Vinterberg/Mogens Rukov *Uroczystość*

Peter Asmussen *Plaża, Słoneczny pokój, Za chwilę*

Peter Lollike *Living Dead*

Astrid Saalbach *Czerwone i zielone*

Henrik Ibsen *Dzika kaczką*

Arne Lygre *Zanikam*

Lars Noren *O miłości, Terminal 7*

Agneta Pleijel *Schulz goes Kafka*

Majgull Axelsson *Lisa-Louise*

Jonas Hassen Khemiri *Pięć razy Bóg*

Powieści:

Kristina Sandberg *Urodzić dziecko, Być rodziną*

Anne Swärd *Vera*

Jonas Hassen Khemiri *Wszystko czego nie pamiętam*

John Ajvide Lundqvist, m.in. *Ludzka przystań, Wpuść mnie*

Peter Hoeg *Efekt Susan*

Tove Ditlevsen *Twarze*

Dorthe Nors *Lusterko, ramię, kierunkowskaz*, zbiór esejów: *Słone łąki*, a także opowiadania do tomu *Skandynawska zima*

Cykle kryminałów m.in. Lizy Marklund, Christoffera Carlssona, M.K.Krefelda, Katarine Engberg.

Literatura faktu:

Gellert Tamas *Mężczyzna z laserem*

Kjetil Stensvik Østli *Policjanci i złodzieje*

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3..

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/boye-kryzys/>

Tekst opracowany na podstawie: Karin Boye, Kryzys, tłum. Elżbieta Frączak-Nowotny, wyd. Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2026.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl). Projekt dofinansowany przez Unię Europejską. Wyrażone poglądy i opinie są jednak wyłącznie poglądami autorów i niekoniecznie odzwierciedlają poglądy Unii Europejskiej lub Europejskiej Agencji Wykonawczej ds. Edukacji i Kultury. Ani Unia Europejska, ani organ przyznający dofinansowanie nie ponoszą za nie odpowiedzialności.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Elżbieta Sekuła.

ISBN 978-83-288-8127-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.